

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/188

1963



• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI : **WIELKA ALTERNATYWA**

B. MIEDZIŃSKI : **DROGA DO MOSKWY**

M. DANILEWICZOWA : **PSIAKREW!**

BILANS ZIMY W POLSCE

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Wielka alternatywa</i>	3
Aleksander Hertz:	<i>Odwiedziny Europy (dok.)</i>	15
Adam Czerniawski:	<i>Poezja Czesława Miłosa</i>	25



Kazimierz Wierzyński:	<i>Wiersze</i>	50
Jan Rostworowski:	<i>Amon i anioł</i>	55

ARCHIWUM POLITYCZNE

Aleksander Kawalkowski:	<i>Wola i środki</i>	57
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	66

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	<i>Droga do Moskwy</i>	74
----------------------	------------------------------	----

KRAJ

—	<i>Bilans zimy</i>	87
Paweł Zaremba:	<i>Siedem grzechów i jedno rozgrze-</i> <i>szenie</i>	96
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	106

SPRAWY I TROSKI

Adam Nasielski:	<i>Przesilenie</i>	110
-----------------	--------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Leo Lipski:	<i>Dlaczego?</i>	116
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawy polskie w Londynie</i> ..	121
—	<i>Komunikaty:</i>	
	1) <i>Rozstrzygnięcie konkursu bel-</i> <i>gijskiego</i>	125
	2) <i>Nowa nagroda literacka</i>	126

KSIAŻKI

Maria Danilewiczowa:	<i>Psiakrew!</i>	127
Cyörgy Gömöri:	<i>Węgierska odwile</i>	139
Tymon Terlecki:	<i>„Kostro l'exquis”</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	147



Zb. Grabowski, Al. Kawalkow-		
ski, B. Kawecki, A. Korboń-		
ski, Wł. Ledóchowski, M. Po-		
bóg-Malinowska, H. Wilk,		
K. Zdziarski oraz T. Zaleski		
i C. Kuśnierek:	<i>Listy do Redakcji</i>	149

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1963

INSTITUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ ŚP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Zbigniew Jakubski, Los Angeles, Cal. (USA)	48,08 F
Anonimowo (USA)	23,58 „
J. Tyszkiewicz, Paryż	50,00 „
Dr Henryk Gruber, Buenos Aires	243,78 „
Dalsze wpłaty, zebrane przez „Dziennik Polski” w Detroit (USA): N.N. — dol. 2; Andrzej Beck — dol. 5; K.B. — dol. 5; Władysław Kłosiński — dol. 10; Zygmunt Żelazkow- ski — dol. 10; Tadeusz Zajac — dol. 5. Razem dol. 37, czyli	179,60 „
	545,04 F
Razem z już podanymi wpłatami ogółem wpłynęło	8574,08 „

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Witold Domaniewski, Bronxville, N.Y. (USA)	48,08 F
C.P. Czuchwicki, Larges Bay, S.A. (Australia) po raz drugi	16,50 „
Anonimowo (USA)	23,58 „
Jan Bychowiec, Chicago, Ill (USA) po raz drugi	33,50 „
Helena Perlitch, Paryż, po raz drugi	30,00 „
Henryk Stebelski, Mexico City	244,00 „
Witold Jan Łukaszewski, Irvington, N.J. (USA) po raz drugi	14,00 „
Czesław Dembski, Chicago, Ill. (USA)	14,00 „

DZIEKUJEMY

Wielka alternatywa

Zainteresowanie jakie wśród Polaków wywołał „Wielki Plan” de Gaulle’a — jest zrozumiałe. Interesuje nas każdy plan zachodni, który przewiduje — choćby w dalszej przyszłości — odmrożenie *status quo* w Europie środkowowschodniej.

Wybitnym zwolennikiem i znawcą „orientacji francuskiej” na emigracji jest Aleksander Kawałkowski, którego artykuł w „Kulturze” pt. „Alternatywa” stał się publicystycznym sukcesem w skali międzynarodowej.

Jak Kawałkowski odczytuje ową drugą i dalszą część „wielkiego zamysłu” de Gaulle’a? Według tej interpretacji de Gaulle uważa, że istnieje, względnie powstanie w przyszłości — możliwość poddania rewizji układu terytorialnego odziedziczonego po ostatniej wojnie. Oczywiście ten, kto ów projekt rewizji wysunie będzie musiał dysponować zarówno siłą jak i gotowością poniesienia pewnych ofiar. Rosja wolałaby w Europie nie sąsiadować bezpośrednio z militarnymi siłami Ameryki. W rezultacie za cenę rozwiązania Paktu Atlantycznego i wyjścia Amerykanów z Europy — Rosja może zgodzi się na wypuszczenie spod kontroli państw satelickich, które w jej bilansie są pozycją niepewną i kłopotliwą. Rosja zgodzi się na takie rozwiązanie tylko wówczas gdy będzie miała pewność, że przyszła Europa nie będzie antyrosyjska. Tylko zamiana przewodnictwa amerykańskiego na francuskie może Rosjanom dać tę pewność. Zjednoczone Niemcy muszą być oddzielone od Rosji formacją państw, które dziś stanowią obszar satelicki. Restauracja wpływów francuskich w tym rejonie Europy przypieczętuje dominującą pozycję Paryża na kontynencie — co w konsekwencji zapobiegnie niebezpieczeństwu hegemonii niemieckiej.

Można jeszcze dodać w tym miejscu, że za kilka lat oba super-mocarstwa będą dysponowały dostatecznym potencjałem nuklearnym umożliwiającym wysadzenie w powietrze naszej planety. Wówczas bazy na terytorium państw obcych staną się

zbędne. W takiej sytuacji Pakt Atlantycki i Pakt Warszawski stracą swój pierwotny sens i znaczenie.

Gen. Shoup, członek kolegium szefów sztabu, w czasie posiedzenia komisji budżetowej Kongresu wyraził opinię, że powstanie wojna atomowa przyniosłaby zagładę białej rasy. Straty wyniosłyby od 700 — 800 milionów zabitych. Zachowałyby się rezerwy w Australii i w Nowej Zelandii. Rasy kolorowe objęłyby glob a era białego człowieka przeszłaby do historii.

Waszyngton i Moskwa z każdym rokiem będą bardziej zainteresowane w utrzymaniu *status quo*, ponieważ każda zmiana *status quo* może uruchomić kataklizm atomowy, odmalowany barwnie przez gen. Shoupa. W takiej sytuacji *status quo* staje się nie tylko fundamentem pokoju i przetrwania białej rasy lecz zyskuje również najwyższą sankcję moralną wszystkich kościołów na kuli ziemskiej.

Rozwój po tych liniach prowadzi nieuchronnie do zamrożenia wszystkich granic. Na zachodzie utrwała się przekonanie, że Moskwa, w przeciwieństwie do Pekinu, gotowa jest zrezygnować z mitu rewolucji światowej w imię pokoju i nienaruszalności *status quo*.

Łatwo sobie wyobrazić, że w takich warunkach za kilka lat gen. de Gaulle może mieć większe możliwości manewru politycznego niż prez. Kennedy. Moskwa i Waszyngton są unieruchomione w atomowym *deadlock'u* i drżą przed każdą poważniejszą inicjatywą, bo każda poważniejsza inicjatywa może naruszyć *status quo* na korzyść przeciwnika.

Lecz jeżeli nawet założymy, że gen. de Gaulle będzie miał możliwości wysunięcia propozycji dotyczącej Europy środkowo-wschodniej — trudno sobie wyobrazić jak ów plan mógłby być w praktyce zrealizowany.

Chciałbym zaznaczyć z naciskiem, że nie polemizuję z Al. Kawałkowskim. Jestem entuzjastą jego interpretacji, ale przy maksymalnym wysiłku wyobraźni nie jestem w stanie dojrzeć owego planu w realnych kształtach.

Podstawowy błąd w cytowanym rozumowaniu polega na tym, że zakładamy iż Rosja jest już dziś ideologicznie i rewolucyjnie wygasłym wulkanem. De Gaulle — według tej interpretacji — przyjmuje, że Rosja jest *de facto* przemysłowym imperium, które w przyszłości zachowa się podobnie jak wszystkie inne wielkie przemysłowe mocarstwa.

Rosja jest zwyczajnym przemysłowym mocarstwem i *nie* jest zwyczajnym przemysłowym mocarstwem. Rosja jest zwyczajnym imperialistycznym mocarstwem dopóki idzie naprzód. Lecz natychmiast przestałaby być zwyczajnym mocarstwem, gdyby zaczęła się cofać.

Anglia bez utraty twarzy mogła zlikwidować swoje imperium, Francja bez uszczerbku dla swego prestiżu mogła wycofać się z Algierii. Lecz Chruszczow ilekroć porusza problem niemiecki

— podkreśla z naciskiem, że Rosja nigdy nie dopuści do upadku „socjalizmu” w NRD.

Rewolucyjna ideologia jest znakomitym paliwem maszyny imperialistycznej, lecz maszyna ta posiada kardynalną wadę: nie ma biegu wstecznego.

Gdyby Rosja była zwyczajnym mocarstwem imperialistycznym, mogłaby się wycofać z Europy środkowo-wschodniej bez groźnych konsekwencji. Mogłaby ułożyć swoje stosunki z państwami satelickimi w nowej płaszczyźnie ku obopólnej korzyści.

Lecz Związek Sowiecki nie ma tych możliwości. Gdyby z krajów satelickich utworzyć pas państw neutralnych — rządy komunistyczne upadłyby w tym rejonie w przeciągu tygodnia. To co dla nas jest powrotem do demokracji — dla Moskwy jest triumfem kontrrewolucji.

Sowiety wycofując się z Europy wschodniej straciłyby coś niepomiernie więcej niż utracili Anglicy wycofując się z Indii. W takiej sytuacji Związek Sowiecki poniósłby klęskę ideologiczno-polityczną, z której prawdopodobnie nigdy by się nie podniósł. Interweniując w Budapeszcie Rosjanie nie walczyli ani o Budapeszt ani o Węgry. Sowiety i bez Węgier byłyby drugim mocarstwem świata. Na ulicach Budapesztu Rosjanie walczyli o własną skórę — o pozycję Moskwy w świecie komunistycznym.

Poświęcając reżym Ulbrichta Moskwa ułatwiłaby sobie grę z Niemcami. Jednak poderwałaby równocześnie swą pozycję w świecie komunistycznym. Nie można wyłaczyć, że Chiny skorzystałyby z takiej okazji, by rzucić kłutwę na przywódców sowieckich. Doprowadziłoby to do rozłamu i to do rozłamu z winy Moskwy. Wyrównanie stosunków z Niemcami — choć ważne i istotne — nie przechyliliby szali. Saldo operacji byłoby katastrofalnie ujemne.

W tym całym problemie nie chodzi o utratę terytorium. Rosja cierpi na nadmiar terytorium, a nie jego brak. Ideologię komunistyczną jako agresywną i rewolucyjną łatwo jest pogodzić ze zdobywczym imperializmem, lecz trudno dopasować ją do pokojowej koegzystencji, a jeszcze trudniej byłoby pogodzić ją z odwrotem. Ideologia rewolucyjna przypomina przysłowiowe „napoleońskie bagnety”. Można z nią robić wszystko tylko nie można na niej usiąść. Dylemat Rosji polega na tym, że gotowa byłaby „usiąść” na rewolucji, gdyby to było możliwe.

Rosja chciałaby z jednej strony być zwyczajnym przemysłowym mocarstwem z bogactwem dóbr konsumpcyjnych na wzór Ameryki — z drugiej zaś strony chciałaby zatrzymać i umocnić swój status super-mocarstwa, który zawdzięcza historycznemu faktowi, że jest stolicą światowego, wojującego komunizmu. To są dwie tendencje nie do pogodzenia. „Rewizjonizm” Chruszczowa piętnowany przez Pekin zmierza do zabrukowania tych sprzeczności.

Rosja znajduje się na rozdrożu i będzie musiała wybrać — albo dalsze „uzwyczajnianie” swojego modelu społeczno-gospo-

darczego i rezygnację z mitu rewolucji światowej — albo — jeśli zechce odzyskać prymat w świecie komunistycznym będzie musiała stać się bardziej pekińska niż Pekin.

Dylemat z rosyjskiego punktu widzenia jest olbrzymi i dramatyczny. Związek Sowiecki bardzo wolno, lecz jednak stale ewoluuje ku modelowi „normalnego” wielko-przemysłowego społeczeństwa. Gdyby Rosja była Polską, a więc państwem bez imperium satelickiego i bez problemów mniejszościowych — być może „odwilż” postępowałyby nad Nową Szwecją, niż w innych krajach komunistycznych. Lecz Rosja Sowiecka jest krajem, który zamieszkuje 109 narodowości, a jej satelickie imperium sięga po berlińską bramę brandenburską.

Dla Polaków komunizm jest tylko ustrojem, lecz dla Rosjan jest jeszcze „ideą jagiellońską”. Upadek idei oznaczałby nie tylko liberalizację, lecz również rozbitcie Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik i upadek imperium satelickiego. Nie ma narodu na świecie, który musiałby zapłacić tak wysoką cenę za wolność jak Rosjanie.

Komunizm w perspektywie Moskwy spełnia dwie naczelne funkcje. Dopóki Związek Sowiecki jest w możności utrzymywać jedność obozu państw „socjalistycznych” i temu obozowi przywodzić — dopóty Rosja sowiecka jest drugim super-mocarstwem świata. Komunizm umożliwia równocześnie „federacyjne” ujarzmianie 109-ciu narodów oraz spełnia rolę fundamentu imperium satelickiego.

Czytelnik zapyta może w tym miejscu co to wszystko ma wspólnego z interpretacją planów de Gaulle'a? Bardzo wiele. Dopóki Rosja Sowiecka jest Rosją Sowiecką model 1963 r. — wszystkie plany dotyczące re-organizacji Europy środkowo-wschodniej wiszą w powietrzu.

Nasi pradziadkowie modlili się o wielką wojnę ludów. My nie chcemy wielkiej wojny ludów, więc o co mamy się modlić?



Dwóch uczonych z Nuffield College, Oxford — P. Nettle i D. Schapiro wystąpiło na łamach „The Observer” (21.4.63) z projektem „Alternatywy” dla Wielkiej Brytanii. Przeprowadziliśmy nieubłaganą krytykę polityki obecnego rządu autorzy cytowanego artykułu wysunęli tezę, że kluczem do europejskiego sezamu są Niemcy. Należy uznać granicę na Odrze i Nysie, należy uznać rząd Ulbrichta i zaoferować wycofanie wojsk brytyjskich z Berlina i z Niemiec zachodnich. Zaoferować komu? Oczywiście wszystko to należy zaoferować Rosji Sowieckiej. Tego rodzaju oferta stanowiłaby pierwszy wyłom w zachodniej „linii Maginota”, a w konsekwencji przesądziłaby prawdopodobnie los Berlina.

Autorzy wnioskuje (nie bez racji), że Rosja byłaby gotowa za ustępstwa tej miary zapłacić poważną cenę. Ową cenę byłby

specjalny układ handlowy sowiecko-brytyjski, który wyrównałby Anglii straty spowodowane niedopuszczeniem do wspólnego rynku. Eksport do Sowietów zapewniłby pełne zatrudnienie i rozrost produkcji przemysłowej co wzmogłoby zdolność konkurencyjną towarów brytyjskich i na innych rynkach.

Co należałoby w takiej sytuacji powiedzieć Niemcom Zachodnim? Autorzy „Alternatywy” i na to mają odpowiedź. Rządowi w Bonn oświadczone by, że Anglia nie zamierza angażować swojej dyplomacji, pieniędzy i sił zbrojnych do obrony specyficznej konstelacji państw europejskich, której to „konstelacji” Wielka Brytania nie jest członkiem.

Autorzy „Alternatywy” uważają, że gdyby z tego typu polityką wystąpił rząd socjalistyczny — byłoby to poczytane za przejaw słabości. Jeżeli natomiast z takimi planami wystąpi rząd konserwatywny przyjmą to wszyscy za tradycyjną brytyjską „Realpolitik”.

Możemy pocieszyć się i powtórzyć za R. Roverem, że w świecie anglosaskim „ci którzy mają plany nie rządzą, a ci co rządzą nie mają planów”. To jest jedna z przyczyn dla której de Gaulle „działa na nerwy” Anglosasom — ponieważ ma za równo plany jak i władzę.

NATO można zlikwidować dwojako. Zjednoczona Europa za kilka lat, w wyniku twardych negocjacji, może zgodzić się na rozwiązanie NATO wzamian za rozwiązanie Paktu Warszawskiego i wycofanie się Rosji z państw satelickich. NATO można również wysprzedać indywidualnie za specjalne układy handlowe z Rosją i inne korzyści wynegocjowane w rozmowach dwustronnych. Ten typ rozwodnienia NATO stanowiłby stuprocentowe zwycięstwo sowieckie.

Nie ulega wątpliwości, że tylko zjednoczona i uporządkowana Europa zachodnia, ciesząca się pełnym poparciem Stanów Zjednoczonych — miałaby szanse podjęcia negocjacji z Sowietami na warunkach zapewniających powodzenie. Tego ideału nie osiągniemy może nigdy, a państwa kontynentu oraz W. Brytania szukać będą korzystnej akomodacji indywidualnej z blokiem wschodnim.

Wyjdźmy jednak z najbardziej optymistycznego założenia przyjmując, że za kilka lat zjednoczona Europa przezwyciężywszy wszystkie kryzysy stanie się potęgą zarówno w sensie gospodarczym, jak i militarnym.

Wracamy do punktu wyjścia tych rozważań. Gdyby dziś Europa zachodnia stanowiła wzór zjednoczenia, solidarności i siły — jakie byłyby realne szanse wyzwolenia narodów satelickich środkami pokojowymi? W moim przekonaniu szanse byłyby minimalne.

Co stanowi sprawdzian wyzwolenia? Sprawdzeniu wyzwolenia nie stanowią ani sojusze (czy odwrócenie sojuszków) ani status neutralny. Jedynym autentycznym sprawdzianem restauracji

prawa samostanowienia są wolne, powszechne, demokratyczne wybory.

Rosja Sowiecka, model 1963 — nie mogłaby się zgodzić na układ umożliwiający przeprowadzenie wolnych, demokratycznych wyborów w państwach satelickich. Samobójstwo nie może być przedmiotem negocjacji. Do samobójstwa można tylko zmusić siłą i wówczas przyjąć można za pewnik, że ten od którego żądamy samobójstwa walczyć będzie o życie do upadłego.

Proponując swego czasu koncepcję „pasa neutralnego” nigdy nie mieliśmy na myśli wyzwolenia. Byliśmy natomiast przekonani, że status neutralny przyczyniłby się do wybitnej poprawy sytuacji w państwach satelickich, oraz ułatwiłby ewolucję w pożądanym kierunku.

Rosja Sowiecka nie mogłaby się zgodzić na przeprowadzenie wolnych wyborów w krajach satelickich, ponieważ upadek rządów komunistycznych w Polsce, w Czechosłowacji, w Niemczech Wschodnich, w Rumunii, na Węgrzech — nie tylko doprowadziłby do rozłamu w światowym ruchu komunistycznym, lecz prawdopodobnie, spowodowałby również przewrót w samej Rosji. Dziś nie może być powrotu do koncepcji „socjalizmu w jednym państwie”. Poza tym nie ma Stalina, Berii i potężnej armii NKWD. Klęska komunizmu byłaby tak oczywista, a kontrrewolucja w krajach satelickich przybrałaby charakter tak żywiołowy, że uchronienie Rosji przed tym cyklonem nie byłoby możliwe.

Logicznie rzecz biorąc konflikt pomiędzy Wschodem i Zachodem jest konfliktem antagonistycznym. W epoce przedatomowej konfliktu tego typu i tej skali rozgrywano w drodze wojennej. Dramat naszej epoki polega na tym, że choć wojna stała się anachronizmem — konflikty antagonistyczne są bardziej żywe niż kiedykolwiek w przeszłości. Odrzuciliśmy wojnę, lecz nie wypracowaliśmy żadnej alternatywy. Powtarzamy frazes o „wyzwoleniu środkami pokojowymi”. Co to znaczy? Gdy Chruszczow mówi o skomunizowaniu państw Zachodu w drodze pokojowej poprzez wybory parlamentarne — jest wówczas takim samym „realistą” jak my, gdy deklamujemy o wyzwoleniu pokojowym. Moskwa nie ma również alternatywy wojny i nie wypracowała instrumentu politycznego, który by wojnę zastąpił. Różnica pomiędzy nami polega jednak na tym, że Rosja Sowiecka przez następne stulecie może być drugim mocarstwem świata bez skomunizowania mocarstw Zachodu — my natomiast nie możemy czekać na wyzwolenie stu lat.

Brakiem alternatywy nie kłopotują się państwa zadowolone ze *status quo*. Alternatywa potrzebna jest nie Rosji Sowieckiej tylko nam.

Chruszczow nie ma możliwości zbudowania polityki alternatywnej w stosunku do Zachodu. Jeżeli komunizm nie zostanie podwieszony na czołgach do zachodniego Berlina, Brukseli i Paryża — flaga z sierpem i młotem nigdy nie załopocze nad Europą zachodnią. Chruszczow nie może wypracować metody skomu-

nizowania świata zachodniego „środkami pokojowymi” ponieważ ludzie Zachodu w swojej masie nie chcą komunizmu. Komunizm można by im tylko narzucić siłą. Jeżeli rezygnuje się z siły — rezygnuje się tym samym z komunizmem.

Obiektywnie należy stwierdzić, że jesteśmy w lepszej sytuacji od Chruszczowa. Jeżeli bowiem mówimy o „środkach pokojowych” możemy powołać się na niezbitą fakt, że 80% ludzi w Europie wschodniej pragnie wolności i restauracji prawa samostanowienia.

Gdyby Chruszczow był w sytuacji analogicznej do naszej — to znaczy gdyby mógł liczyć, jeśli nawet nie na masowe, to w każdym razie na poważne poparcie ludności w krajach zachodnioeuropejskich — z całą pewnością wypracowałby metody skomunizowania świata zachodniego „środkami pokojowymi”.

Trzeba postawić wreszcie pytanie zasadnicze: czy wyzwolenie „środkami pokojowymi” jest rzeczą możliwą?

Wyzwolenie środkami pokojowymi jest do pomyślenia tylko jako proces stopniowy, ewolucyjny, obliczony na lata. Pomoc z zewnątrz jest konieczna i niezbędna. Lecz pomoc z zewnątrz ograniczona do środków pokojowych nie zapewni nam restauracji prawa samostanowienia ani nie zapewni nam rządu demokratycznie wybranego. W ramach negocjacji pokojowych Rosja Sowiecka, model 1963 r. — nigdy nie zgodzi się na tego typu postulaty z przyczyn, które starałem się przeanalizować w pierwszej części tego artykułu.

Inicjatywy mocarstw zachodnich — czy plan de Gaulle’a mogą stworzyć korzystniejsze warunki dla „samowyzwolenia się” — mogą stworzyć klimat ułatwiający ewolucję ku pewnym formom demokracji. Lecz czy wykorzystamy tę koniunkturę zależeć będzie wyłącznie od nas samych. Jeżeli odrzucamy wyzwolenie środkami wojennymi — zrezygnować musimy z idei „Mesjasza”, który kiedyś wyzwoli nas i przywróci nam wolność. Możemy tylko oczekiwać połowicznych rozwiązań, które ułatwią naszą sytuację.

Problem jest przeraźliwie jasny. Rosję Sowiecką trzeba albo pobić albo zeuropeizować. Dopóki Rosja Sowiecka jest Rosją Sowiecką model 1963 r. — to znaczy nie jest ani pobita ani zeuropeizowana — nie pomoże nam ani de Gaulle ani Kennedy ani nikt i nic.

Bez popadania w *wishful thinking* możemy przyjąć, że kryzysowa sytuacja w Rosji będzie się pogłębiać. Wpływ Zachodu na Rosję rośnie. Ów wpływ można by wzmocnić wielokrotnie, gdyby Zachód pojmował koegzystencję ofensywnie. Mimo, że losy świata w znacznym stopniu determinowane są sytuacją w Rosji — nikomu nic nie zależy na tym, co się tam dzieje. Model społeczno-gospodarczy Rosji i Stanów Zjednoczonych jest sprawą nas wszystkich — bo od ewolucji tych modeli wszystko zależy.

Celem zachodniej polityki nie może być, jak dotąd, zachowanie ideologicznego *status quo* — lecz przeciwnie, przyspiesze-

nie ewolucji komunizmu szczegółowo przemyślaną taktyką. Tej sprawie w ubiegłym roku poświęciłem odrębny artykuł, który w skróconej formie ukazał się również w języku angielskim. Tutaj chciałbym tylko jeszcze raz podkreślić, że rezygnowanie z ofensywy ideologicznej w imię polityki „nie drażnienia” Moskwy nie prowadzi do nikąd. Bo naszym, zachodnim, długofalowym celem politycznym nie są dobre stosunki z Rosją model, 1963, — lecz liberalizacja tego modelu. Z Rosją Sowiecką, model 1963 r. — nie można mieć dobrych stosunków. Celem naszym jest zmusić Rosję do odwrotu i do przemiany. Wszystko winno być podporządkowane tym kardynalnym założeniom.

Polityka pokojowej alternatywy wymagałaby również radykalnego przestawienia całej naszej tradycyjnej „metodologii narodowej”. Odwaga cywilna, walka cywilna — to nie są polskie specjalności. Ten sam Polak, który na barykadach warszawskich dokonywał cudów bohaterstwa — na zebraniu da się zakrzyzc małemu aparaczkowi i nie zdobędzie się na odważne wypowiedzenie swego zdania.

Poeci, pisarze, uczeni, profesorowie, nauczyciele — w okupowanym przez hitlerowców kraju zdobywali się codziennie na heroizm, ponieważ w gruncie rzeczy, uważali się za żołnierzy i groziła im śmierć. Autorzy artykułów w prasie podziemnej, poeci piszący wiersze, profesorowie wykładający na zakonspirowanych kursach — to nie byli bohaterzy cywilnej odwagi. To byli tradycyjni polscy żołnierze.

Ci sami ludzie w przytłaczającym procencie zawiedli jako bojownicy cywilni. Nie mamy tradycji walki cywilnej, nie mamy kadr bojowników cywilnych — mamy natomiast długoletnią tradycję lojalizmu i oportunistycznej prorządowości.

Gandhi — twórca strategii „cywilnego nieposłuszeństwa” — w Polsce nie zdziałałby niczego. U nas łatwiej jest o Westerplatte niż o dwóch ludzi, którzy zaryzykowaliby więzienie i niełaskę za odważny artykuł.

Skłonny jestem przypuszczać, że w tej chwili w Anglii siedzi w więzieniu więcej inteligentów niż w Polsce. Mam na myśli manifestantów atomowego rozbrojenia. Nie podzielam przekonań tych ludzi — ale musi budzić szacunek człowiek, który za swe przekonania gotów jest pójść do więzienia. Katastrofą nie jest więzienie za przekonania. Katastrofą jest brak przekonania.

W niczym nie jesteśmy tak wschodni jak w stosunku do władzy i do policji. Leży przede mną bieżący numer „Nowej Kultury”. Gdyby nie nagłówek z czerwoną flagą i hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” — można by sądzić, że to biesiada zachodnich koneserów. Melchior Wańkowicz — o Steinbecku; Ludwik Hieronim Morstin — o Antygonie; Paweł Hertz — o Proust'cie; Cat-Mackiewicz o chrześcijaństwie i pokoju.

Lecz władzą tego salonu literackiego jest aparaczyk, który w Anglii, nawet komunistycznej, byłby małym urzędnikiem na prowincjonalnej poczcie. I to jest Wschód. Intelktualiści polscy

pokornie dają się rządzić półinteligentom partyjnym, którzy stanowią 80% kierowniczego aparatu. Ci panowie w każdym kraju zachodnim bez względu na ustrój byliby traktowani za półinteligentów i tkwiliby na półinteligentkich posadach. A w Polsce są władzą — którą się wyśmiewa, o której opowiada się po kawiarniach setki pogardliwych dowcipów i której potulnie się słucha. I to jest nagi Wschód, którego nie przysłonią ani tomy o Proust'cie ani rozprawy o Steinbecku.

Cat-Mackiewicz w cytowanym wyżej numerze „Nowej Kultury” (nr 681) pisze dosłownie: „Mur (Ulbrichta) jest także murem ochronnym i dla Polski”.

Odbyliśmy dość daleką drogą od Polski „przedmurza chrześcijaństwa” do „przedmurza” muru Ulbrichta.

Uogólnienia są krzywdzące i nie obiektywne. Niewątpliwie są wspaniałe wyjątki. Lecz niestety bardzo znaczny procent intelektualistów tego pokolenia nie tylko poszedł na kompromisy lecz gotów, jest pójść na każdy kompromis. Catowi nikt nie kazał pisać bredni o murze Ulbrichta. On to zrobił z własnej pilności — tak jak z własnej pilności, za panią matką-Chruszczowem, potępił pospiesznie muzykę jazzową o której nie ma pojęcia.

Od tych panów nie możemy oczekiwać cywilnych „Budapesztów”. Do końca będą kuć dowcipy i prześcigać się w usłużności. Większość tych ludzi ma za sobą nieprawdopodobną ilość „przeobrażeń” — od BBWR po PZPR — od katolicyzmu po ateizm — od emigracyjnego „legalizmu” po „reżym” ludowy — od Andersa po Gomułkę — tak, że już chyba dawno zatracić musieli poczucie jakiegokolwiek własnej tożsamości.



Tezę tego artykułu jest pogląd, że koegzystencja — tak jak się ją pojmujemy na Zachodzie — nie jest ową alternatywą, której poszukujemy. Powinniśmy zrezygnować z wojny, lecz nie wolno nam rezygnować ze zwycięstwa. Konflikty antagonistyczne nie kończą się nigdy wynikiem remisowym. Ktoś w tym konflikcie zwycięża a ktoś przegrywa.

Koegzystencji winniśmy nadać formę polityki ideologicznie ofensywnej — zmierzającej długofalowo nie do upokorzenia i zagrożenia Rosji, lecz do jej przebudowy. Chruszczow jest przerażony wpływami zachodnimi, zwłaszcza na młode pokolenie. Siła atrakcyjna kultury zachodniej jest olbrzymia. W tej materii trudno przesadzić: Trzeba tylko pieniędzy, odpowiednich ludzi i zorganizowanej polityki — by ową kulturę forsować poprzez „żelazną kurtyną”. Zawodowi politycy nie zdają sobie sprawy ile można by zdziałać ofensywną, kulturalną, umiejętnie podjętą akcją. Zachód powinien nie zdwoić lecz potroić wysiłki zmierzające do wyrwania Rosji z kulturalnej izolacji. Powinniśmy sobie

stale uświadamiać, że nie ma dosłownie człowieka w wolnym świecie, w którego bezpośrednim interesie nie leżałoby „zeuropeizowanie” Rosji. Przebudowa modelu Rosji Sowieckiej jest bowiem sprawą, która zadecyduje o międzynarodowym obliczu naszego globu.

Zażośmy, że Zachód uaktywni swoje stanowisko wobec Sowietów. Przyjmijmy również, że w ramach bieżącej dekady zjednoczona Europa, korzystająca z pełnego poparcia Ameryki, wystąpi z inicjatywą wydobycia krajów satelickich spod bezpośredniego władania Moskwy. Zakładając nawet tak optymistyczny rozwój wydarzeń — stwierdzić należy, że główny ciężar operacji „wyzwolenia” spadnie na nas. My musimy wypracować politykę alternatywną i zdobywać wolność ewolucyjnie, krok po kroku.

Rosja narzuciła wschodni komunizm zachodnim Słowianom Polakom i Czechosłowakom. Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy mogą przy sprzyjającej koniunkturze politycznej powoli, bez prowokacji, „zeuropeizować” swoje modele ustrojowe, które oddziaływać będą na Rosję. Moskwa pogodziła się z modelem jugosłowiańskim i w nowym układzie pogodziłaby się również z nowymi modelami państw wschodnio-europejskich. Tylko na tej powolnej drodze ewolucyjnej byłoby możliwe doprowadzić z czasem Moskwę do uznania zasady nie tylko policentryzmu, ale i reprezentacji w przybliżeniu demokratycznej. Rosja musiałaby ośwoić się z myślą, że rząd polski czy czechosłowacki — złożony tak z komunistów jak i z przedstawicieli innych kierunków politycznych — nie oznacza kontrrewolucji i wrogości w stosunku do Moskwy.

Polacy średniego i starszego pokolenia tak w kraju jak i za granicą — z nielicznymi wyjątkami — hołdują jednej z dwóch tradycyjnych koncepcji. Pierwsi, — by użyć słów bardzo znanej emigracyjnej osobistości — widzą rozwiązanie w „zawierusze wojennej”, drudzy nawrócili do lojalizmu. „Wojna ludów” i walka wyzwolenicza — „praca organiczna” i lojalizm — oto dwie tradycyjne postawy dziś anachronistyczne i nieprzydatne.

Jest bardzo trudno „wyskoczyć” z własnej epoki — wyrwać się z więzów tradycyjnego myślenia — zdradzić historyczny nurt pokolenia do którego się należy. Dlatego nie łudźmy się i nie oczekujmy od starszego pokolenia wypracowania programu alternatywnego. Polityka niepodległościowa oficjalnych politycznych ośrodków emigracyjnych zawiśła między absurdem a pobożnym życzeniem. Panowie ci z jednej strony odzegnują się od wojny — tzn. od wyzwolenia siłą poprzez totalną klęskę reżymów komunistycznych — z drugiej zaś strony odzegnują się od ewolucjonizmu, piętnując go mianem „ugodowości”. Co więc w ich interpretacji oznacza „wyzwolenie środkami pokojowymi”? Na to pytanie nie podejmuję się odpowiedzieć.

Młode pokolenie zarówno w Rosji jak i w Polsce — nie obciążone garbem koszmarniej przeszłości — wyrwie z czasem „myśl

z obcęgów” — jeśli wolno zacytować określenie Cata-Mackiewicza z poprzedniego wcielenia.

Istotą programu alternatywnego musi być świadomość, że walka cywilna, cywilny opór, cywilna manifestacja — mogą być skuteczniejsze na dalszą metę niż zbrojne powstanie. W kraju znalazłoby się dziesiątki tysięcy ludzi, którzy byłiby gotowi jutro... strzelać do Moskali. Gdyby z tych ludzi tylko 25% gotowych było dla wolnościowych przekonań zaryzykować posadę, czy miesiąc więzienia — model Polski współczesnej wyglądałby zupełnie inaczej.

Polityka programu alternatywnego rozwinię się po tych liniach. Pokolenie zgangrenowane oportunistycznym wymrze, a wśród młodego pokolenia wykrystalizuje się nowa hierarchia wartości. By to się stało musi stopniowo wrócić procent ludzi o zdecydowanych przekonaniach demokratycznych, którzy dojrzą, że kultura zachodnia w Europie jest jedna i niepodzielna. I albo się ma u siebie w kraju zachodnią kulturę, albo nie ma się żadnej kultury. Europejczyk w Europie nie może się czuć wolny poza ramami kultury zachodniej. Kultury zachodniej nie można uprawiać w eskapistycznej pustelni — ponieważ zachodnia kultura nie jest intelektualną religią tylko stylem życia. Wolność definiovana poza ramami tej kultury nie jest wolnością ani w polskim ani w europejskim tego słowa znaczeniu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXXIII

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

Stron 200

Cena egz. 10 F (15/-; dol. 2,25)



TOM LXXXV

JÓZEF WITTLIN

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

Str. 658

Cena egz. 34 F (50/-; dol. 7,00)



TOM LXXXVI

ZYGMUNT HAUPT

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1962

Stron 248

Cena 13,50 F (20/-; dol. 3,00)

Odwiedziny Europy (dok.)

V

To, co narzucało się mojej uwadze — uwadze przygodnego turysty — we Włoszech i Szwajcarii, zdawało się mówić o rozmiarach przemian, zachodzących w świecie drugiej rewolucji przemysłowej. Europa Zachodnia — nawet wciąż zacofane Włochy — stoi pod znakiem dobrobytu. Ten zaś jest wyraźnym następstwem powszechnego rozwoju gospodarczego i technologicznego. Możliwe że punktem wyjściowym dla tego rozwoju był Plan Marshalla, że ogromną rolę odgrywa Wspólny Rynek. Ale ani Plan Marshalla ani *Common Market* nie tłumaczą wszystkiego. Nie wystarczyłyby one same przez się dla powstania tych wielkich przemian społecznych, jakie zachodzą w Europie Zachodniej, dla ich kierunku i tempa. To było możliwe dzięki rozmiarom drugiej rewolucji przemysłowej. Ona to, której kolebką i największym terenem działania była Ameryka, przyniosła tę „amerykanizację” czy „plebeizację” Starego Świata, która tak mnie uderzyła w czasie mej transoceanicznej wycieczki.

Zauważyliśmy, że zasadniczym aspektem „plebeizacji” jest przejmowanie przez warstwy niższe pewnych właściwości, tradycyjnie uznawanych za charakterystyczne dla warstw wyższych. Do tych właściwości rzadko kiedy należą swoiste zainteresowania tych ostatnich w zakresie spraw kultury, sztuki i literatury. Nie znaczy to, by warstwy niższe nie miały potrzeb i zainteresowań w tych dziedzinach. Zachodzą jednak wyraźne różnice w postawach i wartościowaniach obu środowisk.

Niewątpliwie ogromna ilość twórców, którzy działalnością swoją potrafili zrewolucjonizować literaturę, sztukę i naukę, wiodziła się ze świata „niższego”. Jednakże wpływ ich na ten

świat był stosunkowo bardzo mały, raczej pośredni i przypadkowy. Głównym jego kanałem była szkoła, przynajmniej od czasu kiedy stała się ona instytucją powszechną i obowiązkową. I jakkolwiek nie jeden z tych ludzi umiał twórczo wpłynąć na rozwinięcie się pewnych wartości tego świata, to jednak byli oni wychodźcami z niego i teren dla swej działalności znajdowali w świecie „wyższym”. W praktyce asymilowali się do niego, przejmowali jego wartości i filozofie i tu — wśród arystokracji, wielkiej burżuazji, intelektualistów — znajdowali dla swego dzieła posłuch i uznanie. Tam byli — jeżeli w ogóle byli — słuchacze, widzowie, czytelnicy, tam byli mecenasi. Żaden z wielkich prądów nauki, sztuki i literatury nie rozwinąłby się, gdyby przywódcy jego musieli wyłącznie obracać się w środowisku warstw niższych. *Leisure classes* zawsze tworzyły najlepsze podłoże dla wszelkich nowinek kulturalnych.

Jest rzeczą znaną, że warstwy niższe z reguły *ex post* przejmują oceny estetyczno-artystyczne i literackie, które początkowo były uznawane przez warstwy wyższe i następnie przez nie porzucone. Na kulturalnych zainteresowaniach warstw niższych można opierać wnioski na temat zainteresowań warstw wyższych o parę pokoleń wcześniejszych. Sentymentalizm i romantyzm panowały w popularnej powieści i ilustracji, obliczonych na szerokie masy odbiorców, w całe dziesięciolecie po tym jak były modą wśród warstw wyższych. Pseudorealistyczna powieść tendencyjna i malarstwo programowe do tej pory cieszą się powodzeniem w szerokich masach wielu krajów, jakkolwiek tyle lat minęło od czasu, gdy zostały one definitywnie odrzucone przez elity kulturalne.

Sowiecki socrealizm miał niewątpliwie oparcie w gustach masowych odbiorców Europy Wschodniej. I tak samo jego odpowiedniki w Ameryce i w Europie Zachodniej. Kiedy w New Yorku urządzono wystawę sztuki sowieckiej, pokazane tam dzieła spotkały się z dużym uznaniem „przeciętnych” widzów. Dla ludzi bardziej wyrafinowanych były to okropności, naiwne, nudne, przebrzmiałe. Grzeczny krytyk artystyczny „New York Times’a” delikatnie napisał, że nie są to rzeczy gorsze niż malarstwo amerykańskie końca wieku XIX. Okres ten uważany jest za najgorszy w dziejach sztuki amerykańskiej. Ale ma wielkie powodzenie wśród szerokich mas.

Jednakże druga rewolucja przemysłowa i tu zostawia swe piętno. Masowa produkcja i masowa konsumpcja dóbr gospodarczych idzie dziś w parze z masowym rozpowszechnianiem wartości kulturalnych. Szkoła przestała być podstawowym kanałem przenikania ich w szerokie środowiska społeczne. *Media of mass communication* — radio, telewizja, film, gazeta, tania

książka, teatr, bezpłatne muzeum — wciągnęły najszerszy ogół w orbitę życia „wyższej” kultury — sztuki, literatury, nauki. *Bestseller* i tani *paperback*, operując kolosalnymi nakładami, zaniósł książkę do najskromniejszych domów. Coraz lepiej wszędzie rozwijająca się sieć bibliotek publicznych stała się narzędziem umasowienia czytelnictwa. Telewizja i radio wtargnęły w życie każdej jednostki. W stopniu większym lub mniejszym zachodzi to na całym świecie.

Niewątpliwie ta umasowiona kultura korzeniami swymi tkwi w przeszłości kulturalnej warstw wyższych. Jest ona jednak obliczona na potrzeby i zainteresowania najszerszego ogółu. W technice rozprowadzania, w formach i treściach, kieruje się ona — w pewnych krajach — względami propagandowo-ideologicznymi, w krajach innych — komercyjnymi. W Ameryce np. odpowiednik sowieckiego socrealizmu nie został ukanonizowany i uznany za jedynie obowiązujący, ma jednak za sobą potężne oparcie w komercyjnych *media of mass communication*. Dają one odbiorcy to, czego od nich oczekuje i co mu odpowiada.

Kolosalny rozwój coraz bardziej udoskonalanych *media of mass communication* pociąga za sobą poważne zmiany w życiu kulturalnym naszych czasów. Przede wszystkim zmniejsza on tradycyjny dystans pomiędzy kulturą wyrafinowanej elity a „socrealistyczną” (obojętne zresztą jak ją nazwiemy) kulturą najszerszych mas. Sztuka i literatura elity z jednej strony coraz bardziej upodobniają się do sztuki i literatury masowej, z drugiej zaś — jeżeli starają się zachować swoją dawną ekskluzywność — stają się coraz bardziej ezoteryczne i odpowiadające potrzebom i zainteresowaniom bardzo zamkniętego grona. Wyłom w tej ekskluzywności czyni niekiedy snobizm, charakterystyczny dla bardziej ambitnych elementów świata plebejskiego. On to sprawia, że pewne ezoteryczne wartości elity stają się przedmiotem mody i są z tej racji przyswajane przez *media of mass communication*. W całości jednak ten sam *bestseller*, film, słuchowisko radiowe, spektakl teatralny, koncert, służą zarówno tym, którzy mają pretensje do kulturalnego wyrafinowania, jak i szerokim masom odbiorców. Elitarność zachowała się jedynie w nauce, gdzie jest ona wzmagana przez stale rosnącą specjalizację. Choć i tu na ogromną skalę rozwija się popularyzacja osiągnięć naukowych. Ma ona swe oparcie w powszechnym wzroście zainteresowań dla osiągnięć naukowych (zwłaszcza tych, które mają wpływ na technologię i na praktykę życia codziennego). I tu *media of mass communication* wykazują stale wzmagającą się działalność i coraz większą pomysłowość.

Fantastyczny rozwój *media of mass communication* i jego efekt — demokratyzacja czy plebeizacja kultury, budzą głęboki

niepokój w świecie intelektualistów. Podnoszą oni, że w całej historii naszej kultury wszelkie nowe i rzeczywiście doniosłe wartości były dziełem twórczych jednostek, działających w obrębie ograniczonego środowiska ludzi wybitnie kulturalnie wyrafinowanych. Ostatecznie to samo dziś się dzieje na polu pracy naukowej. Od złudzeń „proletkultu” dawno odeszliśmy, zarówno w Rosji jak i gdzie indziej. Demokratyzacja kultury, sprowadzanie potrzeb i zainteresowań elity do poziomu potrzeb i zainteresowań mas, musi mieć fatalne następstwa i doprowadzi do powszechnego obniżania się poziomu kulturalnego, do postępującej barbaryzacji. W rzeczywistości też — wskazuje na to wielu z autorów, zajmujących się prądami współczesnej kultury — plebeizacja staje się synonimem barbaryzacji. W nieco zmienionej formie jest to nawrót do Mereżkowskiego „grjaduszcza cha-ma”, do „Nowego Średniowiecza” Wipperera, czy też do innych koncepcji katastrofizmu, tak popularnych bezpośrednio po rewolucji rosyjskiej. Oczywiście umotywowanie jest dziś zupełnie odmienne.

W tych obawach i utyskiwaniach jest spora doza słuszności. Socrealizm jest groźny nie tylko w Rosji. Jest on groźny i tam, gdzie nie czuwa nad nim aparat policyjno-krytyczny „Prawdy” i „Literaturnoj Gazety”. Miejsce tych ostatnich skutecznie może zająć zwyczajny komercjalizm. Trzeba przyznać, że cały szereg obserwacji, wskazujących na wulgaryzację i barbaryzację masowej kultury, ma swe obiektywne uzasadnienie.

I według wszelkich danych istnieją poważne elementy kryzysowe, dla kultury głęboko niepokojące, w tym kolosalnym rozpowszechnianiu się wartości, roznoszonych przez *media of mass communication*. Jednym z nich jest postępująca uniformizacja kultury, zatracanie się cech lokalnych, zarówno w sensie geograficznym jak i grupowo-społecznym. Powszechne na całym świecie dążenie do opierania się na motywach folkloru może być uważane za wysoce znamienne na to reakcję. Autentyczny folklor dawnej kultury wsiowej zamiera, a w społeczeństwach wysoce uprzemysłowionych zamarł on ostatecznie. Umarła tam bowiem dawna wieś. Prawda że wyłania się nowy folklor miejski, wyrosły w atmosferze życia wielkomiejskiego. Jest on jednak bardzo różny od tradycyjnego folkloru wiejskiego i sam z miejsca zostaje włączony w ramy, wyznaczone przez *media of mass communication*. Dawny folklor próbuje się ratować, nawet wskrzeszać, przenosząc go na sceny teatralne, estrady koncertowe, wystawy malarstwa itd. Oczywiście wszystko to razem niewiele ma wspólnego z właściwym folklorem, o ile w ogóle ma coś wspólnego. Jest jednak bardzo znamienne jako próba przeciwstawiania się uniformizacji dzisiejszej kultury.

Jednakże utyskiwania i pesymizm krytyków współczesnej kultury niesłusznie — jak sądzę — uderzają w tony katastrofizmu. Przeocza się bowiem, że *media of mass communication* nie tylko obniżają poziom życia kulturalnego. W gruncie rzeczy, wciągając w orbitę tego życia szerokie masy, budzą w nich nowe zainteresowania i potrzeby. A tym samym stopniowo nadają tym masom cechy wyrafinowania, jakie dawniej były właściwe tylko pewnym zespołom (nigdy nie całości!) warstw wyższych. Teren amerykański dostarcza tu wielu wskaźników.

Jeszcze nie tak dawno w Stanach Zjednoczonych dużo mówiło się o zabójczych dla kultury następstwach rozpowszechniania się telewizji. Zakładano, że ekran telewizyjny doprowadzi do zaniku czytelnictwa. Przypomnijmy, że lat temu trzydzieści różne Kassandry wróżyły sali koncertowej i książce niechybną śmierć z racji rozpowszechniania się radia. Ale na szczęście ani Kassandry sprzed lat trzydziestu ani te sprzed lat kilku słuszności nie miały. Radio nie zniszczyło estrady, nie zniszczyło sceny, i nie zabiło książki. Dziś to samo zdaje się odnosić i do telewizji. Przeciwnie, w Stanach Zjednoczonych ostatnio widzi się kolosalny wzrost czytelnictwa książki. Niewątpliwie jest to głównie — choć nie wyłącznie — *paperback*. Ale w tej postaci bardzo taniej książki wychodzą w kolosalnych nakładach arcydzieła literatury światowej wszystkich czasów — Homer i Cervantes, Platon i Milton — i są czytane.

Ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych przychodzą skargi na niedostateczność dotychczasowych pomieszczeń bibliotecznych i na niedostateczność zapasów książek. W okolicach podmiejskich New Yorku ostatnio wręcz masowo budowane są nowe pomieszczenia biblioteczne. A zdawałoby się, że pod względem rozwoju bibliotekarstwa Ameryka bije wszystkie inne kraje świata. W rzeczywistości ciągle jest za mało.

Radio i płyty nie zabiły muzyki. Kolekcjonowanie płyt — i to najlepszej muzyki i w najlepszych wykonaniach — staje się powszechnym *hobby*, wciągającym ludzi z bynajmniej nie wyrafinowanych kulturalnie środowisk. Luksusowe książki o sztuce (nota bene sprzedawane po cenach znacznie obniżonych przez specjalne „rabatowe” sklepy) cieszą się szalonym powodzeniem i to u ludzi, reprezentujących bardzo szeroki ogół. Pewnie że za tym wszystkim może ukrywać się snobizm, pewnie że wszystko to jest tylko namiastką dawnego arystokratycznego kolekcjonerstwa, ale efekt kulturalno-wychowawczy przez to się nie pomniejsza. Może jest nawet większy i głębszy.

Przykłady te mogą być mnożone w nieskończoność. Muzea są przepełnione, na koncerty trudno jest dostać bilety, i tak samo do teatrów. Ci, którzy tam idą, to często „nowi” ludzie kultu-

ralnie, ludzie, których rodzice nie myśleli o tych wszystkich sprawach, nie interesowali się nimi. Były one poza obrębem ich doświadczeń, zainteresowań i potrzeb.

Możliwe jest, że ci „nowi” ludzie w jakimś stopniu obniżają poziom życia kulturalnego, że nadają twórczości literackiej i artystycznej piętno popularności. Inaczej — że zmuszają czy kuszą twórców do takiego czy innego „sorealizmu”. Nie sądzę jednak, by na dłuższą metę było bardzo groźne. Ci ludzie są już „wciągnięci” i istnieją wszelkie szanse, że zainteresowania ich i potrzeby będą się rozwijać i pogłębiać.

I na jeszcze jedno warto przy tym zwrócić uwagę. Mówi się nieraz, że szalony rozwój technologii współczesnej i stale postępująca specjalizacja zabójczo wpływają na stan zainteresowań humanistycznych. Tu jednak znów doświadczenia dzisiejszego życia amerykańskiego zdają się mówić o wzroście zainteresowań humanistycznych, może właśnie jako szukaniu korektury w stosunku do coraz większej technologizacji życia. Wystarczy tu choćby wskazać na fakty, o których przed chwilą mówiliśmy.

VI

Wszystkie te refleksje nasuwały mi się, gdy w czasie moich europejskich odwiedzin widział tłumy z całego świata, zwiedzające Pitti i Uffizi, Muzeum Watykańskie czy Kapitołińskie. Podobnie jak mi się nasuwają, gdy odwiedzam zatłoczone muzea amerykańskie. Są to tłumy plebejskie. Uwagi, jakie ci ludzie robili, były naiwne, nieraz śmieszne, w każdym razie dalekie od uwag prawdziwych koneserów sztuki. Ale piękno tego, co oglądali, nie przechodziło bez śladu. Coś z niego zostawało. I jeżeli nawet w tych masowych pielgrzymkach do muzeów było bardzo wiele z obojętnej rutyny turystycznej i ze snobizmu (po powrocie do domu nie można powiedzieć, że nie oglądało się Kaplicy Medycejskiej), to jednak jakieś oddziaływania wychowawcze tu zachodziły i jakieś nowe zainteresowania musiały się budzić.

W grudniu roku 1961 nowojorskie Metropolitan Museum kupiło najdroższy obraz na świecie. Nawet w bogatej i przywykłej do wydawania szalonych sum na dzieła sztuki Ameryce rozlegały się słowa oburzenia. Wydać na Rembrandta dwa miliony trzysta tysięcy dolarów — czy to ma sens? Ludzie, którzy przyjdą do Metropolitan pogapić się na Rembrandta, będą chcieli zobaczyć najdroższy obraz na świecie, a nie wielkie dzieło sztuki. Ja jednak sądzę, że Metropolitan postąpiło słusznie.

Poszedłem i ja zobaczyć tego Rembrandta. Rzeczywiście jest

wspaniały. Co mnie jednak głównie uderzyło, to tłumy, jakie przed nim stały. Było rzeczą oczywistą, że dla dużej części tych ludzi była to pierwsza wycieczka do znakomitego muzeum.

Po obejrzeniu Rembrandta poszliśmy z żoną, jak za każdym odwiedzin Metropolitan, do mej ulubionej sali El Greco. I tam tłumy i znów składające się z ludzi dotąd w sali El Greco nie widywanych. Zobaczyłem tam dwie młode pary. Wyraźnie Włosi, wyraźnie jacyś małowykwalifikowani robotnicy (jednakże z kategorii bardzo dobrze zarabiających) i wyraźnie bardzo prymitywni. Jeden z nich zwrócił się do mnie. Był podniecony: *Listen, Mister, is all this hand-painted?* — Powiedziałem mu, że tak, że są to wszystko rzeczy ręcznie malowane, oryginalne. „I to było malowane trzysta lat temu?” — pytał. Tak, trzysta lat temu. „Joe, Joe — zwrócił się do swego przyjaciela — *look what this man says. All this was painted three hundred years ago. Gee, but this is so beautiful.* Człowiek ten był głęboko wstrząśnięty. Takie piękne i nie maszynowe. I trzysta lat temu umieli tak malować. W umyśle tego produktu włoskiego getta epoki mechanizacji następowała cała rewolucja. Zobaczył piękno tam, gdzie nie podejrzewał, że może istnieć — w dalekiej przeszłości i nie w produkcji maszynowej. I jestem przekonany, że ta jego pierwsza wycieczka do Metropolitan nie będzie ostatnią. Zarząd muzeum stwierdził, że w ciągu roku po nabyciu Rembrandta frekwencja zwiększyła się o dwa miliony odwiedzających. Mam wrażenie, że było to *good investment*, owo kupno najdroższego obrazu na świecie. Później coś podobnego powtórzyło się z Moną Lisą w czasie jej krótkich odwiedzin National Gallery w Waszyngtonie i nowojorskiego Metropolitan.

I w tym jest bodaj jeden z najważniejszych elementów wyłaniającej się z wielkiej rewolucji technologicznej naszych czasów nowej cywilizacji plebejskiej. Ci, których nazywamy „plebejami”, wznosząc się po drabinie życia społecznego i gospodarczego, przejmując od dawnych warstw wyższych nie tylko rzeczy zewnętrzne — szczegóły stylu życia czy formy wczasowania. Przejmują również i pewne zainteresowania kulturalne. Nie wątpliwie jest to w ramach tego, co jest określane jako *leisure*. Ale właśnie *leisure* — w najrozmaitszych zresztą postaciach, włączając w to wojnę i politykę — charakteryzowało *mores*, postawy i dążenia warstw dawnych. Podstawę materialną dawały tu określone czynności gospodarcze — od rabunków wojennych zaczynając i na rabunkach przemysłowo-handlowych kończąc. Druga rewolucja przemysłowa, niosąc ze sobą w krajach przodujących bezprzykładne w dziejach podnoszenie się stopy życiowej, daje podstawę materialną dla nowych klas społecznych. Są one równocześnie *working* i *leisure classes*. Rugowanie z procesu pracowa-

nia wysiłku fizycznego, zmniejszanie dnia i tygodnia roboczego, stwarzają szerokie możliwości dla wszelkich rodzajów wczasowania. A powszechna demokratyzacja życia zbiorowego utwierdziła w człowieku pracy przekonanie o jego prawie do *leisure*. Instytucje, szczególnie komercyjne, organizujące mu wczasowanie, intensywnie zapewniają go, że *leisure* jest jego świętym obowiązkiem.

To, że wciąganie nowych środowisk w sferę zainteresowań kulturalnych odbywa się w ramach *leisure*, jako forma wczasowania (i to najczęściej komercyjnie czy politycznie organizowanego), może budzić niepokój u tych ludzi, dla których sprawy kulturalne są czymś bardzo poważnym. Oburza ich rozrywkowe traktowanie tych spraw. Czy jednak były one traktowane inaczej przez dawne warstwy wyższe? Czy inne wobec nich było ustosunkowanie się świata arystokratycznego czy wielkoburżuazyjnego? W rzeczywistości były to te same rzeczy. Ilość ludzi, dla których sprawy sztuki, literatury czy nauki były czymś nadzwyczaj poważnym, była zawsze bardzo ograniczona. I ludzie ci z reguły zwracali się do tych, dla których sprawy te były rozrywką. Medyceusze mogli mieć bardzo subtelny smak artystyczny, ale ostatecznie chodziło im głównie o splendor dla własnego rodu. W tym z kolei mieściły się elementy rozrywkowe i widowiskowe dla tych gromad ludzkich, jakie Medyceusze usiłowali przy sobie i pod swym wpływem utrzymać.

Rzeczywiste niebezpieczeństwo znajduje się gdzie indziej. Plebeizm jest konformistyczny. Jest to zasadnicza cecha świata ludowego, nawet w cywilizacjach wielkomiejskich i industrialnych zachowana z tradycji wsiowych. W świecie tym może zachodzić wrzenie, może dochodzić do buntu, ale w swej zasadniczej konstrukcji jest to świat konformizmu. Nonkonformizm — wszelkiego rodzaju, polityczny i religijny, filozoficzny i artystyczny — jest i zawsze był właściwością świata „wyższego”, przede wszystkim — intelektualistów. Jest rzeczą wątpliwą, czy wczesne chrześcijaństwo było naprawdę dziełem prostaczków. Nowe odkrycia, dokumenty Morza Martwego, zdają się świadczyć o tym, jak wielką w nim była rola grup intelektualistów, w rodzaju Esseni czyków. I to samo da się powiedzieć o wszystkich innych wielkich przewrotach obyczajowych, religijnych, politycznych, o przewrotach w dziedzinie kultury. Nonkonformizm był stale przywilejem i cechą ludzi czy to materialnie niezależnych czy też reprezentujących ostrość intelektu. Przywódcami wszelkich ruchów „ludowych” byli wychodźcy z warstw nieludowych. Marks i Lenin nie są wyjątkami, są regułą.

Do tego konformizm naszych czasów ma za sobą potężne oparcie w *media of mass communication*, które w pewnych kra-

jach są całkowicie upartyjnione, w innych — wybitnie skomercjalizowane. Z dwóch tych krańców upartyjnienie jest szczególnie groźne. Jest ono bardziej sztywne, bezwzględne i zachłanne niż komercjalizacja, która z natury rzeczy musi wykazywać znacznie większą elastyczność. Sowiety w okresie Stalina i Żdanowa mogły służyć za przykład najbardziej krańcowego konformizmu, prowadzącego do katastrofy kulturalnej.

Zdając sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, nie powinniśmy jednak iść zbyt daleko w naszym pesymizmie. Konformizm był stale istotną cechą wszelkich środowisk ludzkich, nie tylko „niższych”, ale i „wyższych”. W tych ostatnich nie był on jedynie tak zasadniczym składnikiem obowiązującego wzoru, jak w świecie ludowym. To zaś w połączeniu z większą niezależnością materialną i społeczną stwarzało lepsze warunki dla wyłaniania się postaw i dążeń nonkonformistycznych. Ekscentryzm doskonale mieścił się we wzorze *gentleman'a*, nie mieścił się we wzorze *common people*.

Główną podstawę dla ostrożnego optymizmu dają fakty, świadczące o tym, że w świecie plebejskim nonkonformizm jest możliwy i że — co więcej — potrafi zaznaczyć swą obecność. Jako na taki fakt można wskazać na prądy protestu, jakie ostatnio dają się zauważyć wśród młodej sowieckiej elity artystycznej i literackiej. Elita ta pochodzeniowo wywodzi się ze świata plebejskiego, żyje i jest kształtowana w systemie krańcowego konformizmu. Reprezentuje ona generację całkowicie „sowiecką”, ma bardzo słabe kontakty ze światem niekomunistycznym. A jednak wśród ludzi tych zachodzi jakiś ferment, zarysowują się postawy heretyckie. I system zdaje się tu iść na pewne koncesje, tolerując obłąkany nonkonformizm, oczywiście jeżeli nie przekracza on określonych granic.

Stany Zjednoczone, w których konformizm jest wyłącznie formą presji społecznej, są szczególnie interesującym terenem obserwacyjnym. Tu przecież mamy przykład najbardziej rozwiniętej cywilizacji plebejskiej, i konformizm był stale jedną z najważniejszych jej cech. A jednak przez cały ciąg historii amerykańskiej występował na widownię potężny nurt nonkonformistyczny. Niewątpliwie miał on swe oparcie w tradycjach nonkonformizmu religijnego. Ale właśnie ten ostatni — i tu jest jedna z uderzających cech kultury amerykańskiej — miał podłoże wyraźnie ludowe, plebejskie. Miało to daleko sięgające konsekwencje. Nonkonformizm intelektualistów — głównie w dziedzinie politycznej i filozoficznej — mógł prowadzić do dalej sięgających następstw społecznych dzięki temu, że w szerszych masach istniały postawy nonkonformistyczne, wynikłe z radykalizmu religijnego.

Nie mam wrażenia, by tradycje amerykańskiego nonkonformizmu słabły (by nie mówić o zanikaniu) nawet w epoce dzisiejszego panowania skomercjalizowanych *media of mass communication*. Co więcej — właśnie te ostatnie w coraz większym stopniu liczą się z bardziej niezależnymi i heretyckimi aspiracjami. Wyraźnie jest rynek na nonkonformizm! Różne wydawnictwa książkowe i periodyczne, radiostacje dla bardzo wybrednych słuchaczy (niektóre z nich nadają znakomite programy), eksperymentalne teatry, muzea takie jak nowojorskie Guggenheima, itp. — świadczą o istnieniu zapotrzebowania na produkty kulturalne różne od amerykańskiego odpowiednika socrealizmu.

Rzecz w tym, że plebejskość się poleruje. W czasie mych europejskich odwiedzin uderzało mnie zachowanie się amerykańskich turystów — szczególnie młodszych. To byli plebeje wypolerowani, ludzie, którzy dzięki szkole i zapewne w jakimś stopniu dzięki tym samym *media of mass communication* osiągnęli postawy, formy zachowania się i zainteresowania, jakie dawniej były właściwe najkulturalniejszemu elementowi warstw „wyższych”. I w tym jest wielka nadzieja na przyszłość.

Tak bym oto podsumował swe turystyczne wrażenia z odwiedzin małego kawałka starej Europy. Zmienia się ona szalenie, jak zmienia się cały świat. Do głosu dochodzą nowe elementy społeczne i od nich zależeć będzie dalszy rozwój naszej kultury. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że przy wszystkich szalonych zmianach, jakie przynosi druga rewolucja przemysłowa, rozwój ten będzie wychodził z tego, co ludzkość potrafiła nagromadzić przez tysiąclecia swej historii. Nowi ludzie, nawet przeciwstawiając się starym, nawet negując swą zależność od nich, będą jednak ich spadkobiercami i w wielu rzeczach naśladowcami.

Aleksander HERTZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Poezja Czesława Miłosza

*Szczęśliwy naród który ma poetę
I w trudach swoich nie kroczy w mileczeniu*

Cz. Miłosz

I

Droga rozwoju poezji Miłosza jest jasna i konsekwentna. Jednolity a zarazem dynamiczny charakter tej twórczości jest darem dla krytyka, będzie kiedyś wdzięcznym polem do popisu dla historyków literatury. Jest także proza, która komentuje poszczególne wiersze, uzasadnia obrany kierunek. Można porównywać, można sprawdzać, można też czasem wytknąć sprzeczności. Konsekwencja i dążność do z góry obranych celów nie wykluczają jednak konfliktów i zmagania wobec przeciwstawnych pozycji artystycznych i moralnych. One właśnie często decydują o wartości poszczególnych utworów, a także o całokształcie pracy twórczej.

Właściwemu rozwojowi poety sprzyjała biografia. Nie tylko był świadkiem epokowych skrętów historii, ale dane mu było je przetrwać i opisać: *Ocalenie* nie jest przypadkowym tytułem tomu wydanego w r. 1945. Nie było to z różnych powodów dane Liebertowi, Sebyle, Uniłowskiemu, Witkacemu, Micińskiemu, Czechowiczowi, Baczyńskiemu, Frydemu, Borowskiemu. Miłosz miał czas dojrzeć w niepodległej Polsce, był świadkiem okupacji, widział i śledził z bliska „czasy pogardy”, teraz w wieży z kości słoniowej nad Pacyfikiem wchodzi w nowy okres twórczy, który sygnalizuje większość utworów w *Królu Popielu* i innych wier-

szach. Tragiczne dzieje, których był świadkiem i uczestnikiem nie stępiły jego wrażliwości poetyckiej, nie doprowadziły do zwątpienia i rezygnacji, mimo obaw (jakże w kontekście historycznym zrozumiałych) wyrażanych w r. 1945: „Sztuka nie jest równorzędnym partnerem w rozgrywce z wypadkami historii. Głód i śmierć mają silniejszą wymowę, niż najgenialniejsza strofa wiersza, czy najpiękniejsze barwy obrazu”. Kilka lat później usłyszymy jeszcze echo tego dylematu: „naoczny świadek historycznych tragedii jest szczególnie skłonny umieścić etykę ponad sztuką i wpaść w pułapkę artystycznego nihilizmu”.

Przeciwnie, dopiero wstrząs wojny i okupacji krystalizuje jego twórczość, oczyszczając ją z post-symblicznych mgławic, wykazując zarazem trywialność niemalże międzywojennych obaw katastroficznych. Tę rolę katalizatora w dalszych latach spełnia wzrastający nacisk terroru stalinowskiego. Dlatego większość utworów w *Ocaleniu* i wszystkie chyba pozycje w *Świetle dziennym*, a także *Traktat poetycki*, cechuje ostrość spojrzenia i energia ekspresji, których brak wierszom wcześniejszym i wierszom najnowszym.

II

Poezja (...) to esencja języka, najwyższa jego sprawność i precyzja. Poeta (...) to nie pryskający frazesami słowolej, ale rygorysta, człowiek o poczuciu surowej odpowiedzialności za to, co mówi.
Przybysz

*Awangardiści raczej się myli.
Wskrzyszali stary krakowski obrządek,
Więcej powagi przypisując słowom
Niż słowa unieść mogą bez śmieszności.*

Miłosz

Poza chęcią przeciwstawienia się całej poezji, a zwłaszcza poezji awangardowej, trudno byłoby streścić na czym polegała jego [Miłosza] koncepcja.

Brzękowski

Chcę nie poezji, ale dykcji nowej.

Miłosz

Wszyscy oni [Miciński, Sebyła, Miłosz, Zagórski, Czechowicz] w ostatnich latach przed wojną męczyli się jakimś nieokreślonym niepokojem i szukając, może nieświadomie, psychicznego odprężenia. Znajdowali je... w klasycyzującym wyrazie swoich doznań.

Szymański

Ze smutkiem stwierdzam, że w tej chwili [r. 1946] literatura polska wraca w renesans romantyzmu.

Miłosz

Przy analizie poezji dobrze jest posługiwać się dialektyką. Za każdą poetyką kryje się jej przeciwieństwo: czasem tylko wytwarza się synteza, ale nie jest ona koniecznym składnikiem dobrej poezji. I tak, mówiąc o poezji klasycznej, wykluczamy poezję romantyczną, chwając poezję prostą, krytykujemy poezję hermetyczną a ceniąc poezję czystą, wyrażamy pogardę dla poezji zaangażowanej. Poezja i teoria poetycka Miłosza dopraszają się takiego właśnie ujęcia, tymbardziej, że sam autor stale nam przypomina o istnieniu pewnych dualizmów, wobec których zawsze stara się zajmować zdecydowane stanowisko.

Ulubionym podziałem, nie tylko przecież u Miłosza, jest rozgraniczenie między klasycyzmem i romantyzmem. „Jesteśmy dzisiaj — powiada — świadkami czegoś w rodzaju wznowionego sporu pomiędzy romantykami i klasykami” i nie pozostawia żadnej wątpliwości co do własnego stanowiska wobec tego sporu:

Gdyby polscy krytycy i poeci — pisze w „Liście półotwartym o poezji” — poważnie traktowali swoje obowiązki, zwolaliby jakąś wielką naradę poświęconą klasycznemu wychowaniu młodzieży, bo tylko dobry program klasyczny mógłby sprawić, że powiedzenie Norwida „Nie tarcz, nie miecz są bronią narodu, lecz arcydzieła” nabrałoby prawdy. Dzisiejszym pozytywistom od nauczania (jest rok 1946 — A. Cz.) nie trzeba dowierzać. Są to, biorąc rzecz z literackiego punktu widzenia, romantyczni podżegacze. W głębi serca są mocno przekonani, że cywilizacja datuje się od XIX wieku, a reszta jest zawracaniem głowy.

Tradycja klasyczna zakłada prymat treści nad formą, klarowność wykładu, konsekwencję, dbałość o pewne „konwencje”. Nie znaczy to, że forma musi być „szatą zewnętrzną”, ale nie ona dominuje, jest za to sprawnym mechanizmem, za pomocą którego przekazywane są różne prawdy; bez większego trudu dają się one streścić prozą. Syntetyzujący umysł Miłosza zawsze zdradzał sympatie klasycystyczne, co pociągało za sobą ostrą krytykę poezji hołdującej wybujałej romantycznej wyobraźni, a skrytykowały je i pogłębiły przeżycia wojenne. „Kolejno rozpadło się w proszek to wszystko — pisał w r. 1945 — co było w literaturze wdziękiem dla samego wdzięku, odkrywczością psychologiczną dla samej odkrywczości, metaforą dla metafory”. Domagał się „literatury, która by wytrzymała konfrontację z rzeczywistością”. Oskarżał „tak zwaną awangardę poetycką” o „atrofię serca i wątroby”, o to, że skazała intelekt na kontemplację samego utworu poetyckiego, a nie „szerokiego świata”.

W zasadzie stanowisko Miłosza wydaje mi się na tle całości kształtu naszej nowszej poezji (od końca XVIII w.) bardzo zdrowe. Romantyzm, wcielający się później kolejno w symbolizm, modernizm, ekspresjonizm i surrealizm, wciąż dominuje

naszą poezję i jakiegokolwiek próby przełamania tego monopolu są poczytywane za zdradę. Oto co miał do powiedzenia Julian Przyboś o jednej z najambitniejszych prób dostosowania norm klasycznych do wymagań współczesności: „[Miłosz] zwersyfikował dywagacje historyczno-literackie i tę prozę — tyle tylko, że chaotyczną — nazwał, nie wiadomo dlaczego, *Traktatem Poetyckim*”. Miłosz i Przyboś stoją na dwóch skrajnych, wrogich sobie, stanowiskach poezji współczesnej, ich wypowiedzi o poezji dopełniają się idealnie drogą kontrastu i potwierdzają postulat, że tylko dialektyka tolerująca obie krańcowości umożliwi pełniejsze jej zrozumienie. „Ideal poezji integralnej, czystej — powiada Przyboś — (...) jest logicznym rezultatem ewolucji poezji od czasów symbolizmu”. „W 1943 roku — pisze Miłosz — dość jasno sformułowałem przyszłe obowiązki: ani „poezja czysta” abbé Brémonta i innych, późniejszych jej teoretyków, ani rosyjski socjalistyczny realizm”. Oba autorów możnaby długo jeszcze w tej wenie cytować. Dla pełni obrazu przytoczmy lapidarną i zachłanną definicję symbolizmu pióra Przybosia:

Symbolizm, jak wiadomo, usunął z poezji tematy opisowo-narracyjne, oczyszczając ją, prowadząc do czystej liryki. W poszukiwaniu treści specyficznie lirycznej poszedł dalej niż wszyscy lirycy minionych czasów. Powiem więcej: dopiero oni, lirycy symbolizmu, zrobili pierwszy naprawdę nowy krok od czasów Safony.

Oba stanowiska, zajęte w zaciętej walce, upraszczają, a więc fałszują zagadnienie. Rację ma Przyboś, powtarzając za Norwidem, że lirykę należy oczyścić z rymowanych powiastek, ale popełnia wielki błąd zakładając, że należy poezję raz na zawsze ograniczyć do małokalibrowych lirycznych wybuchów. Nowoczesna poezja świadomie i słusznie rezygnuje z wielu funkcji, które dziś z większym powodzeniem spełniane są gdzieindziej, ale nie wolno jej rezygnować z prawa do wyrażania całego człowieka, a nie tylko jego lirycznego śpiewu. Słusznie powiada Miłosz, że „czystą sztukę osiąga się przez wyrzeczenie czystej sztuki”. Obierając czystość Przyboś zrezygnował z szerokich horyzontów *Traktatu Poetyckiego*: transkrypcja tego utworu na poetykę Przybosia oznaczałaby redukcję do rozmiarów miniatury i wyrzeczenie się wszystkich prawie elementów, które stanowią o jego wartości.

Miłoszowi zaś trudno się dziwić, że doświadczenia wojny ugruntowały jego niechęć do „metafory dla metafory”. Ale choć na płaszczyźnie moralnej stanowisko Miłosza da się bez trudu uzasadnić — po prostu rozumie się samo przez się — w sferze dysput estetycznych poeta stoi na pozycji wyeksponowanej ułatwiającej niezrozumienie i nieporozumienie. Awangarda była prze-

cież rewolucyjna, dynamiczna, zwrócona ku przyszłości, podczas gdy Miłosz opowiadał się za dyscypliną klasyczną, dyskredytowaną właśnie ostatecznie przez skamandrytów, i dzięki temu powinowactwu formalnemu łatwo go było posądzić o epigonizm i niefrasobliwość. W tej sytuacji staje się zrozumiała jego chęć utożsamienia awangardy z nieobowiązującą zabawą i przekreślenia wszelkich innych prób nawiązania do tradycji przedromantycznych. Zrozumiała w wypadku Miłosza, aktywnie w dysputę zaangażowanego, ale nie w oczach krytyka starającego się obiektywnie obie strony osądzić. Bogata wyobraźnia operująca metaforą nie ogranicza się przecież do żonglerki słownej, przeciwnie otwiera nam światy nieznane chłodnej dyskursywnej poetyce, będącej „raczej sprawą dnia niż nocy”. Obok obiektywizującej klasycznej tradycji istnieje nie mniej szlachetna tradycja poezji szalonej, nie dającej się zredukować do argumentu lub tezy. Reakcji na Wolterowską ironię i racjonalizm zawdzięczamy irracjonalny nurt poetycki od Słowackiego, Coleridge’a i de Nerval’a aż po niektórych przedstawicieli młodej poezji polskiej. Nie bez powodu Yeats szukał oparcia w seansach spirytystycznych, mitologii i mistycyzmie Plotyna, nie bez powodu cenił Blake’a, który fizykę Newtona uważał za wymysł czartowski. Jest poezja powstająca z obrazotwórczej wyobraźni, której na próżno szukalibyśmy wśród wierszy Miłosza:

*Zaczęło się od mrugania ległych w kurzu powiek —
Nie wiadomo, kto z nich mrugał, ale już nie człowiek!*

*Głowa dudniąc mknie po grobli, szukająca karku,
Jak ta dynia, gdy się dłoniom umknie na jarmarku.*

*Piersią, sobie przywłaszczoną, jar grabieżczo dyszy,
Uchem, wbiegłym na wierzchołek, wierzba coś tam słyszy!*

*Oczy, wzajem rozłączone, tleją bez połysku,
Jedno brzęczy w pajęczynie, drugie śpi w mrowisku.*

*Jedna noga popod lasem uwija się w tańcu,
Druga włóczy się na kłęchkach po zbożowym łańcu.*

*A ta ręka, co się wzniosła w próżnię ponad drogą,
Znakiem krzyża przeżegnała nie wiadomo kogo!*

(Leśmian)

*Tajemnicę przesypując w sobie
jak w zamkniętej kadzi ziarno,
jechali trzej królowie
przez ziemię rudą i skwarną.*

*Wielbłąd kotłował jak maszt,
a piasek podobny do wody;
i myślał król: „Jestem młody,
a nie minął mnie wielki czas.*

*I zobaczę w purpurze rubinów
ogień, siły magiczny blask;
może stanę się mocniejszy od czynów
przez ten jeden, jedyny raz’.*

(Baczyński)

*Coraz ranniej, coraz wcześniej, przed świtaniem,
ledwie we śnie
w ciasnej wnęce
zajawieje brzezina,
zrywasz się i rozwidniasz
coraz jaśniej,
a więc rzeczywiście, więcej —
zrywasz się do coraz większej jawy do dnia,
do pożaru lasu baśni,
do ognia!*

(Przyboś)

*ciągle zachodzą sobą drogę wielobocznie
w bok otwartego blasku aby dojrzeć
i mnie i siebie w ich czerwonym oku
stoje wyraźniej od nagłego słońca
do mojej skóry jabłkiem otoczony*

(Karpowicz)

Drugą kwestią, która w rozważaniach Miłosza ulega uproszczeniu, jest sprawa świadomego nawiązywania poetów do poetyk przed-romantycznych. Miłosz zdaje się sugerować, że jest zupełnie

odosobniony w swych próbach przełamania żelaznego prymatu subiektywnego liryzmu. „*Nie lekceważyłbym* (podkreślenie moje — A. Cz.) — zauważa, komentując „*Essay on rime*” Karola Shapiro — tego drażenia przez poczęcie nowych tuneli, tego jej powracania poza wiek XIX-ty w poszukiwaniu form wypowiedzi, które są już tak osiadłe i zrównoważone, że zmuszają współczesnego artystę do zupełnej świeżości i czujności”. Pisząc tak, Miłosz zdaje się zapominać, że poezja XIX w. nie powstała z niczego, że przecież dziś bardziej niż kiedykolwiek widzimy jej związki z neoklasycyzmem i barokiem; zdaje się też zapominać, że on sam ceni „*Pana Tadeusza*” za obiektywizację, która rzekomo jest w XIX w. niemożliwa, a przecież nie tu koniec tej tradycji. Po Mickiewiczu podejmuje ją Norwid i na swój genialny sposób przeistacza w coś zupełnie nowego. W wypadku Łukasza Opalińskiego:

*Troskliwa matka, widząc kochanego
Syna, tak bardzo do wojny skłonnego,
Boi się, by mu młodość popędliwa
Zbytnią odwagą nie była szkodliwa,
By nie przywiodła do ciężkiego razu —
Niepamiętnego prośby i zakazu,
Który mu dała, z płaczem go żegnając
I Bogu pilnie w opiekę oddając.*

a później Stanisława Trembeckiego:

*Owieczki tam wydają nadobniejsze runa,
Bydło przynosi z pola pełniejsze wymiona,
Ziemia z wysoką lichwą powraca nasiona,
Pszczółka obficie robi miód droższy niż złoto,
Pasma rolnicze ciągnąc nie śpieszy się Kłoto...*

śledzimy poprawne wykorzystanie konwencji. Natomiast przy czytaniu poematu Norwida uderza nas ironia, dystans między autorem a opisywaną sceną, a także pozorna niedbałość formy, świadcząca o pełnym opanowaniu techniki wiersza narracyjnego:

*Tak cię nieraz Holender obfitym pędzłem
Z dziewięcioma dziewczki stawia na płótnie,
I nie nudzisz się przecie, lubo Olimp,
Przez mieszkańca mokrych kresłony równin,
Zielenieje wawrzynem, a wiatr jest chłodny
I nieumiejętnie pannom szarpie suknie.*

— One myślą coś przecie! — zacne blondyny,
 Silne w piersiach i w biodrach szerokie.
 Koń się pasie z dala biały i tłusty,
 Admetowy (podejrzewam) pegaz!

Podobną ewolucję, w przyśpieszonym tempie, przechodzi epicki element w poezji Miłosza od „Traktatu moralnego” i „Toastu” do „Traktatu poetyckiego”. W „Toaście” poeta trzyma się ściśle ustalonych reguł, w myśl traktatu „O nauce wierszopiskiej” Wacława Rzewuskiego „wiersz płynie gładko i bez szumu”:

Umiem jedną kreskę
 Stworzyć kraj, miasto, potop czy panią Wiśniewską
 Bo z odkryć moich mistrzów wyciągnąłem wnioski.
 Tylko dlatego służy mi rym częstochowski.
 Jak o poranku w górach kiedy mgła się przetrze
 I na radosne, jasne, wyglądasz powietrze
 Tak wchodzisz w nowy wiersz mój, może nie ognisty,
 Ale ostry, dobitny, krystalicznie czysty.

Ale w ciągu niespełna dziesięciu lat poeta zarzuci rym częstochowski na rzecz swobodniejszego toku białym wierszem. Opanowanie frazy poetyckiej w „Traktacie poetyckim” wynika bezpośrednio z przedstawianej treści, nie jest mechanicznym zastosowaniem przepisów na wiersz klasyczny:

Dzień ten przygasa. Świece zapalono.
 Na Oleandrach zamek karabinu
 Nie szczeka więcej i błonia są puste.
 W piechurskich butach odeszli esteci.
 Włosy ich zamiótł chłopak u fryzjera.
 Stoi na polach mgła i zapach dymu.

— — — — —
 Ostatni wiersz epoki był w druku.
 A jego autor, Władysław Sebyła,
 Lubił wieczorem wyjąć z szafy skrzypce
 Kładąc futerał przy tomach Norwida
 (.....)
 W tym swoim wierszu, jakby w testamencie,
 Do Światowida przyrównał ojczyznę.
 Zbliża się do niej świst i werbli wrzask
 Od równin wschodu i równin zachodu
 A ona śni o brzuku swoich pszczoł,
 O popołudniach w hesperyjskich sadach.

Czy za to strzelą w tył głowy Sebyle
 I pochowają go w smoleńskim lesie?

Miłosz dzieli też z Norwidem umiejętność tworzenia plastycznych, „dotykalnych” scen i obrazów. U Norwida będzie to dążenie do nadania poezji cech malarstwa i rzeźby:

Wtedy ty, matko, przez zarządzenie Boże,
 Uprzedzasz wszystkich, drogę znając drugą
 I stajesz cicho, gdzie drobne jest łożo.
 A świecy jasność okrywysz prawicą,
 Cień ręki rzucasz, wielki jak komnata,
 Którego palce, szyte błyskawicą
 Drżą, i baldakim stąd nad dzieckiem lata.
 Niemowle śni coś, a gwiazdy się świecą.

U Miłosza chęć wiernego odnotowania fascynujących zjawisk otaczającego nas świata:

Łeb dzika żyje, ogromny na cieniu.
 Najpierw kły tylko, potem się wydłuża
 I ryjem wodzi, węsząc, po sklepieniu,
 A światło w drżących rozplywa się kurzach.

Matka w dół płomień migotliwy niesie.
 Schodzi wysoka, sznurem przepasana.
 Jej cień do cienia dziczej głowy pnie się:
 Tak z groźnym zwierzem mocije się sama.

Ale do obu poetów odnosi się chyba motywacja twórcza, którą tak opisał Miłosz: „moje „poema naiwne”, o nieco łudzącej prostocie, jest traktatem metafizycznym, odtworzeniem w barwach i kształtach czarnej szkolnej tablicy, na której ksiądz Lallemand rysował swoje tomistyczne koła przy rue l'Assas”.

Prostota w poezji jest niełatwa do osiągnięcia, niełatwo ją też opisać. Potrafimy na nią wskazać palcem, ale wytłumaczyć na czym ona polega i krytycznie ją uzasadnić jest zadaniem tak skomplikowanym, jak próba oceny poezji tzw. trudnej czy hermetycznej. Sam termin jest względny: może znamionować ubogość wyobraźni, może też oznaczać świadome wyrzeczenie się efektów; a także prostota ekspresji nie gwarantuje prostoty wszystkich elementów kompozycyjnych wiersza — proste są „Treny”, proste są wiersze „Vademecum”, ale wiemy dobrze, że w rzeczywistości tak wcale nie jest, że nie możemy porównywać ich

z prostotą wierszy Syrokomli czy Lenartowicza, gdyż są traktatami metafizycznymi o prostocie pozornej. Jasne jest, że do takiej niełatwej prostoty zmierza poezja Miłosza.

Podobny cel obrała sobie młodsza poezja powojenna. Zwraca na to uwagę Miłosz, pisząc w r. 1956, że „dążenie do nagości języka u niektórych amerykańskich poetów nie jest bynajmniej lekceważeniem formy — tak jak nie jest w Polsce u Tadeusza Różewicza (...) i u nowych poetów emigracyjnych”. Sześć lat później stwierdza bardziej bezpośrednio: „napisałem podczas wojny cykl wierszy *Głosy biednych ludzi*, który i przez swoją technikę i pokazane postawy zawierał *in statu nascendi* późniejszą poezję Tadeusza Różewicza. Z kolei następców Różewicza się namnożyło i bunt przeciwko literackości zmienił się w układ literackich chwytów, znów wymagający przezwyciężenia, ale tak zwykle bywa”. Miłosz ma o tyle rację, że Różewicz, ale przede wszystkim Herbert, kształcili się na m.in. lekturze *Ocalenia*. „Piosenkę o końcu świata” mógłby może napisać Różewicz, mógłby z pewnością napisać Herbert:

*W dzień końca świata
Pszczola krąży nad kwiatem nasturcji,
Rybak naprawia błyszczącą sieć.
Skaczą w morzu wesołe delfiny,
Młode wróble czepiają się rynny
I wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.
(.....)
A którzy czekali błyskawic i gromów,
Są zawiedzeni.
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,
Nie wierzą, że staje się już.
(.....)
Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,
Powiada przewijając pomidory:
Innego końca świata nie będzie.*

pochodzi jednak z cyklu *Głosy biednych ludzi*. Trudniej byłoby wykazać podobne pokrewieństwo w wypadku pozostałych utworów cyklu, a poza tym cyklem drogi Miłosza i Różewicza rozchodzą się zupełnie. W poezji powojennej Miłosz słusznie dostrzega nagość języka i „bunt przeciwko literackości”, co nie jest jednak synonimem wypracowywanej przez niego prostoty ekspresji. Dąży on do klasycznej klarowności, którą osiąga się nie przez bunt przeciwko literackości, ale właśnie dzięki podporządkowaniu się

konwencjom i kanonom dobrego smaku. Oczywiście Miłosz nie poddaje się tym wymogom biernie, ale tego rozróżnienia nie chce przyjmując np. Przyboś, dla którego takie jawne, bezwstydne niemalże, nawiązywanie do wzorców poetyki XVIII w. jakim jest „Traktat poetycki” jest albo epigoństwem albo nieporozumieniem artystycznym, co w rezultacie na jedno wychodzi. Na tej tylko zasadzie da się wytłumaczyć pozorna sprzeczność w stanowisku Przybosia, który, jak widzieliśmy, potępia „Traktat” za prozaiczność, a jednocześnie gotów jest bronić tego elementu w poezji Różewicza:

(...) paradoksalny pojedynek obrazu poetyckiego z prozą służy najczęściej Różewiczowi do uwydatnienia — obrazu (...). Poeta zdaje sobie sprawę z ryzyka które podjął. Wie, że jego metoda, sprzeczna w sobie, wiedzie ostatecznie albo do milczenia albo do prozy. Ale miarą jego siły jest to, że się nie ulął poezji i podniósł przeciw niej bunt. Chciał zrobić poezję — bez poezji, poezję antypoetycką. I choć to niemożliwe, zdaje się nam niekiedy, że niemal że zrobił.

Otóż właśnie, autor „Głosu anonima” podniósł przeciw poezji bunt, stworzył poezję antypoetycką, poezję antywatorów, jak to określił Brzękowski, i razem z Białoszewskim, a także wielu innymi, odrzucił całą aparaturę literackości, której nie przestał nigdy być wierny Miłosz. Podczas gdy poeci debiutujący w latach 1956-60 musieli się oprzeć na poetyce nagiej, brutalnej i groteskowej, Miłosz uciekał się do subtelnych efektów stylistycznych w „Traktacie moralnym”. Jego poezja nie może się obejść bez pewnego minimum stylizacji, a gdy jej zabraknie lub gdy jest ona sztucznie maskowana, osuwa się w banalność. Samolot amerykański ląduje po zrzuceniu bomb na Hiroszynie:

*Dotknął, skoczył, biegł.
Znów zagrzmiały motory, skręcił, biegł w zieleni
I wstrząsnął się i uciął a młodzi lotnicy
Szli do kwater składać dłuższy niż zwykle meldunek.*

Podkreślone przeze mnie słowa są próbą wytłumaczenia w kontekście *uderstatementu*, ale tu ton spokojny, wypompany z wszelkiego uczucia, jest takim samym nietaktem, jakim był opis bombardowania w technikolorze. Bardziej może drażniące i rzucające się w oczy jest niezręczne przedstawienie dziejów kapitana Makowskiego w „Kronikach miasteczka Pornic”. Leży pochowany na cmentarzu wojennym obok Angielki rosyjskiego pochodzenia w miasteczku, w którym kiedyś Juliusz Słowacki pisał „Genezis z Ducha”. Fakty mówią za siebie, ich tragiczna ironia jest oczywista, ale poeta nie może się oprzeć pokusie, by tę ironię jeszcze podkreślić grubą czerwoną kredką:

Znów nie uważasz Makowski! I nauczyciel polskiego
 Szlachetnie recytował początek „Genезis z Ducha”:
 (.....)
 Makowski nie uważał. Makowski chciał na boisko.
 Nie mógł odgadnąć, że będzie częścią tego właśnie krajobrazu,
 Ani że po Londynie biega Muriel Byck
 Dozgonna i pozgonna przyjaciółka.

Może już lepiej było zrobić z kapitana Makowskiego wielkiego
 znawcę i miłośnika Słowackiego. Ale ta wykoncepowana nadbu-
 dowa jest zupełnie zbędna, wprowadza tylko element żenującej
 klikiwości.



Jedną bardzo ważną formą poetyki klasycznej jest poemat
 satyryczny: wskrzeszenie tej formy przez Miłosza jest wielkim
 osiągnięciem. Zadania tego nie mógłby oczywiście podjąć ani
 Leśmian ani Przyboś ani Czechowicz, ani też, z innych względów,
 poeci *Skamandra* (1). Umysł Miłosza był idealnie dostosowany
 do tego zadania wymagającego dużej inteligencji i techniki pisar-
 skiej.

Wiersz satyryczny jest z natury utworem wtórnym, pasy-
 żniczym, racja jego bytu skupia się w obiekcie będącym przed-
 miotem satyrycznego ataku. Jeżeli jest nim coś trywialnego, życie
 danego utworu jest krótkie: spełnia może ważną ale przejściową
 funkcję społeczną. Satyry Juwenalisa, Pope'a, Naruszewicza, Kra-
 sickiego, są dziś czytane dlatego, że przedmiotami ich ataku są
 zasadnicze ułomności natury ludzkiej: specyficzne sytuacje, które
 oni opisywali, nie zawsze pokrywają się z dzisiejszymi warun-
 kami, ale wciąż jest cenne ich moralne stanowisko. Dawna satyra
 była najczęściej społeczna i obyczajowa w charakterze, czasem
 polityczna, rzadziej ideologiczna (z tą ostatnią zawsze najtrudniej
 w jakimkolwiek systemie). Satyra Miłosza ma bazę przede wszy-
 stkim polityczną i ideologiczną, a jej najambitniejszymi przykła-
 dami są „Traktat moralny” z r. 1947 oraz „Toast” z r.
 1949 — daty są oczywiście znamienne. Ale pierwszą chyba próbą
 na tym polu jest pamfletowy wiersz „Na pewną książkę”, gdzie
 w zasadzie więcej inwektywy niż satyrycznego dystansu:

(1) Tu dla uwydatnienia obrazu można na marginesie odnotować smutny
 fakt, że nasza przedwojenna awangarda poetycka (prócz może futurystów)
 pozbawiona była poczucia humoru. Dar ten szczęśliwie posiadali ich francuscy
 mistrzowie. Lepiej rzecz się miała w prozie (Witkacy, Gombrowicz, Unilow-
 ski).

Żaloszny widok — ten płacz nad rzekami Babilonu,
 Inteligenci w opadłych portkach wskrzeszający nowe
 [średniowiecze.

Jak pijacy waląc się pod stół po uczcie obfitej,
 Chwytając się obrusa ściągają zastawę —
 Tak wy leżycie między napoczętym kapłanem Abelarda
 Podłani sosem z Arystotelesa (...)

Ale w „Toaście”, który cierpi co prawda na dłużyżny, Miłosz
 przyswoił już sobie finezyjne chwytły klasycznej satyry. Buduje
 więc sceny o zdecydowanym ładunku uczuciowym, by je nagle
 obalić w paru słowach:

Po latach, kiedy jeszcze śniegi
 Chlupią w obóz Dipisów północnej Norwegii,
 Jest brytyjski komendant z laseczką trzciniową.
 Uśmiecha się. Rozumie przecie każde słowo.
 Gorliwszych patriotów bierze pod swe skrzydło
 Cicho mrucząc przez zęby: „Boże, cóż za bydlę”.

Nie tylko sama metoda naglej deflacji ale i ton całego ustępu
 jest wzorowany na satyrze XVIII w. U Krasickiego czytamy:

Idą zatem dyskursu tonem statystycznym
 O miłości ojczyzny, o dobru publicznym,
 O wspólnych projektach, mężnym animuszu;
 Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu;
 (.....)
 Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzim,
 Tych bijem wstępnym bojem, z tamtymi się godzim;
 A butelka nieznacznie jakoś się wysusza,
 Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
 Trzeciej, czwartej i piątej aniśmy postrzegli.

Niemniej charakterystyczna jest metoda rozwijania dwóch sprzecz-
 nych wątków, by efektownie obnażyć obłudę krzewiącą się między
 słowem a czynem:

Oto siedzi starszyzna.. Grają sobie w karty
 I koniak dobrej marki wączbają otwarty.
 „Ofiary muszą być” — rzecze jeden basem,
 Kładzie kartę i stuka podkutym obcasem.
 „Karo” powiada (...)

Można to czynić (jak w przytoczonym właśnie przykładzie) za pomocą obrazka rodzajowego, lub posługując się uważnie wyważoną retoryką:

*Kto ma tak zwane wpływy, zaraz się uważa
Za znawcę sztuki, badacza, mędrca i pisarza,
Rozcina w artykułach przy każdej niedzieli
Problemy nad którymi artyści siwieli,
I nikt mu wytknąć nie śmie, że słabo rozróżnia
Co jest tytuł, co autor, a co treść, co próżnia.*

Naruszewicz potrafi obie metody połączyć, osiągając tym efekty ostrzejsze niż Miłosz:

*Słyszałem, jako sypie na klasztor jałmużny,
A drzwi każde zamykać, będąc kupcom dłużny.
Na jednych liczy gałkach procent i pacierze:
Dziesięć „zdrowych”, a od sum po piętnaście bierze.
Szarga sławę bliźniego zaraz po koronce;
Gorszy się, a sam w cudzej kwerenduje żonce.
Piątek suszył o grzankach, pił jak byk w niedzielę;
W wieczór był na Nalewkach, a rano w kościele.*

Jest jeszcze inna, bardziej osobista, mniej koturnowa forma satyrycznego ataku, którą Miłosz czasami się posługuje. Utrzymana jest w tonie piosenki, gdzie dużą rolę odgrywa refren i powtórka w różnych kontekstach kluczowych słów. Pierwsza zwrotka „Przypomnienia” zaczyna się tak:

*Świat nasz niewątpliwie
Na lepsze się zmienia.
Błyszczącej machinie
Poddana jest ziemia.
Nieszczęście nawiedza
Nieszczęsne krainy,
Z nas każdy szczęśliwy,
Bo wolny od winy.*

i kończy, podobnie jak trzy następne zwrotki, refrenem:

*O Grecji, o Grecji
Któż tutaj pamięta.*

Temat co prawda nie nowy i był już ciekawiej rozpracowany

przez Norwida, Pounda i Eliota (2). Lepiej wypadła „Piosenka o porcelanie”, gdzie temat satyryczny (stłuczona porcelana jest w oczach protagonistki wiersza największą stratą wojenną) wzbogacony jest o element grozy poprzez groteskowe obrazowanie:

*Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.*

*Równina do brzegu słońca
Miazgą skorupiek pokryta.
Ich warstwa rzeźko chrupiąca
Pod mymi butami zgrzyta.*

Niewątpliwie jednak najbardziej interesującym, najbardziej oryginalnym wkładem Miłosza do tradycji poezji satyrycznej, są poematy, których tematem jest „ironia dziejów”. Podobnie jak Norwid, podobnie jak Brzozowski, poeta ulega fascynacji historiozofii. Prędzej czy później, każdy student tego niesfornego przedmiotu, posiadający zmysł humoru i poczucie absurdu, musi dostrzec stałą, niezmienną w swych zasadniczych zarysach dysproporcję między zamierzeniem a wykonaniem, między ideałem ideologii a ułomnością człowieka. „Portret z połowy XX w.” zwięźle ujmując dialektykę dziejową spełniającą się w umyśle typowej jednostki:

*Rękę oparł na pismach Marksa, ale w domu czyta Ewangelię.
Z ironią patrzy na procesję wychodzącą z rozbitego kościoła.
Za tło ma ruiny miasta koloru końskiego mięsa.
W palcach pamiątkę trzyma po faszyście poległym w powstaniu.*

a „Dziecię Europy” egzemplifikuje dalsze, tragiczne, konsekwencje całkowitego poddania się „nieodwołalnym” procesom historycznym:

*Kto ma władzę, zawdzięcza ją logice dziejów.
Oddaj logice dziejów cześć jej należną.*

(2) Miłosz chyba nie pamiętał o tym wierszu, kiedy krytykował później „historyzm regresywny” wprowadzony do literatury „przez trójkę Hulme-Pound-Eliot, która idealizowała minione cywilizacje”. „Jestem zresztą — pisał dalej — jak najdalej od chęci wyrzucenia za burtę poetów przeprowadzających krytykę nowoczesnej cywilizacji w imię przeszłości, bo sama w sobie ta krytyka jest nieraz celna. Wolę jednak Whitmana i literaturę zdolną do orlich rzutów zwycięstwa”.

*Niech nie wiedzą usta wypowiadające hipotezę
O rękach które właśnie fałszują eksperyment.*

*Niech nie wiedzą twoje ręce fałszujące eksperyment
O ustach, które właśnie wypowiadają hipotezę.*

*Umieję przewidzieć pożar z dokładnością nieomylną.
Po czym podpalisz dom i spełni się co było miało.*

W tych wierszach, a przede wszystkich w „Traktacie moralnym”, który jest najambitniejszą próbą poety w tej dziedzinie, Miłosz krystalizuje jeden z bardziej tragicznych objawów naszej epoki. Jest nim atrofia moralna ludzi, którzy uwierzyli, że konieczność historyczna wyzwala człowieka od odpowiedzialności osobistej. O tej chorobie XX wieku pisze też Miłosz słusznie w *Rodzinnej Europie*:

Ponieważ ten rodzaj pogardy [„nienawiść do burżuazji”], choć intelektualnie użyteczny, prowadził mnie później do wielu błędów, podejrzliwie dzisiaj odnoszę się do intelektualistów deklamujących o rewolucji. Miłość do uciskanych dostarcza im pretekstu, ale grają swoją grę. Pretekstem jest też ostatecznie pełniejsze zrozumienie (np. „procesów historycznych”). Chodzi o to, żeby innych zepchnąć do rzędu przedmiotów, a siebie uznać za podmiot.

Na tle tych konfliktów należy odczytywać wiersz „Do Jonatana Swifta”. Jest to jeden z najbardziej udanych utworów poety: jest syntezą ironiczno-historiozoficznego nurtu jego poezji, jest lapidarnym podsumowaniem problemów moralnych artysty, posiada wreszcie doskonałość formy, którą poeta osiąga poprzez zgranie swobodnego toku wiersza z rygiem rytmicznym suchej tradycyjnej strofy. Wiersz ten jest wzorowym przykładem twórczego wykorzystania kanonów poezji klasycznej:

*Poznałem także plemię Jahu
Co wielbi własne ekskrementy,
Żyjący w niewolniczym strachu
Donosieli ród wyklęty.*

*Życie się moje przełamało
Na fazy najzupełniej różne,
Solą burz morskich w serce wiało
Lecz nie jest jeszcze całkiem próżne.*

(.....)

*Daj mi sekrety swego wieku
Abym nie krzywił się obłędnie
Jak ci, co prawią o człowieku
I tylko cicho skomlą we śnie.*

(.....)

*Trwalszy twój dom pod krzykiem sowy,
Gdzie noc irlandzkie sypie deszcze
Niż grymas książąt marmurowy
I drzewa lauru przypoclebcze.*

Utwór jest wreszcie godnym hołdem złożonym wielkiemu tragicznemu ironiście wieku Oświecenia.

III

Romantyczna rola poezji — poezji zastępującej wszelką literaturę — raz na zawsze skończyła się, przynajmniej na naszym gruncie. Osobiście np. wolę przestudiować jedno przemówienie Chruszczowa, niż najbardziej zaciekle pamflet poetycki przeciwko imperializmowi. Pamflet zawsze powie tylko tyle, ile wiem na pewno: że imperializm jest zły. Ale jak imperializm działa dzisiaj, w niedzielę 27 czerwca 1962 roku, o tym dowiem się z przemówienia Chruszczowa.

St. GROCHOWIAK

Powiecie, że eskapizm. Będziecie mieli rację. W dobie rakiet międzyplanetarnych inne są sposoby opanowania świata. Poczucie siły i mocy. Nic z tego w młodej poezji. Jak ogromnie odległa jest ona od nurtów przedwojennych. Jak podstawowo różni się od ufności Skamandra w wartość racjonalnego nastrojowego opisu, od wiary pierwszej awangardy w precyzję racjonalnej metafory.

Zachowaliśmy wspólność chyba tylko z katastrofizmem. I to nie tyle z apokaliptycznymi, pełnymi grozy przedwojennymi wizjami Miłosza i Zagórskiego, których spełnienie opiewać mieli dopiero dwaj młodzianowie: Tadeusz Gajcy i Krzysztof Baczyński. Oni są pierwszymi męczennikami nowej poezji.

Jacek ŁUKASIEWICZ

Dante in Purgatory and Paradise was still the voice of the Middle Ages but not through fulfilling any social obligation. Since that is the role most frequently urged, if that role is eliminated, and if a possible poet is left facing life without any categorical exactions upon him, what then? What is his function? Certainly it is not to lead people out of the confusion in which they find themselves. I think that his function is to make his imagination theirs and that he fulfills

himself only as he sees his imagination become the light in the minds of others.

W. STEVENS

*Poezja nie jest kwestią moralności
Jak dowiódł Szeniowski, lejtnant Krasnoj Armii.
Kiedy w obozach dalekiej północy
W szkło zastygły trupy stu narodów
On pisał odcinek do Matki-Syberii.
Jeden z piękniejszych, tak jest, polskich wierszy*

MIŁOŻ

Większość poetów stara się świadomie lub podświadomie oczyszczać i upraszczać swą poezję. Niewielu jest takich, którzy gotowi są bronić hermetyczności i zawiłości jako cnoty, która tłumaczy się samą przez się: oskarżeni o niezrozumiałość, odpowiedź jest równaniem w dół. Nic dziwnego więc, że bezpośredniość ekspresji, która unika wulgarności i banałów, bywa często charakterystyką wielkiej poezji, osiąganą po długoletniej praktyce. Miłosz, jak widzieliśmy, jest wprost agresywnym głosicielem absolutnej wartości prostoty, której nie ogranicza do strony formalnej. Wyzbycie się pustej dekoratywności, łatwego liryzmu, jest cechą dojrzałości nie tylko estetycznej, sygnalizuje dojrzałość moralną i poczucie odpowiedzialności:

*A potem, matko, przychodzi dojrzałość
A z nią dążenie aby doprowadzić
To co złożone do najprostszyc form
I chęć służenia ludziom.*

„Poezja jest prawda” powiada w innym wierszu. Dumnie i bezkompromisowo określa swoje stanowisko w „Przedmowie” do *Ocalenia*:

*Zrozum tę mowę prostą, bo wstydzę się innej.
Przysięgam, nie ma we mnie czarodziejstwa słów.
(.....)*

*Czym jest poezja, która nie ocala
Narodów ani ludzi?
Współnictwem urzędowych kłamstw,
Piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardła,
Czytanką z panieńskiego pokoju.*

Ale choć sentyment wyrażony tu jest bardzo chwalebny, deklaratywny ton brzmi trochę głucho: poeta protestuje zbyt głośno,

byśmy mu na słowo mogli uwierzyć. Dostrzegamy nutę samoobrony, tłumaczenia się przed samym sobą: „Przedmowa” wprowadza przecież jeden z pierwszych tomów poezji wydanych w powojennej Polsce i śledzić w nim można bez większego trudu, a z dużym pożytkiem, kolejne przeobrażenia i etapy twórcze. Przeżycia wojenne zaostrzają wizję nie tylko dlatego, że poeta wyzbywa się „metafory dla metafory”, ale i dlatego, że porzuca, a raczej próbuje porzucić złudny świat, który opiewał w poezji przedwojennej. Właśnie dlatego, że poezja Miłosza jest organizmem obfitującym w wewnętrzne konflikty, deklaracja „Przedmowy” nie ujawnia całej prawdy. Gdyby pocie udało się podporządkować swą twórczość ograniczającym sloganom „Przedmowy”, nie byłoby sensu poświęcać jej tyle czasu.

W sferze dążeń formalnych, które badaliśmy w cz. II, drugi biegun dialektycznego rozgraniczenia klasycyzm-romantyzm leży poza obrębem poezji Miłosza, ale schodząc głębiej do etycznych podstaw jego poetyki natrafiamy na elementy innego dualizmu, z tą jednak istotną różnicą, że *oba* jego krańce tkwią tam silnie zakorzenione. Wojna uwypukla obecność tych sprzeczności: pierwszy wiersz okresu wojennego, „W malignie 1939”, wprowadza nas w centrum problemu, z którym poeta nie przestanie przez długie lata się zmagać:

*Jak pszczoła, kiedy z żądłem wyrwanym upada,
Albo wiosenna chmura, gdy wiatr ją porywa,
Już odejść pora.
I nóg nie plątać w żadnych ziemskich winogrodach,
Filonu nie udawać pod lipą z wieczora.*

Filon nie jest tu postacią przypadkową. Element arkadyjski (3) w poezji Miłosza zmienia z biegiem lat rolę ale nigdy nie zanika i choć Miłosz, jak przystało na poetę „zaangażowanego” — ilu poetów w naszych czasach wzięło ten nakaz dziejowy zbyt poważnie! (4) — wstydzi się tej słabości, jest on w rzeczywistości

(3) Zwrócił uwagę na jego obecność Kazimierz Wyka, ale uczynił to nieudolnie, co pozwoliło Miłoszowi przekonywująco obronić się przed tym „zarzutem” (por. „List półotwarty o poezji” w *Kontynentach*).

(4) I nie tylko poetów: w zabawne nieporozumienie zaplątał się swego czasu A.J. Wierzbicki pisząc o „Traktacie poetyckim” w *Przeglądzie kulturalnym*. „(...) uważam — stwierdza z namaszczeniem — że Październik nie jest tym samym dla nas co dla Miłosza. Jest przecież kontrargumentem przeciw wszystkim jego racjom, jest dowodem ślepoty politycznej autora *Zniewolonego umysłu*. A Miłosz pisze „Ode na chwałę Października” (która jest częścią „Traktatu” i nazywa się po prostu „Oda” — A. Cz.). Brak konsekwencji. Recenzent nawet przez chwilę nie dopuszcza myśli, że „październik” z malej litery może być tylko nazwą miesiąca.

bardzo wartościowym składnikiem wierszy, w których występuje, nie jako motyw główny, ale jako pokusa czy też jako odskocznia. „Rzeka” posiada cenną dozę gorzkiej ironii właśnie dzięki temu, że zaczyna się niewinnie, jako utwór pastoralny w tradycji Stanisława Trembeckiego:

*Wisto, rymem polotnym tyle opiewana,
W kłasiach lamp, w żagli kwiatkach, uśmiechach i pianach,
Modrooka Wisielko! Ukaż się — prawdziwa.
Niech twoja woda żadnej goryczy nie zmywa
I pamięć niechaj da — nie zapomnienie.
Choć inaczej o tobie pomników kamienie
Mówią, wiemy czym jesteś: straszną, pustą rzeką,
Po równinach rozlaną, patrzącą od wieków
Na kraj krzywdy i żalu.*

Wątek ten powraca znów zupełnie naturalnie w bogatszej oprawie wiersza pt. „Książka z ruin”:

*Tylko gdy się splotą
Dwie epoki, dwie formy, zmąca się czytelność
I widać, że nie bywa nigdy nieśmiertelność
Samotna, lecz z dniem naszym złączona — i po to.
Wyjmujesz wtedy mały odłamek granatu,
Co przebił ciało pieśni o Dafnis i Chloë (...)*

Wiersz ten kończy się tak:

*W ciemnym gmachu błędząc, robotnicy
Siadali przy ognisku, które promień wąski
Zapalał na posadzce. Wlekli ciężkie książki
Stół na nich stawiając i kładli chleb. A na ulicy
Czołg zaklekotał, tramwaj zadzwonił. Tak proste.*

W konfrontacji z takim utworem błędną przedwojenne wizje apokaliptyczne. W *Trzech zimach* jest mowa o dniu co świat pali, ale gdy wypełni się czas, pole widzenia zaciemni odłamek granatu który przedziurawił książkę. Na tle poezji wojennej i powojennej, katastrofizm okaże się odmianą (dość szczególną, to prawda) złudnej arkadii.

Naturalnie w wypadku Miłosza arkadyjskość nie oznacza wcale trywializującej kłiwkości, choć przyznać trzeba, że niejeden jego wiersz przedwojenny cierpi na przesyt mętnych przegadanych skojarzeń francuskich post-symbolistów (np. Oskara Miło-

sza). Oznacza w jego wypadku wiele innych rzeczy, oznacza m. in. próbę wyzwolenia się z „miejsca i czasu”: na tej właśnie zasadzie Miłosz chwali poetę amerykańskiego, który na froncie tworzył esej poetycki o sztuce rymotwórczej „zamiast pisać nostalgiczno-patriotyczne wiersze, co niewątpliwie zrobiłby poeta polski”. Miłosz w tym samym czasie komponował swoje „poema naiwne” i „Skargę dam minionego czasu”, ale pisał też przecież wiersze „okupacyjne”, wcale nie nostalgiczno-patriotyczne, znów podkreślając tkwiący w sobie dualizm. Miejsce i czas można więc przezwyciężać wprost, jak to właśnie czasem robił Miłosz, jak robił to podczas pierwszej wojny światowej angielski poeta Wilfred Owen, opisując realia wojny okopowej.

Poddając się tęsknotom arkadyjskim, Miłosz rejestruje drzemającą w każdym z nas chęć destylowania, systematyzowania rzeczywistości, aby stworzyć świat uporządkowany, idealny. W tym dążeniu kryje się niewątpliwie pokusa eskapizmu i atrofii moralnej. Miłosz zdaje sobie z tego sprawę i dlatego będzie wciąż swoją arkadię, porzucał, ale gdy presje z zewnątrz okażą się nie do zniesienia, wróci do niej i dylemat znów się powtórzy. Gdy „W Warszawie” z r. 1945 przyzna, że rzeczywistość zdystansowała jego przedwojenne prorocтва:

*To brzemię
Nie jest na moje siły
(.....)
Czyż na to jestem stworzony,
By zostać płaczką żalobną?*

Kazimierz Wyka oskarży go o eskapizm. „Czy krytyk — odpowie zniecierpliwiony poeta — nie dostrzega ironii artystycznej, polegającej na przeciwstawieniu: poeta nie chce zostać płaczką żalobną, ale tą płaczką żalobną zostaje?”. W „krainie pozornej” słysząc „zgrzyt nakręcanych słowików”, ale one też na równi z prawdziwymi słowikami („Czemu w naturze, jak neon gorącej, Na zawsze sobie nie założyć domu?”) pozostaną źródłem stałej fascynacji. Łatwo być eskapistą, łatwiej jeszcze być bardem bojowym i działaczem dziejowym, ale trudniej o wiele uciec od tych prostych szablonów by wyrazić w wierszu nieskłamany konflikt:

W Stanach Zjednoczonych pewien pisarz amerykański namawiał mnie żeby osiadł sobie na farmie i spokojnie pisał wiersze. Odpowiedziałem, że nie miałbym o czym pisać — i wyjechałem z Ameryki. Bo coś pecha nas w karkołomne sytuacje aby się dopełniło. Aby czara została wypita. I oczywiście, że kiedy się pije, jest nie w smak i wtedy myśli się o jakiejś dolinie, farmie, chińskim murze — byle dzień, tydzień, miesiąc wytchnienia. Między

tymi sprzecznymi chęciami wypada żyć, mając ciągle przed sobą przykłady ludzi co ulegli i podali się do dymisji.

Temu właśnie niepokojowi wewnętrznemu zawdzięczamy wiele utworów świadczących o szerokim zasięgu wrażliwości poety. Miłosz chłonie wrażenia, żywo interesuje się tym, co się naokoło niego dzieje: nie tylko zdaniami i przedmiotami, ale przede wszystkim ludźmi. To humanistyczne zaangażowanie wiedzie go czasem na bezdroża suchego moralizatorstwa, skłania do notowania na gorąco faktów i przeżyć, ale też wyzwala od szablonów i konwencji arkadii samowystarczalnej.

Dużo się ostatnio w Polsce słyszało o humanistycznej interpretacji socjalizmu, mówi się też ogólnikowo o jakichś oznakach powszechnej ewolucji w kierunku „socjalistycznego” widzenia świata. Tymczasem, właśnie teraz, wyzwolona częściowo od dyrektyw, poezja zasklepia się w sobie, poeci uprawiają do krańców posunięte eksperymenty ze słowem, z obrazem. Zajęta tylko sobą, nie interesuje się człowiekiem. Jak trudno jest osiągnąć i przeko-nywująco przedstawić tolerancyjny stosunek wobec bliźnich, obserwować można na przykładzie Różewicza. Uczciwie stara się kochać człowieka, ale coraz to ulega brutalnej pogardzie i groteskowej drwinie z automatów, z którymi wypada mu współżyć. Poezja Miłosza zaś, jest otwarta, zwrócona na zewnątrz, dostrzega ale i toleruje grzechy i ułomności. W postawie tej nie ma świadomego wysiłku, jest rzeczą zupełnie naturalną. Wyrozumienie wzrasta z biegiem lat. W przedwojennym portrecie ks. Chomika Miłosz rysuje postać groźną i daleką:

*Już włos gładko szesany splywa siwym strąkiem
na kark przecięty blizną po cielesnych mieczach,
już wzrok twój fanatyczny jest martwym skowronkiem
zabitym w ogniu świata, któremu zaprzeczał.
Twoje usta śnię często. Ich grymas niestawny
długo uczył pogardy wszystkiego prócz zgonu.*

Wracając do swego wychowawcy w *Rodzinnej Europie*, kreśli obraz bogatszy o cieplejszych barwach:

Raz, podczas przerwy, jeden z nas narysował na tablicy baterie i przewody elektryczne, tłumacząc kolegom jakieś zadanie z fizyki. Chomik przechodził korytarzem i, uchylając drzwi zniechęca, jak to lubił robić, zerknął na kredowe koła i elipsy. Wystarczyło to, żeby zapalił się jednym ze swoich najciemniejszych rumieńców i pobiegł do dyrektora, gdzie złożył raport, że zastał wyrysowane na tablicy narządy płciowe.

Podobne szlachetne intencje przeświecają w poezji Tadeusza Sułkowskiego: obaj poeci startują tak blisko siebie, że początkowo trudno ich głosy rozróżnić:

*Zawinięte rękawy koszul, gra harmonia,
Na miech gięty opada czupryna spocona,
Ciepły wieczór, głos kobiet i śpiewają młodzi.*

*W kuźni nad wodą młotek uderza,
Schylony człowiek naprawia kosę
I świeci głowa w płomieniu ognista.*

*Nad złotawe schody
Siadali zakochani. Spokój był na ziemi,
Tylko orkiestra, w zmierzchu zanurzona wrota,
Milkła w długiej ulicy i na żywopłotach
Stygły krzaki mimozy kłaniając się nocy.*

*Oto koniec dnia i ziemia ostyga,
Dym nad kominem, zapocona uprząż,
Rosa, brzęk wiader i pachnie wędzarnią.
Na progu domu, gdzie kamień aż zbiegał,
Siadła rodzina, w głębi palenisko.*

*O pióro, słuchaj, oto radość nasza,
Gdy życie proste, rozumne i wielkie
Pustą ozdobę zwała z kart pisarza (...)*

*(...) dolina, gdzie zboże
Wzrosnąć powinno, stół i biała karta,
Na której poemat powstanie,
Radość i trud.*

*Przemieniają się wiosny, mężczyźni i kobiety łączą się,
Dzieci po ścianach rękami w półsenności wodzą (...)*

*W tym domu kobieta będzie myła warzywa,
Mówiąc: Niech mi się urodzi odważny człowiek.*

Obaj przebywają w krainie na pół sennej, umownej, obaj hieratyzują sceny i postacie, ale podczas gdy dla Sułkowskiego kwestie etyki i estetyki pozostaną sprawą zamkniętego rytuału, a życie będzie wciąż występowało zawoalowane jako teatr z maskami lub w paraboli sielankowych scen, Miłosz wyciągnie z dopełniających się naokoło niego dziejów daleko idące wnioski. Sułkowski nigdy nie sprawdzi swojej wizji empirycznie: jego arkadia jest może nawet bogatsza od arkadii Miłosza, ale będzie on do końca pracował wewnątrz jej ostro zarysowanych ram. Miłosz

zaś nie boi się konfrontacji ze światem istniejącym poza własną wyobraźnią: czasami ponosi porażki (od których chroni się Sułkowski), ale za to odnosi sukcesy nieznane twórczości Sułkowskiego. Cytować można wiele przykładów, niech wystarczy jeden, wcale nie najwybitniejszy, ale miarodajny dla skali, w jakiej pracuje Miłosz:

*Bo schizofrenia — rozdzielenie
Istoty na kwiat i korzenie,
Potem Komedię czytać Boską,
Spełniam nie ja ale ktoś inny.
Kark skrócić komuś jest drobnostką,
Potem Komedię czytać Boską,
Czy stary okłaskiwać kwartet,
Lub dyskutować awangardę.
Na mniejszą skalę, to codzienne,
Ktoś mówi: zło jest bezimienne (...)*



Jak każda dobra poezja, twórczość Miłosza wymyka się naturalnie próbie pełnego jej wytłumaczenia i skodyfikowania. W ciszy, która „jest głosem — zbieraniem”, będzie słyhać te utwory, które posiadają niezniszczalne jądro poetyckie. Wiele jest utworów wierszowanych, które są w rzeczywistości kazaniem, programem politycznym, modlitwą albo po prostu niczym: nie każdy potrafi trzymać pędzel, nie każdy zna tajemnice kontrapunktu, ale któż nie umie wyżywać się w stawianiu obok siebie do niczego nie obowiązujących słów? Jądro poetyckie posiadają utwory, w których istnieje oczywisty związek między słowami na papierze a kryjącym się za nimi uczuciem. Związek ten uzyskać można dzięki dyscyplinie intelektualnej, regulującej napór uczuć:

*Miłości moja, gdzieś są, dokąd idą
Błysk ręki, linia biegu, szelest grudeł —
Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia.*

*Tylek dziewczyny, która przechodzi,
Okrągły tylek rzeźbiony w blasku
To jest planeta biednych astronomów,
Kiedy z butelką siedzą na piasku.*

Niektórzy mówią, że nas oko łudzi

*I że nic nie ma, tylko się wydaje,
Ale ci właśnie nie mają nadziei.
Myślę, że kiedy człowiek się odwróci,
Cały świat za nim zaraz być przestaje,
Jakby porwały go ręce złodziei (5).*

*Tu i wszędzie
Jest moja ziemia, gdziekolwiek się zwrócę
I w jakimkolwiek usłyszę języku
Piosenkę dziecka, rozmowę kochanków.*

*A ona, ona ma woalkę lila.
Przy świecach palce kładzie na klawisze.
I kiedy doktor kieliszek nalewa,
Pieśń, co jest dla nas wieścią znikąd, śpiewa:
Szumiały mu echa kawiarni
Całunem się kładły na skroń (6)*

*Wąż wczoraj drogę przebiegł o zmroku.
Starty oponą, wił się na asfalcie.
A my jesteśmy i węzeł i kołem.
Dwa są wymiary. Tu niedosięgalna
Prawda istoty, tutaj, na krawędzi
Trwania, nie-trwania. Dwie linie przecięte.
Czas, wyniesiony ponad czas przez czas. (6).*

Adam CZERNIAWSKI

(5) Pytanie: czy znów przykład naiwnego uproszczenia myśli Berkeley'a? Może w „poemach naiwnych” jest to dozwolone.

(6) Polecam przyszłym badaczom wpływu Eliota na poezję polską.

Wiersze

OKNA

*Ciągną ich okna.
Skaczą.*

*Myślą że za mieszkaniem,
Za szybą z kurzem i sadzą
Wszystko im wytłumaczą,
Rękę podadzą.*

*Ciągną ich okna.
Grożą.*

*Mieszkanie — twardy kaftan,
Palce na gardle, klaustrofobia,
Schody, spluwaczki z piaskiem,
Windy z arteriosklerozą,
Lokatorowie nalani tłuszczem,
Worki otyłe, skrobia.*

*Dlaczego nie pochwyciliśmy ich w locie,
Dlaczego nie rozpięliśmy w dole prześcieradła,
Dlaczego się spóźniła policja z pomocą,
Straż pożarna.*

*Mogliśmy ich wnieść z powrotem na górę,
Rozmawiać, śmiać się
Najnormalniej w świecie,*

WIERSE

51

*Dać im kieliszek wódki,
Puścić płytę z kukaraczą.*

*Nie słuchają.
Stoją na parapecie.
Skaczą.*

*Puste, otwarte okno
Przerazenia.*

*Puste mieszkanie
Otwarte na przestrzał.*

Trwoga istnienia.

SAMARYTANKA

*Our natures do pursue —
Like rats that ravin down their proper bane —
A thirsty evil*

(Miarka za miarkę)

*Chcesz im dopomóc?
Włóż rękę w to szcurze nieszczęście,
Palce w ten kłęb kolduniasty,
Pod pulsujące, głodne brzuchy,
Pod lby zaplątane w sznury ogonów,
Pod piski i pyski kwiczące,
Spróbuj rozwiązać ten węzeł rozdrzany,
Chaos zażarty,
A zobaczysz jak cię oskubią,
Obgryzą palce,
Obkaszają do kości —
I co ci, Samarytanko,
Z dłoni twojej,
Z miłości wielkiej
Zostanie?*

*Pięć małych paznokci
Na wierzchu nieszczęścia,
Na falującej ławicy grzbietów,
Na rozlewistym szcurzymie,
Mniej niż bezimienne butelki
Skaczące na oceanie.*

NAVIGARE

*Znów buczą z morza
Bo mgła
Ciągłe to słyszę
Od tylu lat
Zapalam sygnały
Daję znaki
I krzyczę (nawet przez sen)
Ażebym nie było nieszczęścia.*

*Nie pływajcie tedy bracia żeglarze
Latarnia morska w worku
Rozbijecie się na ziarenku piasku
Na przecinku
Na korku.*

*Twary waszej nie widać
Pracy waszej nie widać
Życia waszego nie widać
Śmierci waszej nie widać
Nie może być gorzej niż jest.*

*A z morza buczą
A na wodzie pisane
Navigare
?*

GŁUPI WIATR

*Ogrody są zmęczone
Liście suche deszcz
Wiatr już nie ma sekretów
Kręci się wkoło przy furcie
Nic mi o nim nie mówcie
To najgłupszy z moich braci
Poetów*

*Tłuką się w dyni wyschnięte ziarenka
Kręci głowę wodogłów
W pustej czaszce za grosz rozumu*

*Od pół wieku coś chce mi powiedzieć
Wyseplenić się wyjesienić
Nic z tego nie słysząc
Śród szumu*

*Te bajania mi niepotrzebne
Dla mnie topole szare i srebrne
Jeszcze w liściatym pierzu
Jeszcze z gniazdami gawronów
W dzwonnicy czarnego nieba
Nietoperz przy nietoperzu
Serca wiszących dzwonów*

*Dla mnie wysokość i pustka
Miłość jak biała chustka
Na dworcu przy pożegnaniu
Jak włosy rozwiane z pociągu
Na głowie
Na malejącej głowie*

*Ogrody są zmęczone
Liście suche deszcz
I jeszcze jedna jesień
Na głupim wietrze
Na jakimś przeciągu
Na wygwizdowie.*

NAD RZEKĄ HOUSATONIC

*Wylała rzeka Housatonic. Powódź w lesie.
Woda objęła drzewne stopy
I pnie się coraz wyżej, do kolan, do pasa.
A jeśli dojdzie do gardła? Kto będzie krzyczał?
Drzewa uwiązane do ziemi, nie mogą się ruszyć,
Uciekły sarny i lisy, ślady na szarym śniegu,
Exodus wszelkiego stworzenia.
Dla nich ratunek.
Drzewom śmierć.*

*Ale w nocy nadszedł mróz, wody obmarzły
I pod lodem spłynęły Bóg wie dokąd.*

*Z powodzi wyszły drzewa przebrane,
Paczki baletnic na biodrach pni,
Fartuszki z adamaszkowej mory,
Fraucymer w białych krynolinach,
Królowe w koronkowych kryzach
Velasqueza pod szyją.*

*Tak zaczął się w lesie bal kostiumowy,
Zimowy karnawał.*

*Wiatr pędził kuligiem w saniach ze słomą,
Koniom siwiały nozdrza,
Oddech zieleniał w księżycu
A lód pękał z bukiem.*

*To młodzi strzelali z krucic na wiat,
Panny i chłopcy w śmiech i w śmiech,
Wiadomo, wracała wolność drzew
I gnały zapusty, ostatnie zapusty,
A w leśnym domu siedział krótkowidz
Nad książkami, nad papierami
I nic nie widział, ślepotą rosta,
I nic nie pisał, samotność rosta,
I tylko gryzmolił linia za linią:
A jeśli dojdzie do gardła? Kto będzie krzyczał?
A jeśli dojdzie do gardła? Kto będzie krzyczał?*

ALLELUJA

*Na co czekamy
Na matkę głupich
Na żadną nadzieję
Na wszystko już było
Na nic się nie zmieni
Na może jednak
Na co by gdyby
Na ślepy przysłówek
Na ślepy zaulek
Na groch przy drodze
Na skubnie kto idzie
Na co tam nowego
Na nic proszę pana*

*Na prawo i lewo
Na trele morele
Na głupią nadzieję
Na listonosza
Na Alleluja
Na zmianę
Wszystkiego.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

AMON I ANIOŁ

*Nie przyszedł Anioł do Amona.
Do wszystkich pasterzy przyszedł,
a do Amona nie przyszedł.*

*(Jej się liczko od środka różowi,
jej się głowa w pocałowaniu
na łodydze białej kotysze).*

*Pomiędzy pasterzami
biegał ten Anioł krzepki:
Wstawać, wstawać młodzieńcy!
Gwiazda się zapaliła
u Kolebki!*

*Tam już tańczą pasikoniki,
tam uszami strzygą króliki,
wół stęka pod powatą!*

*(O Amonie, Amonie mój słodki!
Rozkwitnięcia ustami dotknij!
Rękami oczy ci zasłoń,
żebyś nie widział, o! Amonie!
jako się we mnie do żywego
rozradowało!).*

*Dźwignęli się pasterze,
poprawiają ubrania,
Anioł ich złotą twarzą
jak owieczki zagania.
Prężą uda i karki,*

*zapalają latarki,
szumi nocna narada!*

*(Nie zasłaniaj mi oczu, nie trzeba.
Piękne ma oczy jastrzęb,
Kiedy idzie do nieba,
piękniejsze, kiedy spada).*

*Potem już biegli gromadą
koło namiotu Amona
i jeden zapytał: A co z nim?
Lecz twarz Anioła Pańskiego
była od namiotu Amonowego
zupełnie odwrócona.*

*(Oto jestem kolebka twoja,
oto cię noszę.*

*Oto jestem sierp w koniczynie
i słodycz twoją koszę.*

*Oto jestem na wysokości
i niziutko pod tobą.*

*Oto zdejmij miecz z moich bioder
i skrzydeł ze mnie dobądź).*

*I przeszli koło tego namiotu
i poszli dalej
i podobno nieśli różne prezenty
i podobno się radowali
i podobno śpiewali piosenki
i podobno klaskali w dłonie...*

O Betlejem, dalekie Betlejem!

O Amonie! Amonie! Amonie!

Lancaster, 8 grudzień 1962.

Jan ROSTWOROWSKI

Archiwum polityczne

Wola i środki

Do niedawna wydawało się, że tylko Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki mogą prowadzić politykę globalną, do której zmusza, od chwili wynalezienia broni atomowych, globalna strategia. Pierwszym warunkiem prowadzenia polityki globalnej w świecie politycznie zróżniczkowanym, jest narzucenie obszarowi, polityką tą objętemu, woli kierowniczego mocarstwa. Na to, aby tylko Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki mogły prowadzić politykę globalną, trzeba, aby wola pierwszego z tych mocarstw zapanowała w całym świecie wolnym, a wola drugiego w całym świecie komunistycznym. Jesteśmy coraz dalej od dopełnienia się tego warunku. Wola Ameryki skrzyżowała się z wolą Europy, a przynajmniej pewnej koncepcji europejskiej, które wyrazem jest polityka de Gaulle'a. Woli Związku Sowieckiego zaczyna przeciwstawiać się wola Chin. Okazało się jednocześnie, że nie potrzeba równości sił, aby wpłynąć na cudzą politykę globalną. Wystarczy taka ilość środków, która stanowi niezbędne minimum, umożliwiające prowadzenie polityki globalnej kierowniczemu mocarstwu. Amerykańscy, i nie tylko amerykańscy, krytycy francuskiej broni atomowej zbyt długo kojarzyli zarzut nieskuteczności tej broni z zarzutem niebezpieczeństwa, jakie ona przedstawia. Osiągnęli ten wynik, że zmusili rzeczoznawców z prawdziwego zdarzenia do poważnego przestudiowania sprawy. Okazało się, że francuska broń atomowa będzie skuteczna właśnie dlatego, że niebezpieczna. Doprowadzi prawdopodobnie do rewizji amerykańskiej i sowieckiej polityki globalnej. Inaczej mówiąc, średnie mocarstwo, posiadające globalną ideę polityczną i niezbędne minimum środków dla jej poparcia, staje się samo zdolne do prowadzenia polityki globalnej. Z tą chwilą wolno przeciwstawiać dwie koncepcje, mimo nierówności środków jaki-

mi rozporządzają. Jak zawsze, o przewadze inicjatyw decyduje myśl.

Koncepcja amerykańska, wielki plan Kennedy'ego, jak mówi slogan prasowy, polega na globalnej organizacji obrony świata wolnego przed komunizmem i imperializmem głównych mocarstw komunistycznych: Związku Sowieckiego i Chin. Temu założeniu powinna odpowiadać jednolita struktura polityczna, ekonomiczna i wojskowa. Głównym ośrodkiem siły wolnego świata są Stany Zjednoczone, wobec czego prawo decyzji w sprawach zasadniczych należeć powinno do Prezydenta Stanów. Rozczłonkowanie całości systemu obronnego powinno się dokonać wokół paktów: atlantyckiego, wschodnio-azjatyckiego, bagdadzkiego (bez Iraku) i między-amerykańskiego. Oba paktory azjatyckie dotyczą obszarów, na których istnieją możliwości manewrowania, toteż ich stypulacje nie przewidują, w razie zagrożenia zbrojnego, interwencji automatycznej ze strony Ameryki i innych uczestników sojuszu, lecz konsultację. Najważniejszy jest obszar europejski jako przyczółek świata atlantyckiego. Utrata tego przyczółka groziłaby niepodległości Stanów Zjednoczonych, stąd zobowiązanie do natychmiastowej interwencji na tym odcinku, ale tylko siłami klasycznymi, zawczasu skierowanymi na obszar ewentualnego działania. O użyciu, lub o odmowie użycia broni nuklearnych, zadecyduje prezydent Stanów Zjednoczonych w zależności od rozwoju wydarzeń. Powodzenie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, w przeciwstawieniu do zwolnionego tempa ekspansji amerykańskiej i od dawna trwających trudności monetarnych spowodowało autorytatywną decyzję Stanów Zjednoczonych stworzenia wielkiej Wspólnoty Atlantycznej, w ramach której uległaby rozcięciu niedostatecznie jeszcze skonsolidowana Wspólnota Europejska. Tak zorganizowany świat wolny, niosąc jednocześnie pomoc gospodarczą i kulturalną krajom zacofanym w Ameryce Środkowej i Południowej, w Afryce i w Południowej Azji, będzie mógł zatrzymać postępy świata komunistycznego, zarówno w dziedzinie doktrynalnej, jak terytorialnej. Oceniając stan zbrojeń nuklearnych z obydwóch stron, jako wystarczający dla wzajemnego zniszczenia w razie wojny, amerykańska polityka globalna przyjmuje jako zasadę, utrzymanie pokojowego współżycia ze światem komunistycznym, połączone z nienaruszalnością obecnego *status quo* terytorialnego.

Koncepcji tej nie można odmówić ani logiki, ani celowości, ale tylko z amerykańskiego punktu widzenia. Grzeszy ona przede wszystkim apodyktycznością kierowniczego mocarstwa, które decyduje nie tylko o tym, co jest dobre z punktu widzenia jego własnych interesów, ale także o tym, co powinno być dobre dla jego sojuszników. Taka polityka prowadzić musi do wstrzymania procesu konsolidacyjnego Europy, do wcielenia jej w ramy świata amerykańskiego i do przekształcenia obszaru zachodnio-europejskiego na wysuniętą marchię frontową amerykańskiego systemu obrony globalnej, podporządkowaną ośrodkowi decyzji

w Waszyngtonie. W takim układzie interesy amerykańskie musiałyby nabrać pierwszeństwa wobec wszystkich innych, a więc także wobec interesów tak Europy wolnej jak i satelickiej.

Najślabszym jednak punktem „wielkiego planu” amerykańskiego jest jego *statyczny* charakter. Usztywniając żelazną kurtynę w Europie, postawa obronna globalnej polityki amerykańskiej pozostawia gdzie indziej nieograniczone możliwości dynamicznej polityce bloku komunistycznego. W okresie Trumana i Eisenhowera statyczny charakter polityki amerykańskiej umożliwił dynamicznej polityce sowiecko-chińskiej, w tym czasie jeszcze działającej zgodnie, szereg sukcesów (Korea, Wietnam). W erze Kennedy'ego odbyła się demonstracja zbrojna Chin na granicy Indii, oraz utworzenie sowieckiej bazy polityczno-wojskowej na Kubie, prawie u wybrzeży amerykańskiego lądu stałego. Jesteśmy obecnie świadkami inicjatywy komunistycznej w Laosie, tym razem raczej na chiński, niż na sowiecki rachunek. W tej koncepcji nie ma możliwości rozwiązania żadnego z problemów europejskich, stworzonych przez ostatnią wojnę, z wyjątkiem może jakiegoś kompromisu w sprawie Berlina i jakiegoś pośredniego i półoficjalnego uznania Niemiec Wschodnich.

I wreszcie, „wielki plan” amerykański przechodzi milcząco do porządku nad sprawą Europy Środkowej i Wschodniej. Nawet względy związane z polityką wyborczą przestały grać w taktyce partii demokratycznej, skoro posiada ona możliwość zastąpienia ewentualnej utraty kilku milionów głosów obywateli, pochodzących z Europy Wschodniej, kilku milionami głosów murzynskich, dzięki, jakże słusznej skądinąd, polityce administracji przeciw segregacji rasowej. Statyczny charakter polityki amerykańskiej wobec Europy Wschodniej grozi nie tylko pogłębianiem się wśród narodów satelickich kompleksu budapeszteńskiego, ale, choć to wygląda na sprzeczność, może spowodować wojnę nuklearną wbrew woli zarówno Ameryki, jak Związku Sowieckiego. Wiadomo mi z dobrze poinformowanego źródła, że na Kremlu panuje obsesja na temat ewentualnego powstania wschodnio-niemieckiego, w wyniku pogarszającej się w państwie Ulbrychta sytuacji gospodarczej i możliwości, czynnego w takiej sytuacji, wystąpienia zorganizowanej i uzbrojonej przez Amerykę armii zachodnio-niemieckiej. Sowiety zdają sobie doskonale sprawę z tego, że w Europie jedna iskra wywołuje zazwyczaj pożar o światowych rozmiarach. Byłoby dobrze, gdyby i sztab polityczny prezydenta Stanów Zjednoczonych uzmysłowił sobie to niebezpieczeństwo.

Statycznej koncepcji amerykańskiej przeciwstawia de Gaulle *dynamiczną* ideę rozwiązania problemów, wytworzonych przez drugą wojnę światową, *pomimo* panującej obecnie równowagi terroru nuklearnego. Realizację tej idei rozkłada szef państwa francuskiego na dwie fazy, z których pierwsza zarysowuje się już zupełnie wyraźnie. Analizowałem ją względnie obszernie w cyklu „Alternatywy”, ograniczę się więc tylko do przypomnienia

W pierwszej fazie powinno się dokonać zjednoczenie polityczne Europy w ramach istniejącej już Wspólnoty Gospodarczej i pod osłoną Sojuszu Atlantycznego. W tym samym okresie, mającym trwać do roku 1965/66, Francja stworzy pierwsze pokolenie swej broni atomowej, złożone z 50 lekkich bombowców typu „Mirage IV” i uzyska w ten sposób atut polityczny, który uczyni z niej, a przez nią i z Europy, partnera Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Z chwilą osiągnięcia tych celów, Francja przejdzie do fazy następnej, która będzie polegała, z jednej strony na przekształceniu lotniczej broni atomowej na siłę nuklearną, wyposażoną w okręty podwodne i rakiety, z drugiej strony — na dążeniu do przekształcenia Paktu Atlantycznego na sojusz europejsko-amerykański, pod osłoną którego Europa mogłaby wystąpić z inicjatywami politycznymi, zmierzającymi do rozwiązania żywotnych dla niej problemów. Zanim te cele nie będą osiągnięte, dopuszczenie W. Brytanii do Wspólnoty Europejskiej wydaje się nieprawdopodobne. Byłoby ono niebezpieczne z wielu powodów. Po pierwsze, wprowadzałoby czynnik z Europą kontynentalną nie zżyty, posiadający własne cele polityczne, często z interesami Europy sprzeczne i który usiłowałby na obcym sobie obszarze odegrać rolę kierowniczą, lub powrócić do swej tradycyjnej polityki polegającej na odgrywaniu roli arbitra. Po drugie, obecność W. Brytanii wewnątrz Europy groziłaby powstaniem tendencji ugodowych niemal za każdą cenę w stosunku do Związku Sowieckiego. Już dzisiaj W. Brytania nie dotrzymuje lojalności wobec Sojuszu Atlantycznego i jego amerykańskiego przywódcy w zakresie handlowym (niedawny zatarg o dostawę rur stalowych dla Sowietów), oraz zachowuje przesadną ostrożność w sprawach narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Po trzecie, wejście W. Brytanii prowadziłoby do szybkiego rozkładu Europy, jako zorganizowanego związku polityczno-wojskowego i do wcielenia jej w ramy Wspólnoty Atlantycznej. Nie może być również mowy o integracji politycznej Europy w okresie tych dwóch faz, a zwłaszcza o utworzeniu parlamentu, który by pochodził z wyborów powszechnych i proporcjonalnych i który miałby wyłaniać wspólne organy ponadpaństwowe. Zestawienie dwóch cyfr wystarczy, aby zdać sobie sprawę z nierealności takich pomysłów. Ludność Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej liczyła w końcu 1962 roku 172,7 milionów, w czym 47,6 milionów czyli 27% Francuzów. Nawet zjednoczeni, nie zaważyliby oni wiele na decyzjach politycznych całości. Jeżeli wziąć pod uwagę rozdrobnienie partyjne Francuzów i skłonność pokrewnych partii europejskich do łączenia się w związki o charakterze ponadnarodowym, wówczas jasne się stanie, że koncepcja polityczna gen. de Gaulle'a, a prawdopodobnie i żadna inna koncepcja polityczna, poza amerykańską nie miałaby żadnych możliwości urzeczywistnienia światła dziennego. W razie dopuszczenia W. Brytanii możliwości jakiegokolwiek wpływu francuskiego na losy Europy spadłyby do zera.

W pozycjach przeciwników francuskiej koncepcji de Gaulle'a istnieją sprzeczności. Domagają się oni gwałtownie szybkiego dopuszczenia W. Brytanii do Europy, broniąc niemniej stanowczo zasady integracji i organów ponadpaństwowych. Dlaczego więc przechodzą milcząco do porządku dziennego nad faktem, że W. Brytania nigdy na integrację się nie zgodzi, gdyż oznaczałoby to natychmiastowe rozsypanie się resztek Wspólnoty Brytyjskiej? Odpowiedź jest łatwa: w gruncie rzeczy nikt nie chce politycznego wcielenia W. Brytanii do Europy, ale wszyscy wolą, aby jeden de Gaulle był pod ostrzałem. A oto druga sprzeczność. Integracjonści domagają się jednocześnie wcielenia Europy do Wspólnoty Atlantycznej. Czy nie prostsze byłoby w takim razie utworzenie od razu wspólnych organów atlantycznych, tak jak na gruncie wojskowym, dla Paktu Atlantycznego? Dla większości autorów traktatu o utworzeniu Wspólnoty Węgla i Stali, traktatu o Euratomie i wreszcie — traktatu rzymskiego o utworzeniu Wspólnoty Gospodarczej, Europa okazała się krótkotrwałym przystankiem na trasie pośpiesznego pociągu, biegnącego w kierunku amerykańskiej stacji końcowej. To de Gaulle potraktował ideę europejską poważnie. Prekursorzy ją zarzucili, zanim osiągnęła cele, dla których została powołana. Francja na pewno dochowa wierności Sojuszowi Atlantycznemu, ale do paliatywów w rodzaju projektów nuklearnej siły wielostronnej lub międzysojuszniczej ustosunkuje się nieufnie, gdyż nie załatwiają one jej podstawowego postulatu uzyskania samodzielności w zakresie globalnej strategii i polityki. Aby wykazać, że nie sprzeciwia się ideałowi zjednoczenia świata w niedającej się przewidzieć przyszłości, zgodzi się, a może nawet wystąpi z inicjatywą, połączenia w jednym organie naczelnym kierownictwa Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, Wspólnoty Węgla i Stali, oraz Euratomu. Okaże się jednak więcej niż wstrzeźliwa w Brukseli, w sprawie dopuszczenia W. Brytanii i w Genewie, przy stole obrad konferencji taryfowej, której celem jest rozbrojenie Wspólnoty Europejskiej i wprowadzenie jej na drogę, prowadzącą do wcielenia w ramy Wspólnoty Atlantycznej.

W tej drugiej fazie, która rozpocznie się po wyborach prezydenckich w drodze referendum, Francja powinna być gotowa do przeprowadzenia ostatniego i najważniejszego aktu „wielkiego planu”, polegającego na próbie rozwiązania problemów zawieszonych obecnie z powodu impasu w stosunkach sowiecko-amerykańskich. Manewr będzie przeprowadzony pokojowo, chociaż wywoła z pewnością dramatyczne napięcie polityczne. Jeżeli do tej pory uda się przekonać Amerykę, jeżeli Stany Zjednoczone zdecydują się przystąpić do wielkiej gry, wszystko potoczy się może szybciej i skuteczniej, niż w wypadku, gdy Francja będzie musiała działać sama, w najlepszym wypadku przy udziale i w imieniu zjednoczonej już Europy. Kryzys będzie jednak groźny, gdyż mogą powstać naciski przebudzonej opinii publicznej na rzą-

dy krajów satelickich, a może nawet w samym Związku Sowieckim. Generał de Gaulle nie zamierza oddziaływać na ewolucję wewnętrzną komunizmu bezpośrednio, przez wywoływanie poza granicą polsko-sowiecką ruchów rewizjonistycznych, lub przez angażowanie się po ich stronie. Zdaje się bowiem nie ulegać wątpliwości, że według jego oceny Rosja wygaśnie, jako ognisko rewolucji światowej i to bez względu na wstrząsy i odruchy, jakie w tym kraju mogą jeszcze nastąpić, aby go skierować z powrotem na drogę, z której zeszedł. Nie ma jednak powrotu do przeszłości. Oczywiście, Związek Sowiecki posługiwać się będzie komunizmem, jako narzędziem imperializmu, ale nie poświęci osiągniętego w gigantycznym wysiłku dorobku państwowego dla celów wyłącznie rewolucyjnych. Podstawa do założenia, że Związek Sowiecki ustosunkuje się do przyszłych inicjatyw francuskich wyłącznie z pozycji interesu mocarstwowego jest co najmniej tak samo dobra jak pewność zwolenników na zawsze usztynwionych pozycji, głoszących, że Rosja o niczym innym nie marzy, jak o wprowadzeniu Thoreza do władzy w Paryżu, a Togliatti'ego w Rzymie. Dopiero zniesienie żelaznej kurtyny, zjednoczenie Niemiec, rozszerzenie Europy na państwa satelickie będzie oznaczało osiągnięcie celów polityki gaullistowskiej i zamknięcie epoki generała de Gaulle'a. Dopiero wówczas przyjdzie czas na zjednoczenie całej Europy, łącznie z Anglią, ale i z Hiszpanią, łącznie ze Skandynawią, ale i Grecją. Dopiero taka Europa będzie mogła szeroko otworzyć podwoje, nie tylko na Atlantyk, ale i na Afrykę, oraz na Bliski Wschód azjatycki, ale także i na Ural. Dopiero wówczas, po zjednoczeniu i osiągnięciu warunków do życia, oraz po usunięciu kompleksów, będzie mogła przyjść pora na integrację, która powinna być aktem końcowym procesów scaleniowych, ale nie punktem wyjścia. Oczywiście, ceną realizacji „Wielkiego zamysłu” mogłoby być rozwiązanie Sojuszu Atlantycznego i Paktu Warszawskiego.

Krytycy koncepcji gen. de Gaulle, takiej, jaka zaczyna się zarysowywać, przechodząc z jednej ostateczności w drugą. Raz uważają ją za niebezpieczną dla pokoju, drugi raz — za ugodową.

Pokój nie jest niczym innym, jak ugodą. Pokój narzucony siłą i poprzedzony bezwarunkową kapitulacją możliwy jest tylko w wyniku zwycięskiej wojny. W epoce nuklearnej nie będzie zwycięskiej wojny. Twierdzenie, że wojna byłaby końcem naszej cywilizacji, stało się już truizmem. Niektórzy mówią: nie spieszy się, czas gra na naszą korzyść, zaczekajmy na rozwinięcie się sprzeczności pomiędzy Rosją i Chinami, zmuszą one Sowiety do poszukiwania znośnego *modus vivendi* z Zachodem, za który będą musiały zapłacić ustępstwami w wielu sprawach, a więc także i w sprawach europejskich. Osobiście jestem przekonany, że narastanie przeciwieństw i napięcia pomiędzy Chinami i Związkiem Sowieckim jest nieuniknione, gdyż wynika ono z przesłanek historycznych, z układu geograficznego i z przejmowania przez Chiny czołowej roli w kierownictwie rewolucji ko-

munistycznej. Ekspansja chińska będzie szła jednak nie tylko przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ale także (ruch się już rozpoczął) w kierunku południowo-wschodniej Azji i Indonezji, w kierunku świata arabskiego i czarnej Afryki, oraz w kierunku Ameryki Łacińskiej. Za poparcie, pośrednie czy bezpośrednie, Rosja nie będzie potrzebowała płacić Stanom Zjednoczonym, gdyż stanie wraz z nimi wobec wspólnego zagrożenia. I wreszcie, jak dotychczas, nic nie wskazuje na to, aby Stany Zjednoczone zamierzały wysuwać pod adresem Związku Sowieckiego jakiekolwiek żądania, przekraczające sprawę Berlina, i, ewentualnie, sprawę wstrzymania doświadczeń nuklearnych. Ameryka zmierza do utrwalenia *status quo*, Francja do jego rewizji. Kto w tych warunkach zasługuje bardziej na zarzut ugodowości?

Ci spośród Amerykanów, którzy namawiają do przeczekania de Gaulle'a, popełniają wielki błąd. Drugi mandat prezydencki Kennedy'ego zdaje się nie wzbudzać wątpliwości. Mimo to długowieczność polityczna de Gaulle'a, jeżeli on tego zechce, może okazać się dłuższa od czasu, jakim rozporządzać będzie Kennedy: 4 lata, poczynając od powtórnego objęcia władzy u progu 1965 roku. Jeżeli stan zdrowia de Gaulle'a i jego poczucie odpowiedzialności za losy państwa pozwolą mu ubiegać się o powtórny mandat, obejmie on władzę po raz drugi w styczniu roku 1966 i sprawować ją będzie mógł, w zasadzie, do końca roku 1972. Jeżeli prezydent Kennedy posiada ambicję wywarcia wpływu na losy świata, to nie pozostaje mu nic innego, jak szybkie porozumienie z de Gaulle'm, gdyż jego będzie miał naprzeciwko siebie przez cały czas trwania swej roli politycznej.

Przeciwnicy koncepcji gen. de Gaulle'a opierają w znacznej mierze swe nadzieje na zabiegach zmierzających do poróżnienia francusko-niemieckiego, poczynając od obłożenia traktatu de Gaulle — Adenauer takimi zastrzeżeniami, które odebrałyby mu wszelkie znaczenie praktyczne. Według tych rachub wybrany przez niemieckich chrześcijańskich demokratów na kandydata po Adenauerze dr Erhard miałby przeprowadzić Niemcy Federalne z rozwiniętymi chorągiewkami do Wspólnoty Atlantycznej, z Włochami, Belgią i Holandią. Trudno bawić się w przewidywania taktyczne, ale wolno zauważyć, że p. Erhard jeszcze nie objął władzy. A jeżeli ją obejmie, to nie wiadomo, do jakich dojdzie wniosków w zetknięciu z rzeczywistością. A wreszcie, gdyby rachuby przeciwników polityki francuskiej okazały się trafne, to nie wiadomo, czy nowy kanclerz Niemiec posunąłby się aż do rozbicia Wspólnoty Europejskiej, która nie może istnieć bez Francji. Gdyby większość członków Sojuszu Atlantycznego, czy nawet wszyscy, zdecydowała się na walkę z Francją, to gen. de Gaulle miałby ciężki okres do przetrwania, ale będzie go mógł przetrzymać, gdyż okres ten trwałby najwyżej dwa lata. W takiej sytuacji po Erhardzie wybory wygrałby socjaliści, a kanclerzem, prawie na pewno, zostałby Willy Brandt, burmistrz zachodniego Berlina.

Brandt najwidoczniej również podzielił swoją politykę na dwa okresy. W pierwszym głosi solidarność ze Stanami Zjednoczonymi i wysuwa program *tyczasowego* uregulowania sprawy Berlina. Deklaruje jednak natychmiast, że w chwili obecnej „problem Berlina jest środkiem, którym posługuje się Związek Sowiecki w celu zmuszenia Zachodu do podziału Europy”. „Odmówić udziału świata wolnego w tej polityce Związku Sowieckiego, to znaczy — zachować dla Europy możliwości przyszłego jej rozwoju”. Jeżeli gen. de Gaulle odmawia udziału w sondażach i ew. rokowaniach na temat Berlina, to właśnie dlatego, że również nie chce się wiązać rozwiązaniami częściowymi, które utrudniłyby mu w przyszłości, lub nawet uniemożliwiły załatwienie całości problemu.

Zarys drugiego okresu nie wzbudza żadnych wątpliwości. Będzie on polegał na dążeniu do zjednoczenia Niemiec. Oto bardziej charakterystyczne zdania:

„Berlin żyje nadzieją powrotu do roli stolicy narodu wolnego i zjednoczonego... Sądzę, że mogę powiedzieć dzisiaj, bez obawy o złą interpretację, że ojczyzna Niemców jest większa, niż Republika Federalna... Wielki naród niemiecki, o którym gen. de Gaulle mówił ostatniej jesieni, w czasie swej wizyty w Niemczech, mieszka nie tylko w samej Republice Federalnej. Stwierdzenie to wyraża banalną prawdę, że Europa nie zatrzymuje się na żelaznej kurtynie...”

Czy jest do pogodzenia postulat zjednoczenia Niemiec z amerykańską polityką poszukiwania *modus vivendi* ze Związkiem Sowieckim na podstawie zachowania terytorialnego *status quo* w Europie? Jeżeli nie, to poadenauerowskie Niemcy, wszystko jedno, czy już w epoce Erharda, czy w ewentualnych epokach Brandta, lub Straussa, nie będą miały innej drogi, jak podpisać się pod programem gen. de Gaulle, a może nawet przyczynić się materialnie do jego wykonania. Niektórzy twierdzą, że Niemcy zachodni wcale nie dążą do zjednoczenia. Najpierw — nie ma żadnej podstawy do takiego twierdzenia. Po wtóre, posługiwanie się hasłem zjednoczenia Niemiec, jako sloganem bez pokrycia mogłoby grozić poważnymi niebezpieczeństwami politycznymi kierownikom niemieckiego życia narodowego. I wreszcie, nic nie przeszkodziłoby gen. de Gaulle'owi, postawić pewnego dnia na porządku dziennym, z właściwym mu nakładem środków rozpowszechnienia, sprawy zjednoczenia Niemiec. W chwili na przykład, którą uznaliby za właściwą, ze względu na stan własnych przygotowań, do rozpoczęcia wielkiego manewru. Możemy być przekonani, że nastrój, który by wówczas powstał w Niemieckiej Republice Federalnej, zmusiłby kierownicze czynniki polityczne do bardzo wielkiego pośpiechu w przyłączeniu się do francuskiego manewru. Zjednoczeniowa operacja niemiecka znalazłaby natychmiastowe uzupełnienie w wyłączeniu z orbity sowieckiej państw satelickich, w pierwszym rzędzie tych, które graniczą ze Wspólnotą Europejską i zorganizowanie ich w wolny i neu-

tralny związek, gospodarczo stowarzyszony z Europą. Z tą chwilą wszystko byłoby możliwe. Zarówno współpraca gospodarcza Europy z Rosją, jak współpraca polityczna sowiecko-amerykańska w sprawie chińskiej.

O wiele bardziej niż o niebezpieczeństwa zewnętrzne, lękam się o zagrożenie planu de Gaulle'a ze strony wewnętrznej. Po pierwsze, nie brak polityków i dziennikarzy francuskich (czasami i obcych), którzy twierdzą, że de Gaulle nie posiada żadnego planu. Tych panów nie potrafią przekonać nawet rosnące z każdym kwartałem wydatki na zbrojenia atomowe, ani zapowiedź ministra obrony o sformowaniu już pod koniec tego roku pierwszej eskadry bombowców, uzbrojonych w pociski atomowe. Po drugie, partie polityczne starają się nastraszyć społeczeństwo perspektywą rosnących obciążeń budżetowych, które, mimo ich ogromu, mają się okazać niewystarczające. Istotnie, zamierzony wysiłek dosięga granic francuskich możliwości finansowych, ale ich nie przekracza. Najtrudniejsze będą najbliższe dwa lata, które mogą zmusić rząd nie tylko do stosunkowo skromnych, jak dotychczas, zarządzeń przeciwko (umiarkowanemu zresztą) objawom inflacyjnym, ale może nawet do ogłoszenia specjalnej, wielkiej pożyczki na cele obrony państwa. W każdym razie o zaniechaniu zbrojeń atomowych nie może już być mowy. Nie tylko dlatego, że taka decyzja mogłaby zaważyć katastrofalnie na losach V Republiki, ale i dlatego, że rekonwersja przemysłu atomowego okazałaby się prawdopodobnie droższa od jego kontynuacji.

Zdaje się, że u podstaw trudności wewnętrznych, ciążących nad „wielkim zamysłem”, leży zasadniczy błąd psychologiczny, popełniony przez samego gen. de Gaulle. W swoim dążeniu do przebudzenia narodu francuskiego, wysuwając ideał wielkości, były przywódca Francji wolnej i walczącej wychodzi z fikcji zwycięstwa wojennego, którą podtrzymuje z całym, właściwym mu uporem. Z perspektywy człowieka, który nie uznał kapitulacji i nie przerwał walki, może istotnie udział francuskich sił wolnych w zwycięstwie koalicji przeciwniemieckiej wyglądać na zwycięstwo Francji. W rzeczywistości każdy Francuz żyje w świadomości bezprzykładnej klęski wojennej, a legalną obecność w obozie zwycięskim uważa za fałszywe zwycięstwo (*fausse victoire*) i to pomimo poświęceń ze strony Francuskich Sił Wolnych, francuskiego ruchu oporu i armii afrykańskiej. Pokolenie wojenne, a zwłaszcza elity francuskie, z trudem i w większości bez przekonania podążają za de Gaulle'm. Otwierane przez niego perspektywy na wielkość Francji uważają za tak samo fałszywe, jak zwycięstwo w ostatniej wojnie. Kto wie, czy nie lepiej byłoby zacząć w roku 1958 wysiłek odrodzeniowy od śmiałego stwierdzenia prawdy, od stwierdzenia, że Francja w r. 1940 przegrała wojnę i że trzeba długiego i żmudnego wysiłku, aby się podnieść z klęski wojennej. Francja znalazłaby się wówczas w punkcie wyjścia zbliżonym do tego, z którego wyruszył kil-

kanaście lat temu Adenauer do walki o odrodzenie Niemiec. Sytuacje nie są nigdy podobne, a charakter Francuzów różni się jaskrawo od niemieckiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że stosunek mas społecznych do konieczności wysiłku narodowego byłby inny, niż jest obecnie. Jednak sposób, w jaki przyjmuje de Gaulle'a prowincja francuska, świadczy o jego magicznym wpływie na masy. Zda się, że epoka de Gaulle'a przedstawia dla Francji ostatnią okazję powrotu do poważnej roli w życiu międzynarodowym, a dla Europy — okazję do zjednoczenia z zachowaniem jej osobowości cywilizacyjnej i kulturalnej.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Kronika angielska

PORTRET „POLSKI LUDOWEJ”

Nie ma dobrej książki o „Polsce Ludowej”. Taką książkę mógłby napisać Polak po dłuższym pobycie w kraju. Portret nie musi być naturalistycznie wierny — lecz musi odzwierciedlać istotę modelu. Książkę tego typu potrafilby napisać Herling-Grudziński. Wspaniały byłby również „Dziennik Podróży po Polsce Ludowej” — niespiesznego przechodnia, Pawła Hostowca. Lecz tych książek nie ma i nigdy nie będzie. Portreciści polscy tej klasy nie dostaną wizy do PRL.

Niedawno wydana w serii „Fischer Paperbacks” książka Hansjakob Stehle pt. „Nachbar Polen” — ma wszystkie zalety i wady niemieckie. Zaczniemy od wad, których z całą pewnością nie dojrzy czytelnik niemiecki.

Portret „Polski Ludowej” pióra Stehle’go jest nie tylko naturalistyczny, lecz w wielu partiach wręcz akademicki. Autor przede wszystkim widzi drzewa i często nie dostrzega lasu. Drzewa to oficjalna struktura i władza — a las to naród. Stehle nie jest polskim emigrantem i dla niego władze oficjalne PRL są oficjalnymi i autentycznymi władzami polskimi. To jest wszystko w porządku i byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Lecz nawet dla cudzoziemca — osobiście nie zaangażowanego w polski dramat — jeżeli chciałby uchwycić problem Polski współczesnej — las musiałby być ważniejszy od drzew.

Stehle stara się być obiektywny lecz — w specyficznej polskiej sytuacji — niemieckie poszanowanie dla władzy i wszelkiej „oficjalności” nie ułatwia mu tego zadania. Podobnie jak Kisielewski jest on nie-komunistycznym „gomulkowcem” z tym, że nie posiada ani talentu ani wdzięku Kisielewa. Jego książka jest klasycznym przykładem publicystyki „bez polotu”.

Pogląd na emigrację polską przejął Stehle od czynników oficjalnych.

Pisze mianowicie, że Kościół Katolicki w Polsce uważając się za „emancypację narodu” w swej argumentacji idzie często po liniach przedwojennego polskiego nacjonalizmu. „W tej sprawie kościół czuje się zjednoczony z większością polskiej emigracji, która myśli również w kategoriach wielkiego polskiego mocarstwa pod berłem Marii” (Matki Boskiej — przyp. mój).

Jestem jak najdalej od mitologizowania roli emigracji — ale wydaje mi się, że emigracja niewątpliwie należy do całości obrazu polskiej „specyfiki” model 1963 r. Stehle cytuje nazwiska już nie drugo- lecz trzeciorzędnych figur, ale nie znalazł miejsca nawet w odnośniku dla Miłosza czy Gombrowicza.

W polityce można przyjąć formalny punkt widzenia i nie wymieniać generała Andersa, ponieważ, oficjalnie, nie zajmuje on żadnego stanowiska. Lecz w literaturze i w życiu intelektualnym oficjalne kryteria prowadzą do absurdu. Nawet według krytyków krajowych polska literatura jest jedna, a na pewno jest zbyt uboga, by mogła rezygnować z Miłosza, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Hostowca czy Tadeusza Nowakowskiego. O żadnym z tych pisarzy nie ma najmniejszej wzmianki w omawianej książce. Stehle i w tym wypadku podporządkował się bez sprzeciwu oficjalnej polityce antyemigracyjnej rządu warszawskiego. W tym swoim lojalizmie dr Stehle ustanowił rekord światowy, bo do tej pory nie ukazała się w wolnym świecie ani jedna książka o Polsce współczesnej, w której nie wymieniono by nazwiska autora „Zniewolonego Umysłu”.

Gdyby sądzić na podstawie indeksu i ilości stron zacytowanych przy każdym nazwisku — to trzeba by dojść do wniosku, że Stefan Kisielewski jest czwartą osobą w państwie, po Gomułce, Cyrankiewicz i Kardynale Wyszyńskim. W portrecie „Polski Ludowej” Stehle’go — Kisiel wyrasta na renesansową super-eminencję. Natomiast charakterystyka Jerzego Zawieyskiego jest niezmiernie trafna, choć nie pochlebiona.

„Chamom i Żydom” poświęca Stehle, krótki odnośnik, w którym stwierdza, że Jedlicki przesadza w ocenie zatargu pomiędzy frakcjami i demonizuje figury dramatu. Stehle uważa, że Jedlicki racjonalizuje i dopatruje się planu tam — gdzie w rzeczywistości był tylko bałagan i improwizacja (autor używa polskiego słowa bałagan w cudzysłowach). Stehle zarzuca Jedlickiemu, że rozbijając jeden mit stwarza drugi mit, jeszcze bardziej niebezpieczny. Autor „Chamów i Żydów” obdziera wprawdzie Gomułkę z legendy rzekomego „liberalizmu” — stwarza jednak pozór, że istnieje jakaś realna polityczna alternatywa polityki Gomułki. Takiej alternatywy — w opinii Stehle’go — nie było ani w roku 1956 — ani nie ma jej dziś. „Siły demokratyczne” o których mówi Jedlicki — parły w gruncie rzeczy do likwidacji komunizmu, a nie do jego ewolucji i wskutek tego Gomułka nie mógł się na nich oprzeć tylko musiał je zniszczyć.

W tym odnośniku Stehle sformułował swoje polityczne „credo” w odniesieniu do „Polski Ludowej”. Nie ma alternatywnej polityki — jedyną realną politykę reprezentuje Gomułka. Jedlicki dziwi się — pisze Stehle — że naród polski nie reaguje na stabilizację i umacnianie się władzy komunistycznej. Dziwi się, ponieważ przeoczył fakt, że naród polski nie czuje się dziś zagrożony terrorem.

Nie mamy powodu polemizować z dr. Stehle — tym bardziej, że jego książka nie jest przeznaczona dla polskiego czytelnika.

W tego rodzaju obszernej pracy — pisanej przez cudzoziemca — nieuchronne są pomyłki i nieścisłości. Byłoby nonsensem kuć z tego zarzut pod adresem autora. Pewne jednak stwierdzenia są irytujące. I tak na przykład dr Stehle informuje swoich czytelników, że cenzura w „Polsce Ludowej” wywodzi się jeszcze sprzed-komunistycznej tradycji. Cenzura przewencyjna jest narodową polską instytucją, której początków szukać należy w zamierzchłej porzeczności przeszłości. Według dra Stehle cenzura istniała we wszystkich trzech zaborach i przez cały czas trwania Polski niepodległej. W sumie komuniści nie wymyślili niczego nowego — pozostali tylko wierni szacownej, dziejowej tradycji.

Jak wiadomo powszechnie w Polsce przedwojennej trafiały się konfiskaty, ale nie istniała cenzura przewencyjna. W zaborze austriackim w czasach pokojowych — nie istniała również cenzura przewencyjna. Cenzura istniała zawsze w Rosji i tej wschodniej tradycji pozostali wierni polscy komuniści.

W sumie jednak książkę dra Stehle oceniać należy w świetle stosunków niemiecko-polskich. I w tym sensie jest to cenna pozycja. Mimo, że autor jest — jak na nasz gust zbyt „pro-ludowy” — jest autentycznie pro-polski. Stehle nie uległ czarowi polskiej „romantyczności” — jak pewni Niemcy — i jego stosunek do narodu polskiego należałoby określić mianem życzliwej rzeczowości. W swojej książce nie zdobył się wprowadzić na żadną głębszą syntezę — lecz zaprezentował bezstronnie elementy stosunków polsko-niemieckich.

Polityka zachodnio-niemiecka w odniesieniu do Polski grzęźnie w iście gombrowiczowskiej „niemożności”. Ilustracją tego kompleksu i popisem zmarnowanych okazji była misja Bertholda Beitz’a, którą Stehle opisał i przeanalizował z nadzwyczajną sumiennością, zarówno od strony Warszawy jak i od strony Bonn. Niewątpliwie Beitz posiadał pewien kredyt — Cyrankiewicz nazwał go „od 20 lat wypróbowanym przyjacielem Polski” — i ów kredyt Niemcy mogli w danej sytuacji politycznie zdyskontować. Wówczas była szansa wyjścia z owej „niemożności”... by nie uznać oficjalnie granicy na Odrze i Nysie — a przecież nawiązać stosunki pół-dyplomatyczne z Polską. Beitzowi dali jasno do zrozumienia zarówno Gomułka jak i Cyrankiewicz, że nie stawiają jako warunku formalnego uznania i zadowolą się półoficjalnym „jednym słówkiem” kancl. Adenauera, stawiając za przykład wypowiedź de Gaulle’a w sprawie granicy nadodrzańskiej.

Niestety owo „jedno słówko” kanclerza zabrzmiało nieco inaczej niż wyobrażano sobie w Warszawie. 30 stycznia 1961 — Ziomkowski Biuro Prasowe ogłosiło tekst przemówienia, które wygłosił kancl. Adenauer w dniu 20 stycznia, bezpośrednio po upoważnieniu Beitz’a do podjęcia rozmów w Warszawie. W cytowanym przemówieniu kanclerz zapewnił słuchaczy, że „wschodnie ziemie niemieckie” nigdy nie zostaną zapomniane, że „kiedyś wybijie dziejowa godzina, choć proces odbudowy państwowej jednolici Niemiec w ich historycznym zarysie (terytorialnym) rozciągnie się na długi okres czasu”.

Misja Beitz’a spaliła na panewce, ponieważ rząd w Bonn nie ma

koncepcji wyjścia z owej politycznej, paraliżującej „niemożności”. Stehle krytykuje postępowanie swego rządu w tej sprawie, lecz sam nie wysuwa również żadnej koncepcji.

Rządowi PRL chodzi nie tylko o uznanie granicy na Odrze i Nysie, lecz również o formalne i definitywne uznanie dyplomatyczne władzy komunistycznej w Polsce. Nie mam wątpliwości, że i dziś rząd PRL nie stawiałby oficjalnego uznania granicy na Odrze i Nysie za warunek. Zadowolono by się nie wiążącym „małym słówkiem” à la de Gaulle — byle tylko zdobyć uznanie dyplomatyczne dla rządu komunistycznego w Polsce.

Dr Stehle w konkluzji dochodzi do wniosku, że w obecnej sytuacji istotne jest nie tyle uznanie granicy na Odrze i Nysie — ile uczynienie w pełni wiarygodnym zapewnienia, że Niemcy nigdy nie uciekną się do siły.

To jest kwadratura koła. Jedynym bowiem sposobem uwiarygodnienia zapewnienia o nieużyciu siły — byłoby uznanie granicy na Odrze i Nysie lub zapewnienie, że przyszłe zjednoczone Niemcy granicę tę uznają. W ramach ludzkich możliwości nie można uwiarygodnić gwarancji nieużycia siły w inny sposób.

Stehle odrzuca historyczne argumenty Polaków i tłumaczy swoim rodakom, że utracili ziemie nad Odrą i Nysą w konsekwencji agresji dokonanej przez Hitlera przeciwko Polsce. I zdobywa się na odważne stwierdzenie, że „ten wykrwawiony i zubożały naród (polski) w rezultacie agresji Hitlera przeciwko Rosji dostał się pod komunistyczne władanie”.

Autor stwierdza również, że żaden naród nie wycierpiał tyle co Polacy i żaden inny naród nie poniósł takich strat zarówno w ludziach, jak i w majątku narodowym. Groza najazdu i okupacji hitlerowskiej w Polsce udokumentowana jest bogatym materiałem cyfrowym.

Stehle odmalował także proces zrastania się ziem zachodnich i stwierdza, że inkorporacja tych ziem tak w sensie etnicznym jak i gospodarczym jest faktem dokonany.

W sumie — mimo wielu ważnych zastrzeżeń — należy powiedzieć, że jest to książka odważna i uczciwa, która pozyska autorowi przyjaciół w Polsce, lecz nie ułatwi mu życia w adenauerowskich Niemczech.

DLACZEGO WSCHÓD?

Oto dwie charakterystyczne wypowiedzi:

„Więc dlaczego Wschód? Bo na niego kolej, bo jest biedniejszy i skomplikowany, a przez to głębszy i mądrzejszy. Zachód dał różne dowody dziecinności: stworzył sobie straszak komunistyczny, nie rozumiejąc, że ustrój to tylko forma, że po obu stronach barykady w ten czy w inny sposób dzieje się socjologicznie to samo i że przyjęcie zasady izolacji czy bojkotu to metoda absurda, to mało ambitna rezygnacja”.

Tak — skomplikowany, głębszy i mądrzejszy:

„To coście wywiesili jest po prostu antysowieckie. Niemoralne.

Sztuka powinna uszlachetniać jednostkę i porywać ją do czynu. A wy co wystawiacie? Hej, kto to namalował ten obrazek? Chciałbym z nim pogadać. Do czego taki obraz, hę? Pokrywką na urynał, co? (Malarz Żeltowski występuje, wezwany w ten sposób). Wyglądasz bracie, na porządnego chłopca, ale jak mogłeś coś takiego namalować? Miałbym ochotę ściągnąć ci portki i posadzić cię w gąszczu pokrzyw, żebyś tak długo siedział, aż zrozumiesz swój błąd. Jak ci nie wstyd? Cóż ty jesteś — pederasta czy normalny człowiek? Chcesz za granicę? Jazda więc! Odstawimy cię bezpłatnie do granicy. Żyj sobie w „wolnym świecie”. Ale my tu nie damy ani kopiejki na takie sobacze g... Mamy prawo posłać cię na wyrąb lasów, żebyś pracą spłacił dług wobec państwa, które na ciebiełożyło”.

Autorem wypowiedzi Nr 1 jest Stefan Kisielewski — autorem wypowiedzi Nr 2 jest Nikita Chruszczow.

Właściwie na jakiej podstawie Chruszczow występuje jako mecenas i mentor sowieckiego malarstwa? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. W Rosji Sowieckiej nie istnieje „zamówienie społeczne” — istnieje tylko „zamówienie państwowe”. Argumentacji Chruszczowa — w ramach rzeczywistości sowieckiej — nie można odmówić logiki. To nie jest kapitalistyczne: „ja płacę, ja wymagam”. To jest coś znacznie więcej: „tylko ja płacę i tylko ja wymagam”. Państwo płaci za kształcenie takich malarzy, jak cytowany p. Żeltowski. To jest inwestycja państwowa, taka sama jak każda inna. Ponieważ całość produkcji w Związku Sowieckim jest planowana — oczekuje się, że p. Żeltowski będzie produkował to — co jest zaplanowane.

W planowaniu architektury, rzeźby, czy malarstwa — wchodzi w grę różne elementy jak np. wrażliwość artystyczna, kierunki twórcze i „szkoły” panujące w danym okresie itp. W krajach Zachodu „rynek kulturalny” jest bogaty, różnorodny i w ustawicznej ewolucji. Nawet dziś — mimo mediów masowego oddziaływania — „rynek kulturalny” w znacznej mierze kształtują artyści. Wystarczy przypomnieć sobie jak 15 lat temu wyglądała w Anglii przeciętna wystawa — jak prezentowała się rzeźba, ceramika, a nawet meble. Artyści wychowują swoich odbiorców i w ten sposób zdobywają „zamówienie społeczne” dla swojej sztuki. Oczywiście „odbior” nie nadąga nigdy za twórczością i postępowe kierunki w roku 1963 — torują drogę postępowym szkołom sprzed 10-ciu laty. Odbiorcy w swej masie są konserwatywni. W porównaniu z rzeźbą czy obrazem awangardowym z roku 1963 — obraz, rzeźba czy ceramika z roku 1953 — wydają się konserwatywne i „do strawienia”. Każda awangarda wyważa drzwi nie dla siebie, lecz dla poprzedniej awangardy.

W Sowietach zaplanowane jest malarstwo naturalistyczne, czyli „socrealistyczne” — ponieważ tylko ten kierunek jest zgodny z linią partyjną. Przyjmując, że obywatele sowieccy — nawet jeżeli nie są wszyscy partyjnymi komunistami — to jednak w sensie kulturalno-ideologicznym są „socjalistami” — należałoby w konsekwencji uznać, że winno im się podobać wyłącznie malarstwo naturalistyczne. Jeżeli komuś podoba się malarstwo abstrakcyjne — lub co gorsza sam maluje obrazy abstrakcyjne — dostarcza dowodu, że jest heretykiem i to nie heretykiem „artystycznym”.

tylko heretykiem ideologiczno-politycznym”. W tym sensie ocena Chruszczowa jest słuszna — to jest bunt polityczny. I dlatego należy go podsycać i żywić umiejętną kulturalną ofensywą.

Czy system ustrojowo-gospodarczy, jakim w gruncie rzeczy jest komunizm, wymaga powszechnego zaakceptowania dogmatycznej doktryny filozoficznej obejmującej sztukę, historiozofię, kosmologię itd? Z całą pewnością nie. Lecz przywódcy partyjni obawiają się rewizjonizmu w każdej dziedzinie i słusznie wnioskuje, że rewizjonizm w malarstwie jest równie ważny i groźny jak każda inna działalność rewizjonistyczna.

Rynek kulturalny zaczyna się w Rosji powoli kształtować — młodzi zbuntowani poeci i malarze nie są osamotnieni, lecz przeciwnie mają wielkie zaplecze. W miarę podnoszenia się dobrobytu, oświecenia, znajomości Zachodu — będzie coraz trudniej przepisywać inteligencji sowieckiej postną dietę kulturalną.

„Fermentacji” i jej znaczenia w Rosji nie można porównywać z „fermentacją” polską. Gomułka w tej dziedzinie jest w znacznie lepszej sytuacji niż Chruszczow. Gomułka ma za sobą Chruszczowa, raczej „geopolityczne”, straszaka interwencji. A co ma sobą Chruszczow? Pekin?

POLEMIKI

Witold Jedlicki w niezmiernie interesującym artykule pt. „Narodowy Liberalizm” („Kultura”, 5/187) — pisze m.in.:

„Londyńczyk ma zupełną rację kiedy twierdzi, że myślenie kategoriami politycznymi jest Mackiewiczowi (Józefowi) całkowicie obce. Tylko to trudno uważać za zarzut. Pisarz ma prawo do wyboru punktu widzenia”.

Nie tylko pisarz, ale każdy z nas ma prawo wyboru punktu widzenia. Lecz jeżeli ktoś wybiera punkt widzenia, który *de facto* nie jest jego „punktem widzenia” musi ponieść konsekwencje tego wyboru. Jeżeli autor, któremu myślenie kategoriami politycznymi jest całkowicie obce — podejmuje temat czysto polityczny — katastrofa jest nieuchronna.

Przykładów tego typu katastrof można zacytować całą serię. „Penguin” wydał obecnie broszurę Bertranda Russella pt. „Unarmed Victory”. Jest to w dosłownym tych słów znaczeniu, mackiewiczowskie „Zwycięstwo Prowokacji” tylko *à rebours*.

Panuje powszechnie mylne przekonanie, że adoptując nową dziedzinę zainteresowań — można wnieść w posagu inteligencję i doświadczenie zdobyte w innej dziedzinie. Niestety tak nie jest. Osobista filozofia Einsteina („The World as I see It”) jest banalna i nieciekawa. Czytając tę książeczkę — nie wiadomo po co napisaną — czytelnikowi nigdy nie przemknęłoby przez myśl, że jej autorem jest największy geniusz 20 wieku.

Lecz wróćmy do Russella, który stanowi klasyczny przykład w tej swojej dziedzinie.

Dokładnie 60 lat temu — Russell zdobył sławę i uznanie pracą pt. „Principles of Mathematics”. Wszystkie jego najwybitniejsze dzieła doty-

czą logiki i matematyki. Nagrodę Nobla dostał wprawdzie za „A History of Western Philosophy” — lecz on sam zapewnił sobie wybitne miejsce w historii zachodniej filozofii jako logik.

Wydawaloby się więc, że niemal stuletniemu Russellowi wszystko można zarzucić tylko nie brak umiejętności logicznego myślenia.

Russell jest wielkim logikiem pod warunkiem, że nie korzysta z przyznanego mu przez Jedlickiego prawa wyboru „punktu widzenia” i nie opuszcza twardego gruntu swojej specjalności. Ilekroć opuszcza ów twardy grunt następuje katastrofa, identycznie jak w wypadku Mackiewicza.

A oto kilka przykładów z cytowanej broszury Russella:

„W bloku wschodnim obserwujemy stały wzrost wolności. Na Zachodzie wolność się kurczy. W rezultacie nie ma dziś znaczniejszej różnicy pomiędzy Wschodem a Zachodem”.

„...Jest rzeczą wielce wątpliwą czy Chińczycy byli agresorami w stosunku do Indii”.

„...Musielście umierać ponieważ bogaci Amerykanie nie lubią rządu, który odpowiada Kubańczykom i (Amerykanie) użyli części waszych bogactw by rozsiewać kłamstwa o rządzie kubańskim”.

W sumie świat stał na skraju przepaści i uratował nas od zagłady jedyny wśród nas mąż sprawiedliwy imieniem Nikita Chruszczow. Uratował świat wbrew szaleńczej polityce amerykańskich podżegaczy wojennych.

Gdyby Bertrand Russell był komunistą — jego wypowiedzi rozpatrywane w kontekście propagandy sowieckiej byłyby logiczne. Lecz on komunistą nie jest. Russellowi wydaje się natomiast, że i w dziedzinie polityki — o której nigdy nie miał zielonego pojęcia — myśli logicznie. Kilka lat temu zarzucał brak umiejętności logicznego myślenia Gaitskellowi. Wniosek stąd, że Russell jest przekonany iż on, jako logik, może wybierać „punkty widzenia” i zawsze być logikiem.

Tak nie jest. W rzeczywistości gdy wielki logik matematyczny opuszcza teren swej specjalności przestaje być wielkim logikiem — a wielki pisarz gdy porzuca powieściopisarstwo — przestaje być wielkim pisarzem.

DOWCIPNY APEL

Dowcip stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych dokumentacji epoki. Dowcipy i wspaniałe „powiedzonka” z czasów okupacji hitlerowskiej — które więcej mówiły o niepokonalności Polaków niż barykady — przeminęły wraz z epoką, która je zrodziła. O barykadach pamiętamy, ale dowcipów nikt nie pozbił. Aby odnaleźć ich znikomą garstkę — trzeba szperać po pamiętnikach i to mniej ważnych osobistości, bo ci ważni byli tylko zaprzątnięci przekazaniem Historii swojej więcej lub mniej dziejowej działalności.

Matką dowcipu politycznego jest cenzura. W dowcipie krystalizuje się reakcja, która inaczej nie może znaleźć ujścia. Reakcja na tępotę biurokracji, na kaganiec cenzury, na niezamierzony „abstrakcjonizm” życia pod

tw. „dyktaturą proletariatu”. Każdy totalizm jest komiczny w swojej śmiertelnej „seriozności”, wielkosłowi i błędzie.

Nic tak nie ilustruje życia pod „władzą ludową” jak dowcipy, które przeciekają przez „żelazną kurtynę”. Seria dowcipów może powiedzieć więcej i intymniej o tym jak tam jest naprawdę, niż najsumienniejszy reportaż.

„Kultura” postanowiła dowcipy z epoki „Polski Ludowej” uchronić przed zagładą zapomnienia i przekazać je — w jak największej masie — potomności. Zamierzamy publikować w „Kulturze” bieżącą produkcję krajową, a z czasem opracować i wydać obszerną antologię dowcipów „Polski Ludowej”.

W tym celu apelujemy jak najgoręcej do naszych Czytelników, tak tych, którzy odwiedzają kraj jak i tych, których krewni czy znajomi odwiedzają kraj — by skrzętnie zbierali dla nas dowcipy i „powiedzonka”. Zbierali i przekazywali do Redakcji „Kultury”. Nazwiska zasłużonych kolekcjonerów (o ile nie zastrzegą sobie anonimowości) — będą z wdzięcznością wymienione we wstępie do cytowanej antologii.

Chodzi nam, przede wszystkim, o dowcipy i „powiedzonka” wzięte wprost z życia, a nie z łamów prasy krajowej. Lecz selekcję pozostawiamy nam — zbierajcie i przysyłajcie wszystko, a my zrobimy resztę.

LONDYŃCZYK

Najnowsza historia Polski

Droga do Moskwy

30-go kwietnia 1933 r. rano wysiadłem z pociągu warszawskiego w Moskwie. Gdy piszę te słowa widzę na kalendarzu tę samą datę — tylko że 30 lat później. A jednak sprawa, która mnie wówczas do Moskwy zawiodła, jest również i dziś aktualna: sprawa „koegzystencji pokojowej” z Rosją Sowiecką.

Sięgam tedy po teczkę mych „Wspomnień” z lat 1932-34 — i jak to było — opowiem.

Moja wizyta moskiewska nie była pierwszym krokiem na tej drodze. Poprzedziły ją rozmowy poufne I. Matuszewskiego i moje z posłem sowieckim w Warszawie, Antonowem-Owsiejenko, trwające przez szereg miesięcy.

Już w kwietniu 1932 r. — wkrótce po mowie Hitlera w Bytomiu, zapowiadającej „rewindykację” na wschodzie, gdy dojdzie on do władzy, a w kilka miesięcy po parafowaniu polsko-rosyjskiego układu o nieagresji — zaprosił nas dwu do siebie J. Beck, wówczas jeszcze wice-minister spraw zagranicznych. Powiedział nam, że Komendant położył mocniej niż dotychczas rękę na sterze polityki zagranicznej; że zarządził większą aktywność i inicjatywę z polskiej strony, zarówno na zachodzie jak na wschodzie. W związku z tym zarysowuje się pewne zadanie dla nas.

Mianowicie, mamy nawiązać kontakt towarzyski z Antonowem-Owsiejenką, który — niezależnie od dyplomacji — ma poważny głos w partii; w czasie konfliktu Trocki-Stalin nie naraził się widocznie Stalinowi. Postarajcie się — mówił Beck — przekonać go, że w pakcie o nieagresji chcielibyśmy widzieć nie tylko instrument dyplomatyczny; wolelibyśmy nadać mu żywą treść. Że

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

jest z naszej strony — poza pełną dobrą wolą dotrzymania paktu — gotowość do przejścia od stanu *sui generis* „zimnej wojny” do rzeczywistej lojalnych i dobrych stosunków sąsiedzkich.

Komendant uważa odprężenie z Moskwą za wskazane i możliwe w sytuacji obecnej — zarówno dla nas, jak dla nich. Mają wielkie trudności gospodarcze; przystąpili podobno do budowy wielkiej bazy wojskowej na Dalekim Wschodzie, co świadczyłoby o obawach od strony Japonii; wreszcie — panom na Kremlu na pewno nie pomaga spać spokojnie to co się dzieje w Niemczech.

Ewentualna poprawa stosunków z Rosją — mówił dalej Beck — będzie miała pożyteczny dla nas oddźwięk na zachodzie. Będzie tam przyjęta z zadowoleniem; co więcej może to ułatwić próbę, którą właśnie mamy podjąć, dogadania się z Paryżem i Londynem do wspólnej oceny sytuacji i wspólnej — już nie lokarniejskiej — polityki zapobiegawczej wobec Berlina. Ale o tym nie mogę wam jeszcze w tej chwili więcej powiedzieć.

Oczywiście, obaj z Matuszewskim przyjęliśmy powierzone nam zadanie.

Nawiązanie stosunków z Antonowem-Owsiejenką nie było trudne. Na najbliższym przyjęciu oficjalnym wszczęliśmy z nim rozmowę, która potoczyła się dość ciekawie i zakończyła się zaproszeniem nas na śniadanie do poselstwa sowieckiego, chętnie — rzecz prosta — przez nas przyjętym. Od tego czasu przez szereg miesięcy, spotykaliśmy się co kilka tygodni, u Matuszewskiego, u mnie i znowu u Antonowa, prowadząc za każdym razem ożywione dyskusje. Naturalnie, dla posła sowieckiego wyjście z dotychczasowej izolacji i możliwość swobodnych rozmów z politykami, mającymi poważny status w obozie rządzącym — było osiągnięciem pozytywnym. Lubił też, jak większość Rosjan, debatować. Dla nas jednak, w pierwszej fazie, nie posuwały te rozmowy sprawą naprzód, z punktu widzenia naszego celu; chyba o tyle tylko, że wytworzyła się pewna atmosfera otwartości, znacznej swobody i niemal zażyłości personalnej. Antonow był bowiem indywidualnością nieprzeciętną, ciekawą i raczej sympatyczną; na pewno był człowiekiem głęboko ideowym i szczerze wyznającym kanony swej marksistowskiej wiary.

Nie szablonową była też przeszłość tego rewolucjonisty: był aż do 1906 r. zawodowym oficerem armii carskiej. Jako młody porucznik służył w 1898 r. w garnizonie warszawskim. Po odsłonięciu pomnika Mickiewicza pozwolił sobie na manifestację — ilekroć przechodził przed pomnikiem ostentacyjnie i uroczystie salutował, za co przeniesiony został karnie do prowincjonalnego garnizonu w Puławach. Był już wówczas w tajnym kontakcie z ruchem rewolucyjnym rosyjskim i w r. 1905 zorganizował bunt

w tym garnizonie; uwięziony, skazany na degradację i katorgę, przesiedział na Syberii aż do rewolucji 1917 r. W jesieni tegoż roku znalazł się w Piotrogradzie, u boku Lenina.

Jemu też powierzył Lenin zadanie zorganizowania „pięści zbrojnej” z żołnierzy i marynarzy, zaprzatając tymczasem, przez Trockiego, uwagę Kiereńskiego i przywódców demokratyczno-socjalistycznych walką na języki na nieprzerwanych wiecach i zgromadzeniach. Gdy Antonow ze swoją *force de frappe* był gotów, pchnął go Lenin do szturm na Pałac Zimowy, rząd tymczasowy przepędził, władzę zagarnął. Od tego czasu Antonow stał się jedną z czołowych osobistości w partii.

Miał on jednak typową przywarę bolszewicką: wręcz infantylne pojęcie o stosunkach w świecie kapitalistycznym XX wieku; wierzył że, po prostu, istotną i decydującą władzę nad tym światem sprawuje jakiś sanhedryn międzynarodowy potentatów kapitalistycznych, w którego rękach rządy poszczególnych państw są tylko marionetkami, w bezpośrednim, czy pośrednim stopniu podwładności. Tak więc gdy po kilku spotkaniach zaproponowaliśmy, że choć cenimy sobie bardzo dotychczasowe rozmowy — wolelibyśmy przejść od dyskusji „pryncypialnych” i od spraw przeszłych, do przyszłości, nawiązując do paktu o nieagresji — usłyszeliśmy w odpowiedzi:

— Ależ panowie mówicie jak o fakcie dokonanym — a przecież układ ten nie jest jeszcze ratyfikowany.

— Ratyfikacja z naszej strony nie ulega wątpliwości — odparłem.

— A ja mogę założyć się z panem, że nie ratyfikujecie — z upartą pewnością powiedział Antonow.

— Taki zakład byłby z mojej strony nierzetelny, bo jestem zbyt dobrze poinformowany; ale doprawdy nie pojmuję na czym pańska pewność polega — spytałem, z trudem hamując irytację.

— A na tym, że wam Francja nie pozwoli! — rąbnął już zgola nie dyplomatycznie Antonow. (We Francji wówczas był u władzy rząd André Tardieu).

Spór zrobił się nieco zbyt gorący i Matuszewski zainterweniował „odprężająco”, proponując nam żartobliwie tymczasowy prywatny pakt o nieagresji, dopóki fakty nie wykażą kto ma rację. Ale dodał, że on przyjąłby proponowany mi zakład i to o całą beczkę kawioru.

Mimo że rozstaliśmy się uprzejmie i pogodnie, dostatecznie już poznaliśmy upór naszego kontrahenta, aby kontynuować rozmowy, zrobiliśmy przerwę; powróciliśmy jednak do nich zaraz po ratyfikacji, która nastąpiła w grudniu 1932 r.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy 1933 r. — już po miano-

waniu Hitlera kanclerzem spotykaliśmy się jeszcze kilkakrotnie, omawiając sprawę zbliżenia i lepszego zapoznania się między naszymi krajami, jako rzecz postanowioną w zasadzie. Rozmowy szły już gładko. Całą jedną dyskusję poświęciliśmy właśnie temu, co dziś się nazywa „koegzystencją pokojową”.

W marcu czy w początkach kwietnia 1933 r. napisałem w „Gazecie Polskiej” artykuł, który zawierał właściwie *résumé* naszych rozmów z Antonowem. Wyraziłem też przekonanie, że nie ma powodu, aby stosunki sąsiedzkie Polski z Rosją Sowiecką nie rozwijały się nadal ku lepszemu. Różnice ustrojowe i ideologiczne nie powinny temu przeszkadzać skoro nie stoi za nimi gotowość „eksportowania” ich przemocą; do Traktatu Ryskiego i ratyfikowanego ostatnio paktu o nieagresji trzeba jeszcze tylko dodać fakt wzajemnej lojalności i dobrej woli.

W kilka dni po publikacji tego artykułu odwiedziłem Antonowa i zapytałem go czy treść artykułu odpowiada temu, co sądziłem, że jest między nami uzgodnione; nie wysunął zastrzeżeń. W dalszej rozmowie, zapytał mnie jednak czy nie sądzę, że nasze dotychczasowe dyskusje powinnyby pójść już dalej, na innym szczeblu. Było to napomknienie, które mogło być rozumiane albo jako chęć grzecznego wycofania się z jego strony, albo też jako stwierdzenie potrzeby akceptacji czynników decydujących. Nie pytałem o bliższe wyjaśnienia, wolałem przedtem porozumieć się z Beckiem. Był on zdania, że powinniśmy raczej rozumieć aluzję Antonowa pozytywnie; tak i mnie się zdawało. W kilka dni później zakomunikował mi Beck — już wówczas Minister Spraw Zagranicznych — decyzję Komendanta: przenieść dalsze rozmowy na grunt moskiewski. Udzielone mi instrukcje szły teraz znacznie dalej niż poprzednio.

Co do formy — wobec wyrażanej przez Stalina nieufności do dyplomacji oficjalnej — polecono mi aby występował jako jeden ze starych współpracowników Marszałka Piłsudskiego, upoważniony — w tym wypadku — do wypowiadania jego zdania. Co do treści — zadaniem moim było zapewnić bolszewików, że w żaden sposób Polska nie zwiąże się z Niemcami do jakiegokolwiek akcji zaczepnej przeciw Związkowi Sowieckiemu — i postarać się przekonać ich o tym.

Zaaranżowana więc została moja wizyta w Moskwie, jako redaktora „Gazety Polskiej”, dla nawiązania osobistego kontaktu z kierownikami prasy politycznej sowieckiej. Zostało to chętnie przyjęte, formalności załatwione z ich strony szybko i kurtuazyjnie.

Według informacji, które mieliśmy z Moskwy, jednym z bezpośrednich współpracowników Stalina był wówczas Karol Radek, formalnie redaktor „Izwestii”, *de facto* kierujący całym

centralnym aparatem prasowo-propagandowym w Moskwie, a oprócz tego doradca Stalina w sprawach polityki międzynarodowej, niezależnie od Litwinowa jako ministra spraw zagranicznych.

Tak oto znalazłem się w Moskwie już 30 kwietnia, chcąc niezależnie od właściwego celu — zobaczyć 1-szo majowe uroczystości, które — jak zapowiadano nam z Moskwy — miały w tym roku być w swej części wojskowej specjalnie manifestacyjne.

Na dworcu oczekiwał na mnie właśnie Karol Radek obok naszego posła, ministra J. Łukasiewicza i korespondenta „Gazety Polskiej”, Jana Bersona.

Od razu na dworcu kolejowym powiedziałem Radkowi, że jako kolega po fachu rozumiem doskonale, jak bardzo zajęci są oni wszyscy w przeddzień 1 maja, a pewnie i w ciągu najbliższych dni kilku, dlatego wolałbym ich nie trudzić moimi ceremonialnymi wizytami i zastąpić to po prostu złożeniem biletów wizytowych w redakcja „Prawdy”, „Izwestii” i TASS’a. Radek zaakceptował moją propozycję; potwierdzając, że ma czas wypełniony przez dwa najbliższe dni, zaproponował przystąpienie do rozmów 2 maja; umówiliśmy się, że Jan Berson, będzie utrzymywał łączność między nami i że nie będziemy przywiązywać żadnej wagi do formalistyki, dotyczącej czasu i miejsca ewentualnych rozmów. Ale tak się złożyło, że zobaczyliśmy się jeszcze tego wieczoru.

W Poselstwie naszym, układając przy śniadaniu rozkład zajęć, postanowiliśmy zacząć od pójścia do teatru. Gdy jednak Łukasiewicz dał polecenie swemu sekretariatowi wystarania się o bilety, zameldowano mu wkrótce, że we wszystkich teatrach odbywają się uroczyste przedstawienia z powodu jutrzejszego święta majowego i niestety nigdzie nie ma wolnych miejsc. Że oczywiście chętnie służą za kilka dni. Jednakże w kilka godzin potem zawiadomili Poselstwo, że będą mogli przysłać nam dwa miejsca do teatru Wachtangowa, na sztukę „Interwencja”, radząc, że lepiej będzie udać się do teatru nie wcześniej jak trzy kwadranse po zwykłej godzinie, sztuka bowiem poprzedzona będzie przez uroczystości związane z jutrzejszym świętem. Udaliśmy się mimo to do teatru punktualnie. Później wykryło się nieporozumienie: nie „radzono” lecz proszono o późniejsze przybycie.

W chwili gdy wchodziliśmy na salę, przy okazywaniu biletów obrzucono nas zdziwionymi spojrzeniami, ale w tej chwili właśnie zgaszono światła, kurtyna poszła do góry, więc pośpiesznie wskazano nam nasze miejsca tuż przy wejściu w drugim rzędzie krzeseł. Na scenie rozpoczęła się uroczystość o charakterze wyraźnie partyjnym. Wysłuchaliśmy sprawozdania z działalności organizacyjnej tej dzielnicy Moskwy, dla której teatr Wachtangowa został

tego wieczora przeznaczony; następnie, odbyło się wręczenie sztandaru przodującej drużynie Komsomołu tej dzielnicy, wreszcie wszedł na mównicę przedstawiciel Sowietu okręgu moskiewskiego i wygłosił referat o sytuacji międzynarodowej i o polityce zagranicznej Rosji Sowieckiej. Tego ostatniego wysłuchaliśmy ze zrozumiałym zainteresowaniem. Gdy ta część programu się skończyła i nastąpił antrakt, zjawił się Karol Radek, który zwrócił się do mnie ze śmiechem: „Ot — powiada — Redaktor, Pułkownik, czy Minister, a zaraz widać, że były Szefer dwójki” i pogratulował mi, że ledwie 12 godzin upłynęło od mego przybycia do Moskwy, a już potrafiłem się dostać na posiedzenie partyjne przeznaczone tylko dla członków partii. „Ale — dodał Radek — nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mógł się pan przekonać, że w referacie o sytuacji międzynarodowej, na pewno nie przeznaczonym dla obcych uszu, nie usłyszał pan złego słowa o Polsce”. Było to istotnie prawdą. Jak zwykle obdzielono w tym referacie bezceremonialnymi epitetami wszystkich wrogów proletariatu i Rosji Sowieckiej, Polskę w przydziale pomijając.

Sztuka „Interwencja”, grana tego wieczora, rozgrywała się w Odessie, w końcu 1918 roku, w czasie okupacji alianckiej, gdy bolszewicy byli przejściowo w konspiracji, zaś czerwona armia się wycofała. Sztuka była w intencji autora bardzo anty-francuska, grana świetnie i zapewne właśnie gra aktorów nadała jej inny jeszcze charakter — jestem pewny że wówczas niezamierzony — mianowicie antysemicki. Burżuazja odeska składała się przecież w ogromnej większości z Żydów; skoro zaś czarnymi charakterami w sztuce musieli być burżuje, więc w zgodzie z tradycjami reżyserii Stanisławskiego nadali odnośnym typom pełny koloryt lokalny, zarówno w charakteryzacji, jak i akcencie oraz gestykulacji.

Po pierwszym akcie dyrekcja teatru zaprosiła Łukasiewicza i mnie na herbatę za kulisy; towarzyszył nam oczywiście Radek, przedstawiono nam aktorów grających główne role, zasiedliśmy do herbaty z ciastkami. Siedziała przy mnie młoda panienka, której nazwiska nie dosłyszałem przy przedstawianiu. Raz i drugi zwróciłem się do niej po rosyjsku; zauważyłem, w odpowiedzi, jak gdyby odcień niechęci; jakaś zażarta komunistka — myślałem sobie. Ale za trzecim razem, usłyszałem: „A do mnie proszę po polsku mówić, ja jestem córka Karola Radka”.

Na drugi dzień rano udaliśmy się z Łukasiewiczem na defiladę 1-szomajową. Z trybuny dyplomatycznej, na której również zasiadały wybitne osobistości sowieckie (obok mnie zajmowała miejsce p. Jegorowa, żona szefa sztabu generalnego), przyglądałem się z zaciekawieniem obu częściom defilady, najpierw woj-

skowej — w której po raz pierwszy pokazano na wielką skalę wyniki postępującej modernizacji armii czerwonej — w pewnym momencie wpłynęły z szeregu ulic potoki ciężkich czołgów, które zalały cały olbrzymi plac, jednocześnie zaś nadciągnęły w powietrzu, jedna za drugą eskadry ciężkich bombowców. Wido-wisko było istotnie groźne, doskonale wyreżyserowane i sprawnie przeprowadzone. Patrzył na nie, stojąc na mauzoleum Lenina, Stalin, w otoczeniu ministrów i generałów. Mogłem mu się dość dobrze przypatrzeć; zauważyłem też, że w ostatniej fazie defilady wojskowej, pancerno-lotniczej, kilka razy spoglądał uważnie na trybunę dyplomatyczną, najwyraźniej ciekaw wywołanego wrażenia.

Gdy wojsko schodziło z placu nastąpiła przerwa, zanim wkroczyły na plac pochody cywilne. W tym czasie paliliśmy papierosy, z przyjemnością wstaliśmy na chwilę z twardych ław trybuny, tu i ówdzie toczyły się ożywione rozmowy, szczególnie w grupie zagranicznych attachés wojskowych. Spróbowałem ze swojej strony rozmowy z p. Jegorową, która wyglądała ładnie i sympatycznie i była wyjątkowo dobrze ubrana. Przekonałem się jednak jak dalece słuszne było ostrzeżenie, żeby nikogo o nic nie pytać: zapytana przeze mnie o jakąś zgola niewinną rzecz, dotyczącą zmiany wyglądu Moskwy na lepsze, p. Jegorowa obejrzała się lękliwie dokoła i zmieniła temat rozmowy, aby nie narazić się na podejrzenie, że ważne tajemnice zdradza cudzoziemcowi.

Cywilna część parady była również doskonale zorganizowana; została mi z niej w pamięci jedna rzecz charakterystyczna: wśród transparentów niesionych w pochodach, czołowe miejsce zajmowały wielkie napisy: *Spasibo towarzyszc Stalin! Legcze i wiesieleje stało żyć* (1). Starym do dziś trwającym zwyczajem bolszewików rosyjskich jest wiara, że to co zaprojektowali w swoich planach, można już traktować jako fakt dokonany i spełniony. Transparenty, o których mówię, odzwierciedlały postanowienie Stalina, że druga „piatiletka” ma być poświęcona w znacznej części na produkcję konsumpcyjną, na przedmioty codziennej potrzeby, których ludność była spragniona; spowodowałoby to, niewątpliwie, znaczną ulgę i dużo radości. Ale faktem jest, że antycypacja trafiła w próżnię; akurat właśnie zaczęły zbierać się chmury — Hitler doszedł do władzy w Niemczech, druga „piatiletka” została znowu całkowicie poświęcona ciężkiemu przemysłowi i zbrojeniom...

Po skończeniu uroczystości na Czerwonym Placu, w godzinach popołudniowych, udaliśmy się z Łukasiewiczem na prze-

(1) Dziękujemy towarzyszu Stalinie. Życie stało się lżejsze i weselsze.

chadzkę po mieście. Uczestnicy delegacji z całego terenu imperium sowieckiego skierowani zostali do wyznaczonych punktów, w których wręczano im świąteczną porcję żywnościową. Wyglądało to bardzo ubogo, „wiesielja” też nie było widać.

Gdy krążyliśmy po mieście, przez pewien czas samochodem, a miejscami piechotą, zwrócił mi uwagę Łukasiewicz na przyjemny objaw „odprężenia”, istniejący już od kilku tygodni: personel poselstwa, z nim samym włącznie, może swobodnie poruszać się w mieście, bez nieustannego nadzoru na każdym kroku, pieszo lub zmotoryzowanym.

Na drugi dzień, w godzinach popołudniowych, odbyłem rozmowę z Radkiem. Był to typ bolszewika zupełnie odmienny niż Antonow Owsiejenko choć jeszcze bardziej nie szablonowy. Urodzony w Tarnowie, kończył Uniwersytet Jagielloński; studiował polonistykę, literaturę romantyczną, w szczególności Mickiewicza, którego był wielbicielem. Człowiek zdolny i inteligentny, obdarzony przy tym niesłychanie rzadką wśród bolszewików rosyjskich cechą — poczuciem humoru. Sam jadowicie dowcipny, potrafił też śmiać się, gdy z niego żartowano, a nawet sam z siebie zakpić. Gdy kiedyś wyraziłem zdziwienie, że jego stosunki ze Stalinem, które zaczęły się raczej pod złym znakiem, po śmierci Lenina, zmieniły się tak znakomicie, odpowiedział mi Radek: „Tak, istotnie myślałem początkowo, że najlepszym rozwiązaniem po śmierci Lenina będzie dopełniający się wzajem duumwirat Trocki-Stalin, ale jak posiedziałem na Syberii, to doszedłem do przekonania, że sam Stalin wystarczy”. Nuta gorzkiej drwiny zabrzmiała wyraźnie w tym powiedzeniu. Miał też Radek pewne specjalne uprawnienia w ówczesnym świecie moskiewskim, nie stosował się do reguł powszechnie obowiązujących; na pytanie kto był największym mędrcem świata pozwalał sobie wymieniać Adama Mickiewicza, a nie Karola Marksa. Nie obawiał się powtarzać złośliwych dowcipów o partii, o ile były rzeczywiście dobre. Znał świat zewnętrzny, Europę zachodnią i to ułatwiało z nim rozmowy; a trzeba pamiętać że w owych czasach spotykało się nawet na wysokich stanowiskach, wśród młodszych partyjników, którzy nigdy poza granice Rosji nie wyjechali, ludzi tak niewiarogodnie tępych i tak w swej ignorancji zarozumiałych, że niepodobieństwem było porozumieć się z nimi w jakiegokolwiek sprawie.

Niemniej przeto był Radek zdecydowanym komunistą i bolszewikiem. Był to człowiek ideowy, tak samo jak Antonow Owsiejenko, ale właściwie lepszy uczeń Lenina pod względem realizmu i elastyczności w taktyce politycznej. Miał też typowo bolszewicką bezwzględność w stosunku do jednostki ludzkiej i całkowity

brak sentymentalizmu. Gdy kiedyś, w czasie naszych rozmów, wspomniana została sprawa bezwzględnej, świeżej rozprawy rządu sowieckiego z chłopstwem ukraińskim i wynikała dyskusja na temat ile milionów żyć ludzkich przepadło tam wówczas z głodu — Radek potrafił powiedzieć: „Moi Panowie, nie rozumiem dlaczego przywiązujecie do tej sprawy taką wagę. No, przypuśćmy na chwilę, że macie rację i zginęło na Ukrainie 2 miliony ludzi i że odnośna cyfra ludności sowieckiej będzie, na przykład, nie 180 a 178 milionów. No to co?”

Nasza pierwsza rozmowa, 2 maja, u Janka Bersona, miała raczej charakter rozpoznawczy. Staraliśmy się obaj ocenić się nawzajem personalnie. Z Bersonem był już Radek na stopie poufalej zażyłości. Bardzo ciekawie rozgadaliśmy się o roku 1919 i 20-ym, ale o tym później. Radek ustalił ze mną termin śniadania w gronie dziennikarskim na 4 maja, uzgodnił to telefonicznie z „Narkomindiem”. Usprawiedliwiał się że ma „urwanie głowy” z odwaleniem swej redakcyjnej roboty po wczorajszej uroczystości i dopiero pojutrze będzie miał naprawdę wolną głowę do tak poważnej sprawy jak wyczerpująca i „planowa” rozmowa ze mną.

Zanim to nastąpiło, zanotować warto kilka ciekawych momentów z przyjęcia 3-majowego — nazajutrz — w naszym poselstwie.

Na przyjęciu w Poselstwie Polskim w dn. 3 maja zjawiła się tym razem liczna — po raz pierwszy — grupa przedstawicieli władz sowieckich, zarówno cywilnych jak wojskowych. Oprócz p. Litwinowa była kilku innych ministrów. Zamiast zwykłej oficjalnej sztywności zachowanie swobodne, przyjazne uśmiechy — wyraźnie sygnalizowane odprężenie.

Min. Litwinow, któremu przedstawił mnie Łukasiewicz jako redaktora i parlamentarzystę, tytułował mnie jednak pułkownikiem i zagaił rozmowę zapytaniem o moje zdanie w związku z toczącymi się wówczas w Genewie obradami nad rozbrojeniem — z takim samym, jak dziś, po 30-tu latach, rezultatem — na co odpowiedziałem jakąś ogólnikową formułą; otrzymawszy życzenia przyjemnego pobytu w Moskwie, porozmawiałem jeszcze przez chwilę z drugim członkiem rządu sowieckiego, ministrem przemysłu i handlu Rozenholcem, znacznie sympatyczniejszym od Litwinowa i wyraźnie akcentującym swe przyjazne usposobienie — po czym przesunąłem się nieco dalej wzdłuż stołu, ku grupie wojskowych. „Tu byłby wskazany raczej koniak, niż wino” — poradził mi jeden z panów z poselstwa, pod którego opiekę oddał mnie Łukasiewicz.

Zwróciłem uwagę na postawnego wąsacza w mundurze „Ko-

mandarma” (odpowiednik naszego generała broni), którego twarz wydała mi się znajoma; mój opiekun zapoznał nas. Budienny kordialnie uściśnął mi dłoń i oświadczył, że bardzo mu przyjemnie spotkać się z polskim pułkownikiem na stopie pokojowej; odpowiedziałem mu wspomnieniem o wielkiej sławie wojennej, którą sobie zyskał. Wypiliśmy po koniaku. Zacytowałem Puszkina: „Bojcy wspominali minувszije dni i bitwy, gdzie wmiestie rubiliś oni” — Budienny, pochwalił mój język rosyjski, wypiliśmy więc powtórnie i przekąsili. Ale, gdy napelniłem kieliszki raz jeszcze i sięgnęliśmy po nie obaj z Komandarmem, towarzyszący mu oficer sztabowy zaniepokoił się jak gdyby i „zameldował posłusznie”, że musi przypomnieć o konferencji, na którą czas jechać. Budienny odpowiedział jowialnie, że jeszcze zdąży, a jak nie zdąży to poczekają, a pewnie jeszcze samochodu nie ma. Sztabowiec oddalił się na krótko, po kilku minutach wrócił, właśnie w chwili gdy Budienny, wyprostowawszy się jak stary wachmistrz, mówił do mnie: „Panie pułkowniku, gdy pan w Warszawie zobaczy marszałka Piłsudskiego, proszę zameldować mu, że ja do końca życia będę dumny z tego, że miałem zaszczyt walczyć przeciw tak wielkiemu wodzowi”.

„Komandarm — zainterweniował znowu posłusznie, ale bardzo stanowczo sztabowiec — pora jechać, awtomobil podan”. Tak więc i ze strony Armii Czerwonej nie zabrakło w tym dniu kurtuazji.

Na śniadaniu, wydanym dla mnie nazajutrz, 4-go maja, przez prasę moskiewską, z udziałem paru panów z „Narkomindiu” — przedstawicielem tegoż był dyrektor departamentu, do którego należały sprawy polskie, p. Stomoniakow. Obok Radka był, jak sobie przypominam, Rajewski, dyrektor TASS-a, oficjalnej agencji telegraficznej, redaktor naczelny „Prawdy” i kilku czołowych publicystów; ze strony polskiej towarzyszył mi korespondent „Gazety Polskiej” Jan Berson. Umówiliśmy się z Radkiem, że żadnych przemówień wygłaszać nie będziemy. Gdy podano wino. Radek jako gospodarz, podniósł kieliszek i zwrócił się do mnie ze słowami: „Szczerze radzi jesteśmy widzieć pana, u nas, pańskie zdrowie” po polsku; — na co odpowiedziałem jeszcze krócej po rosyjsku „wsiewo choroszewo”. Ze Stomoniakowem rozmawialiśmy o Bułgarii, sięgając aż do tragicznej historii tego narodu w czasach bizantyjskich; trzymałem się bowiem ściśle danych mi instrukcji, aby nie wkraczać w domenę Łukasiewicza i z czynnikami oficjalnymi rozmów „rzeczowych” nie prowadzić. Wkrótce zresztą potoczyła się przy stole żywa rozmowa ogólna, zaczęto, dziennikarskim zwyczajem, opowiadać „kawały” i anegdoty. Berson przekomarzał się z Radkiem,

który twierdził, że potrafiłby pisać do „Gazety Polskiej” lepsze korespondencje niż on; na to ktoś z dziennikarzy sowieckich powiedział, że to bardzo możliwe, bo przecież artykuły Radka są tak pełne polonizmów, że trzeba je tłumaczyć na rosyjski. W pewnej chwili, gdy mówiłem coś i zabrakło mi nagle odpowiedniego wyrażenia rosyjskiego, zawołał Radek na cały stół: „Panie ministrze, niech się pan nie wysila na doskonałość w rosyjskim, tu właściwie Moskali nie ma — Stomoniakow też Bułgar”.

Do poważnego zwrotu doszło dopiero, gdy wstaliśmy od stołu i udaliśmy się na kawę do sąsiedniego salonu; Radek, ja i Stomoniakow zasiedliśmy przy jednym stoliku, ten ostatni pożegnał się wkrótce z powołaniem na terminy służbowe i zostaliśmy z Radkiem sami. Uprzedziłem go, że muszę wracać do Warszawy niebawem i uprawianie powściągliwości dyplomatycznej miałyoby się z celem mojej wizyty, którym jest właśnie szukanie skrótu na przełaj przez pola dyplomacji. Może byśmy więc pomówili z sobą jako dwaj starzy politycy, wiedzący o sobie wzajem co reprezentują. „Świetnie — odpowiedział Radek — już zaczynam. Niech mi pan powie czy dużo ludzi w Polsce myśli tak jak pan o naszych wzajemnych stosunkach i chciałoby ich poprawy?”.

„Chyba się pan domyśla — odrzekłem — że nie przyjechałem tu po to, aby zapoznawać was z osobistymi poglądami B. Miedzińskiego. Nie będę panu wyliczał statystycznie ilu ludzi u nas dzieli te poglądy; ale czy nie wystarczy panu jeden człowiek, na którego mogę się powołać: Józef Piłsudski?”.

„Wystarczy jak najbardziej — odparł Radek — proszę jednak wziąć pod uwagę, że pan dopiero w tej chwili to powiedział. Pan jest uprawniony przez decydujący autorytet z waszej strony, a ja — jak dotychczas — jestem tylko referentem. Aby zaś przedstawić sprawę analogicznemu autorytetowi u nas, nie wystarczyłoby powoływać się na to, czego się tylko „domyślam” — używając pańskiego własnego słowa”. Przerwałem, przyznając mu całkowitą rację. „Teraz więc, skoro postawił pan kropkę nad i, służę z całą gotowością” — dokończył Radek. Prosił tylko o kilka godzin zwłoki, aby „odwalić” swoje redakcyjne kłopoty i mieć zupełnie wolną głowę do tak poważnej — jak podkreślił — rozmowy. Umówiliśmy się na godz. 10-tą tegoż wieczoru.

Przywitał mnie Radek wieczorem uprzejmą prośbą, abym nie brał pod uwagę późnej godziny, że jest do mojej dyspozycji choćby do rana. Zapewniłem go, że nie przewiduję takiej potrzeby w tym wypadku, chociaż rad będę jeśli nasze dzisiejsze spotkanie da podstawę do dłuższych rozmów w przyszłości. Jako długoletni uczeń Piłsudskiego chcę zastosować jego metodę w po-

ufnych spotkaniach, gdy chodziło o jakąś próbę porozumienia. Sprawiała ona zawód — politykom typu galicyjskiego szczególnie, dobrze memu rozmówcy znanego. Piłsudski mianowicie mówił od razu na początku co sam gotów jest zrobić oraz czego od nich wymaga, motywował to krótko i oczekiwał odpowiedzi: tak lub nie; w żadne tak zwane przezeń „końskie targi” się nie wdawał. Toteż i ja wyłożyłem rzecz swoją treściwie. Ale na wstępie proszę o krótką odpowiedź na pytanie: czy wciąż jeszcze tu, u was, trwa koncepcja roli Polski jako bramy wypadowej, czy nawet awangardy dla wszelkiej na Rosję inwazji?

Radek przyznał, bez wahania niemal, że istotnie taki pogląd był dotychczas dość szeroko reprezentowany; zaakcentował jednak słowo „dotychczas”.

„Otóż — ciągnąłem dalej — przyjechałem po to, aby wam powiedzieć, że tak nie jest. Aby zaś nie mówić ogólnikami, nawiążę do sytuacji obecnej bez ogródek; mówię wam: Polska nie zwiąże się w żaden sposób i w żadnej sytuacji z Niemcami przeciwko Rosji Sowieckiej. Do tego oświadczenia zostałem w pełni upoważniony, z pieczęcią imienną, o której panu już dziś powiedziałem”.

W tym miejscu skorzystałem z rozwieszzonej na ścianie wielkiej mapy Europy, podprowadziłem do niej Radka i kończyłem: „A teraz powiem swoimi słowami co leży u podstaw takiego stanowiska, przez Polskę zajętego: nie to naturalnie żeśmy was nagle i płomiennie pokochali, lecz nasz własny interes. Gdybyśmy się przyłączyli do niemieckiego ataku na Rosję — to jakież są perspektywy? W wypadku niepowodzenia — katastrofa dla nas oczywista. A w razie powodzenia? — niechże pan patrzy na tę mapę i wyobrazi sobie w jakiej sytuacji znalazłaby się Polska, otoczona nowymi podbojami niebywałego dotąd imperium, na jego całkowitej łasce i niełasce... Czy myśli pan, że tego nie dostrzegamy?”

Jak sądzę, powinniście zrozumieć, że to, co panu przed chwilą oświadczyłem jest prostym wskazaniem polskiej racji stanu, i wyzbyć się zastarzałej do nas podejrzliwości. Jeśli się tu zrozumiemy, to droga do lepszego ułożenia naszych stosunków jest otwarta; jeśli nie, to szkoda gadać”.

Siedliśmy na kanapie, patrząc przez długą chwilę w milczeniu na ową mapę. Wreszcie Radek powiedział: „Muszę wam przyznać pułkownik, żeście wzięli byka za rogi. Wydaje mi się, że to istotnie dobry początek”.

Odczułem wyraźnie, że chciałby on przetrwać to co usłyszał, a ponieważ byłem pewny, że zrozumiał mnie dobrze, pożegnałem go. Cały dzień następny spędziłem z Łukasiewiczem.

Wieczorem zatelefonował do mnie Berson z informacją, że Radek zapytywał go, czy to prawda że zamierzam wyjechać nazajutrz; po potwierdzeniu, uprzedził Bersona, że ewentualnie obudzi go w ciągu nocy, dla przekazania wiadomości dla mnie. Berson domyślał się, że Radek udaje się z raportem na Kreml.

Wczesnym rankiem przybiegł też do mnie z następującą relacją: Radek istotnie wyciągnął go z łóżka o 3-ej w nocy i prosił o powtórzenie mi — koniecznie dosłownie — następujących dwu z dań: „Znaczenie przyjazdu pańskiego i naszych rozmów jest należycie doceniane. Jeśli zatrzyma się pan w Moskwie nieco dłużej, to byłoby możliwe przyjęcie pana przez Josifa Wissarionowicza”. Zastanowiłem się głęboko nad sytuacją. Doszedłem do przekonania, że lepiej nie zostawać. Ściśle biorąc, formuła Radka nie była definitywnym zaproszeniem, lecz tylko „obietnicą możliwości”. Co do rozmowy ze Stalinem — to po prostu bałem się; nie Stalina oczywiście, lecz Piłsudskiego, no i swego własnego nieprzygotowania. Co najważniejsze nie miałem instrukcji na taki wypadek. To co mi polecono załatwiłem; do Stalina doszło to co miałem powiedzieć. Zwróciłem się naturalnie do Łukasiewicza po weryfikację mego rozumowania. Ani on nie chciał wywierać na mnie nacisku, ani ja obarczać go współodpowiedzialnością za moją decyzję. Do zapytywania Warszawy o rozstrzygnięcie i dodatkowe instrukcje w drodze telefonicznej czy szyfrowej obaj, z wielu względów, nie mieliśmy przekonania.

W ostatniej chwili przed wyjazdem na stację kolejową, posłałem więc Radkowi odpowiedź przez Bersona, że odłożyć powrotu do Warszawy niestety nie mogę. Oczekiwać będę natomiast wzajemnych odwiedzin w Warszawie, gdzie dalsze rozmowy będą najchętniej prowadzone ze szczerym dążeniem dokończenia zaczętej tu pracy. Odpowiednie grzeczności i uprzejmości dołączyłem. Łukasiewicz obawiał się nieco, czy nie nastąpi jakaś uraza ze strony sowieckiej. Okazało się jednak, że nie. Wkrótce po moim powrocie do Warszawy dostaliśmy wiadomość z Moskwy, że Radek już wybiera się z rewizytą i to w najbliższym czasie. Przybył tuż przed Zielonymi Świątkami. I tu zaczyna się drugi rozdział tej opowieści, znacznie — zdaniem moim — znamiennejszy i może ciekawszy.

Bogusław MIEDZIŃSKI

Kraj

Bilans zimy

Poniższy artykuł pochodzi z tych samych kół co ogłoszony przed rokiem („Kultura” nr 6/176). Obostrzone przez władze bezpieczeństwa w Polsce warunki utrudniły przekazanie innych artykułów, a i ten dotarł do nas w formie fragmentarycznej. Staraliśmy się jednak zachować możliwie wiernie tekst i zasadniczą myśl artykułu (Redakcja).

Jak wiadomo, zimy bywają raz łagodniejsze, raz ostrzejsze. W Polsce w ostatnich latach każda zima nawet najłagodniejsza była problemem. Przy kilku stopniach mrozu prasa podawała jak gdyby komunikaty z placu boju: o rozgrzewaniu zwrotnic na głównych stacjach kolejowych, o zaspach śniegu na drogach, o nieoczyszczanych ze śniegu i błota ulicach.

Ostatnia zima w Polsce stała się również problemem politycznym. Tym razem służyła za parawan nie tylko do pokrycia drobnych niedociągnięć, ale za przyczynę na którą można było zrzucić odpowiedzialność za załamanie się ogólnych planów gospodarczych państwa.

„Zima stulecia”? Może i w Polsce była ona cięższa od najostrzejszych zim ostatnich 50-ciu lat. Nie była ona jednak w polskich warunkach klimatycznych czymś bardzo daleko odbiegającym od przeciętnej. Nieprzeciętny był natomiast nieporządek jaki wykazała. Była to zima demaskatorska.

Zdemaskowała wiele: nierealność założeń planowych, brak rezerw, złą organizację. W miesiącach zimowych gazety krajowe rozpisywały się z całym bogactwem detali o kłopotach zimowych Europy Zachodniej, gdzie rzeczywiście przez szereg tygodni panowały zgoła niezwykle warunki klimatyczne, gdzie jednak — o czym właśnie już nie pisały — nigdzie nie doszło do takich sytuacji, których konsekwencje byłyby odczuwalne w produkcji przemysłowej przez następne, długie miesiące.

Kwietniowe przemówienie Gomułki, wygłoszone dla uzasadnienia niepopularnych w najwyższym stopniu podwyżek cen węgla, gazu i elektryczności, nie było, o ile chodzi o meritum sprawy, niespodzianką dla nikogo. Godny zanotowania jest natomiast jego ton. Niektóre jego ustępy wydają się cofnięciem do okresu lat 1945-48, kiedy właśnie Gomułka na użytek, jak się okazało, przede wszystkim tych, którzy go później uwięzili, grzmiał w swoich wystąpieniach przeciwko wrogom klasowym. Teraz też przypominało mu się, że „nasz ustrój społeczny nie może się podobać dawnym wyzyskiwaczom ludzi pracy, byłym obszarnikom, fabrykantom, hurtownikom itp., a także całej czeredzie drobnomieszczańskiej, której dawniej nieźle się powodziło przy boku klas posiadających w ich kapitalistycznym ustroju”. „Nie znikli ci ludzie z naszego życia. Są i działają”.

I inny, stary motyw: „Z tych środowisk i źródeł szerokim strumieniem popłynęła wroga propaganda, usiłując wykorzystać sytuację i niezadowolenie części tych pracowników, którzy ponieśli pewne straty na zmianie cen i płac”.

„Fałsze i kłamstwa płyną do naszego kraju również i na falach eteru, z kapitalistycznych rozgłośni radiowych”.

A więc wszystko jest w największym porządku, tylko wróg wewnętrzny i zewnętrzny przeinacza fakty!

Kłopot polega na tym, że te fakty są znane społeczeństwu w Polsce nie z radia, czy z komentarzy pozostałych jeszcze przy życiu przedstawicieli tzw. klas posiadających, ale z ich codziennej styczności z życiem.

Gomułka zadał sobie dużo trudu, by podawać obliczenia, z których wynikałoby, że w rzeczywistości ostatnie posunięcia oznaczają w sumie zysk, a nie stratę szerokich rzesz pracowników. Rozdzielił starannie rozmaite grupy ludności. Przyznał, że np. przeciętny mieszkaniec Warszawy straci, dodając zaraz, że najwięcej stracą ci, którzy mają lepsze warunki mieszkaniowe, telewizory itd. Natomiast zyskają przede wszystkim „deputatobiorcy”, tj. robotnicy zwłaszcza na Śląsku, gdzie będą otrzymywali wyższe ceny za odsprzedawany węgiel.

Znowu według klasycznych wzorów sztuki „rozwarstwiania”.

Pod tym względem mowa Gomułki była znacznie staranniej przygotowana od sejmowego wystąpienia Cyrankiewicza, którego zresztą Gomułka próbował jak mógł wyciągnąć z opresji. Bo chyba od czasu, kiedy Cyrankiewicz obiecywał „obcięcie ręki” sprawcom wydarzeń poznańskich w czerwcu 1956 r., nigdy przeciwko „opasowi”, jak go powszechnie nazywają, nie było takiego wybuchu wściekłości, jak teraz. Widok jego nalanej twarzy na ekranie telewizyjnym, fałszywe, źle przygotowane dane cyfrowe, podniecały tylko jeszcze więcej tych, których budżet wydatków domowych dotkliwie został obciążony przez dokonane ostatnio zmiany cen.

Czego chcą „kółtuni”

Rzeczywistość oglądana od dołu przedstawia się inaczej, niż w wyliczeniach Gomułki. Ciężar nowych podwyżek cen spada przede wszystkim na mniej zarabiających. Demonstracja pielęgniarek warszawskich w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej nie miała w sobie żadnych elementów politycznych i nie wpłynęły na nią ani poglądy byłych fabrykantów i ziemian, ani głosy radia zagranicznego. Była to reakcja jednej z najgorzej uposażonych grup ludności. Przeciętny zarobek pielęgniarki odpowiada mniej więcej 1/4 zarobków górnika. Tych najmniej zarabiających nie trzeba zachęcać do oszczędności na świetle, czy opale, gdyż i tak już dotąd oszczędzali.

Niskie koszty opału i światła były jednym z elementów struktury płac i kosztów utrzymania w Polsce. Próba Gomułki, wykazania, że to tylko ci nieoszczędni będą tracić, chybiła zupełnie celu, gdyż nawet dla najoszczędniejszych wzrost kosztów utrzymania będzie wyraźny. Do tego należy dodać, że wszyscy są przekonani, że to nie koniec. Zaraz po wakacjach mają podrożyć taryfy kolejowe i wiele innych kategorii usług. Nie tylko usługi zresztą drożeją. Poszły bardzo w górę koszty żywności (ciężka zima!) i innych artykułów codziennej potrzeby. Potaniały motocykle i skutery. Znowu można obliczyć za wzrost dochodów tę różnicę w cenach motocykli i skuterów. Tylko, że nie każdy kupuje motocykl, a każdy kupuje kartofle, czy wędlinę. Tam gdzie formalnie ceny nie poszły w górę (np. w dziale wędlin) — nie można dostać tańszych gatunków, co w rzeczywistości oznacza podrożenie. W niektórych mniejszych miejscowościach brakowało nieraz chleba.

Np. szereg wsi w woj. warszawskim musiało zaopatrywać się w chleb w Warszawie. Zboże amerykańskie i zakupywane na gwałt zboże wszędzie tam, gdzie tylko były kredyty krótkoterminowe (tak np. zakupiono pszenicę we Francji) uratowało sytuację. Na szczęście, mimo ciężkiej zimy, zbiory zapowiadają się w bież. roku doskonale. Ale do zbiorów daleko i przednówek będzie bardzo ciężki. Grozi natomiast brak mięsa. Tzw. „pomoc paszowa” dla chłopów była niedostateczna. W Warszawie i w innych miastach coraz to nie można dostać masła czy jaj. Wrócił dawno nie oglądany widok: ogonki, często składające się ze 100 czy 200 osób. Nie trzeba tłumaczyć jak to się odbija na nastrojach ludności, specjalnie ludności pracującej.

Gomułka próbował wykpić różne pogłoski, mówiąc o plotkach, że węgla brak, bo wywozi się go na Kubę. O tym, że węgla nie wywozi się na Kubę wiedzą wszyscy. Ale na Śląsku wiadomo, że w okresach kiedy fabryki w rozmaitych okolicach kraju stawały z powodu braku opału, to równocześnie pod osobistym nadzorem wicepremiera Jaroszewicza wysłano transporty węgla do Czechosłowacji lub NRD.

A znowu w „robotniczej” Łodzi wiadomo dobrze o kosztach utrzymywania kolorowych studentów. Prócz tego prasa, mając coraz bardziej zamknięte usta, opisuje sprawy pomocy technicznej dla krajów Azji czy Afryki. Sumy udzielanych przez Polskę kredytów niektórym krajom zamorskim nie są publikowane. Wiadomo tylko, że wzrastają, kiedy w Polsce następuje obniżanie stopy życiowej najszerzych warstw ludności. Stąd niepopularność tej „neo-mocarstwowości”.

Akcenty w mowie Gomułki nie przekonali nikogo. Wroga wewnętrznego wykrzesać się dzisiaj nie da. Społeczeństwo jest apatyczne, zrezygnowane. Inteligencja sterroryzowana coraz wyraźniejszymi przejawami „zamordyzmu”. Chłopi milczą nieufnie, notując tylko czy już wygląda na to, że do nich zaczną się zabierać. Jest to właściwie jedyna warstwa społeczna, w której istnieją jeszcze ślady popularności Gomułki, choć stopniowy powrót lokalnych stalinowców na ważniejsze stanowiska powiatowe powoduje wzmożenie ich czujności. W zakładach fabrycznych likwidowane są pozostałości samorządu robotniczego poprzez odpowiednie obsadzanie stanowisk przez ludzi bezpieczeństwa. Tym niemniej w niektórych z nich odważają się szemrać.

Na tym tle drobny właściwie incydent z pielęgniarkami nabrał znaczenia. Był to pierwszy wypadek tego typu demonstracji od 1956 roku. Sam przez się nieważny, ale charakterystyczny dla kategorii ludności, która ani z fabrykantami, ani z obszarnikami, ani z „Wolną Europą” nie miała nic wspólnego.

Delegacji pielęgniarek Minister Zdrowia, Sztachelski, porobił obietnice, których nie dotrzymał. Zaalarmowane Bezpieczeństwo przeprowadziło aresztowania i rewizje nocne w mieszkaniach pielęgniarek. Aresztowano przede wszystkim te, które wchodziły w skład delegacji, jaka poszła do Logi-Sowińskiego. Jakoby niektórzy członkowie Związków Zawodowych odesłali swoje legitymacje na znak protestu, że władze związkowe niczego nie robią w obronie praw zatrudnionych.

Błędy planowania

Gomułka zważył wszystko na ciężką zimę i zeszłoroczny nieurodzaj. W rzeczywistości tajemnicą poliszynela jest, że jeszcze przed latem ubiegłego roku okazały się wielkie błędy planowania. Naciągnięte do najwyższego poziomu plany inwestycyjne, złe i chaotycznie obmyślane, zaczęły się walić. Nie było środków na dokończenie wielu rozpoczętych równocześnie inwestycji. Szwankować zaczęła tzw. kooperacja zakładów przemysłowych — wskutek niedostarczenia przez jedno z nich produktów potrzebnych do wykończenia innych, czy do bieżącej produkcji; zaczynały się krótsze, lub dłuższe przestoje. Między innymi nie nadchodziły na czas maszyny z ulbrychtowskich

Niemiec, czy z Czechosłowacji. Zupełnie nie na tle nieurodzaju, czy późniejszej ostrej zimy doszło do załamania planów inwestycyjnych w skali całego obozu. Ostra zima tylko przyczyniła się do zwiększenia już istniejącego bałaganu.

Być może, że jedną z przyczyn trudności były nakazane we wszystkich krajach satelickich dostawy zbrojeniowe, wzmożone po okresie jesiennego kryzysu Kubańskiego. Wszystko to nie tłumaczy jeszcze skali błędów planowania.

Nawet takie pismo jak „Życie Gospodarcze” odkryło, że „Śląsk się nam zatkał”... bo nie dawano sobie rady z transportem kolejowym. Ostatnia zima jedynie wykazała znany fakt niedorozwoju środków komunikacji w Polsce. Koleje nie mogą sobie dać rady z masowymi transportami, transport wodny karygodnie zaniedbano, a motoryzacja wciąż jest w lesie.

Z okazji 1 maja i święta „kościuszkowców” pojawiły się w prasie aluzje do siły zbrojnej w Polsce. Tymczasem kłopoty zimowe wykazały niesłychaną jej słabość: braki rezerw podstawowych materiałów i kruchość komunikacji. Nie będziemy wchodzić w bliższe szczegóły. Korpus oficerski jest zdesperowany. Politycznie odbija się to powszechnym kryzysem w ocenie partii i ustroju. Czyżby także i oficerowie należeli do „kołtunów”?

Odnosi się wrażenie, że prymitywne metody planowania, jakimi posługują się Komisje Planowania w krajach satelickich, a i w samym Związku Radzieckim nie wystarczają w warunkach stosunkowo skomplikowanego aparatu produkcyjnego, do jakiego doszły te kraje.

Przy bardzo wielkich powiązaniach już istniejących między tymi krajami załamanie się takie, jakie nastąpiło np. w Czechosłowacji, odbija się natychmiast na pozycji gospodarczej innych krajów.

Rola Gomułki w obozie wzrosła dlatego, że zaproponował on usprawnienie podziału pracy w ramach RWPG. Pochwalił go parokrotnie sam Nikita Siergiejewicz Chruszczow i inni. W Polsce widoczne są jednak, jak dotąd, ujemne rezultaty tej współpracy. Z ogłoszonych danych o współpracy widać, że Polska ma mieć wyznaczoną rolę jedynie dostawcy surowców i półfabrykatów. Gomułka, wymieniając jak bardzo kosztowne są inwestycje w przemyśle węglowym, nie dodał, że węgiel wywożony jest poniżej kosztów produkcji do innych krajów socjalistycznych i że inwestycje te nie są robione w interesie przewidywanych potrzeb Polski, ale na wyrost, żeby zaspokoić potrzeby sąsiadów.

Warunki wydobywania węgla w Polsce stale się pogarszają (problem coraz większej głębokości szybów). Robione inwestycje są nie tylko niezmiernie kosztowne, ale obliczone na bardzo długi okres czasu. A dziś już wiadomo o sensacyjnych odkryciach węgla na terenie Związku Sowieckiego. Są to nie tylko ogromne złoża, ale co ważniejsze niezmiernie łatwe do eksploatacji. Niewykluczone, że w stosunkowo niedługim czasie Związek

Sowiecki będzie ten węgiel eksportował masowo, tak jak to robi dziś z ropą naftową.

Równocześnie z układu polsko-czeskiego wynika, że produkować będziemy części do czeskich traktorów, które pod marką czeską wywożone będą m.in. zagranicę. W innym wypadku Polska budować ma karoserie, a Czesi motory. O niektórych innych przejawach współpracy nie ogłaszano komunikatów, ale powszechnie wiadomo, że w większości z nich Polacy wystrychnięci zostali na dudków.

Wiadomość o tym, że Rumuni nie chcą przyjąć wyznaczonych im warunków kraju pół-rolniczego w systemie podziału pracy wewnątrz RWPG, podana ogólnie przez gazety warszawskie w sprawozdaniu z obrad rumuńskiego Komitetu Centralnego, podzielała jeszcze bardziej w kierunku wzbudzenia nieufności, czy dostatecznie zostały zabezpieczone interesy Polski. Niepokój wywołują projektowane ogromne inwestycje, jakie Polska ma robić na terenie Związku Radzieckiego.

Chwalony za swój proletariacki internacjonalizm, Gomułka umiał dać ludności tylko dalsze ograniczenia stopy życiowej i wzrost roli aparatu policyjnego.

Zła sytuacja gospodarcza odbija się już wyraźnie na eksporcie. Mimo dużych możliwości na rynku angielskim, mimo bardzo dla nas dogodnej umowy handlowej polsko-niemieckiej już dziś można powiedzieć, że eksport będzie musiał być poważnie ograniczony. Po prostu nie ma co wywozić. Ani „głódowy eksport” ani projektowane kombinacje, by zakupywać produkty rolnicze zagranicą i je reeksportować do Anglii, czy Niemiec, nie potrafią zapełnić wszystkich dziur. Niewykonanie zawartych umów może w przyszłości bardzo poważnie wpłynąć na skurczenie naszych możliwości gdyż — jak wiadomo — Polska nie ma monopolu, a międzynarodowa konkurencja, jeśli idzie o produkty rolne, jest bardzo silna.

Błędy planowania przerzucane są na społeczeństwo. Stąd nakazywane rozmaite oszczędności. Oszczędności na papierze dały dodatkową korzyść w postaci zgębienia dziennikarzy, którzy w pogoni za nadwierszówką stali się bardziej dyspozycyjni wobec wszelkich postulatów władzy. Oszczędności na wydatkach zagranicznych są przygrywką do rozprawy z aparatem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Walki klikowe

W tych warunkach zaogniły się jeszcze bardziej walki klikowe między różnymi grupami w partii. Zresztą w łonie partii powszechnie wyznawany jest pogląd, że „partii już nie ma — jest tylko Komitet Centralny i Bezpieczeństwo”. Ponieważ stan ten zaczął stawać się coraz wyraźniejszy, zmusił do kontrofensywy ideologicznej. Enuncjacja KC w tej sprawie ukazała się niedawno w prasie. Krok ten jest zapewne rezultatem podob-

nych akcji w Rosji, gdzie w czerwcu ma dojść do „plenum ideologicznego”.

Ale sprawy gospodarcze wciąż dominują. Na jesieni Gomułka usiłował rzucić odpowiedzialność za zły stan gospodarczy kraju na handel zagraniczny. Dokonano w jego aparacie czystki. Pod pozorem walki z nadużyciami i względów bezpieczeństwa odsunięto wielu fachowców, odbierając im, między innymi, możliwość podróżowania. Tutaj ofensywa „partyżantów” była stosunkowo łatwa. Następuje jednak, szerokim frontem prowadzona kontrofensywa „puławian” — by się trzymać terminologii artykułu W. Jedlickiego, który przez parę miesięcy był sensacją i tematem zażartych kłótni międzyklikowych w Warszawie.

Trudno zresztą stwierdzić jak jest naprawdę, gdyż część pogłosek puszczana jest na umyślnie. Lansowane przez radio zagraniczne wiadomości o bliskim odejściu z Biura Politycznego Zambrowskiego, czy zdjęciu z redaktorstwa „Trybuny Ludu” Kasmana, robią wrażenie rodzaju „ognia zaporowego” używanego zresztą z dużym mistrzostwem przez „puławian”, którzy rok temu zaczęli już wypełniać prasę zagraniczną wiadomościami o groźbie powrotu stalinizmu w Polsce, czego objawem byłoby niebezpieczeństwo grożące Zambrowskiemu, Cyrankiewiczowi i innym.

Pogłoski te mogą być też obliczone na reakcje Gomułki; wystarczy aby jakaś wiadomość podana była przez agencje prasowe czy radio zagraniczne, by Gomułka, dla pokazania, że jest to wiadomość nieścisła, zmienił zupełnie swoje plany. Na jesieni ubiegłego roku dwu czy trzykrotnie odkładano plenum KC PZPR, gdyż wiadomości o jego bliskim zwołaniu przeniknęły do prasy zachodniej.

Więści o bliskim odejściu Zambrowskiego puszczane są do agencji zachodnich przez jego zwolenników, ponieważ tym samym staje się to podstawą do umocnienia jego roli. Zmiany w Biurze Politycznym „nie mogą” być znane prasie burżuazyjnej!

Pogłoski, zresztą często sprzecznych i nielogicznych jest dużo, jak zwykle gdy sytuacja staje się napięta. O Cyrankiewiczu np. mówi się, że umizga się do „partyżantów”, co znając jego dobry nos polityczny dowodziłoby, że widzi szanse po ich stronie. Za to „puławianie” mają na swym koncie poprawę względów u Kliszki. Cieszy ich też, że Strzelecki został gdzieś tam zgromiony przez „czynnik najwyższy”. Choroba Rapackiego uważana jest za sygnał do dyskusji, kto obejmie po nim spuściznę.

Każde wydarzenie przenoszone jest na język klikowy. A więc np., że Jędrzychowski nic nie wiedział o ostatnich podwyżkach cen, a o tym, że węgiel gaz i elektryczność mają podróżować zdecydował „zły” Gede. Że Loga-Sowiński przeciwny był ostremu potraktowaniu pielęgniarek, a Zawadzki także stara się rozpłaszczać wiadomości o tym, jak broni praw pracowniczych.

Te lawiny plotek poruszają się na zasadzie mechanizmu

wykazanego przez Jedlickiego: urabianie nastrojów i przygotowywanie czegoś w rodzaju popularności jednych, kosztem drugih.

Prymitywny machiawelizm „partyzantów”, by takimi środkami, jak pod pozorem braku papieru obcięcie ilości papieru dla gazet i czasopism zgnać dziennikarzy, którzy byli dotychczas dość uprzywilejowani, a teraz stracili dochody z nadwierszówek, czy przez ograniczenie liczby pracowników MSZ na placówkach, stworzyć sobie dogodną możliwość wzięcia w rękę aparatu MSZ, sztyt jest dostatecznie grubymi nićmi, by ich przeciwnicy nie mogli natychmiast reagować.

W ręce „puławian” dostały się zresztą poważne atuty z nieoczekiwanej strony: zmiany i jakoby aresztowania w aparacie partyjnym i policyjnym rosyjskim nie pozostały bez wpływu i na sytuację w „bratnim” aparacie w Warszawie. Podobno Sielow miał swoje stare powiązania w Warszawie, a teraz w przygotowywanej przez Chruszczowa jakiejś akcji, której zasięgu nikt nie zna, ustalane są powiązania warszawskie, co ma być nieprzyjemne dla „partyzantów” (a także dla „Paxu”).

A więc plotki, plotki, plotki — trochę prawdziwe, zupełnie nieprawdziwe, fasonowane na odpowiedni sposób, żeby jakimś skomplikowanym rykoszetem trafiły tego, kogo się chce dosięgnąć.

I reakcje na plotki. Zwieranie szeregów. Lawirujący między „partyzantami” a „puławianami” Szyr, kiedy na jednym z zebrań partyjnych miał piękną okazję do wsadzenia szpilki Jędrzychowskiemu — ubiera się w katońskie szaty, by stwierdzić, że nie ma indywidualnych odpowiedzialności „jeśli ktoś jest odpowiedzialny — to wszyscy kolektywnie”.

A więc jak w październiku 1956 r. (patrz znowu artykuł Jedlickiego!) — nie ma odpowiedzialności indywidualnych!

Inaczej jednak myśli społeczeństwo. Chce znać odpowiedzialnych. A jeśli mu ich nie wskazują — to odpowiedzialnym czyni cały system. Tego wielkiego niebezpieczeństwa, że pokrywanie bałaganiarskiej i złej gospodarki odezwie się w końcu w postaci ujemnego stosunku do całego systemu — oderwane od nastrojów społecznych „góry” partyjne nie są jeszcze w stanie zrozumieć.

Wszelkie przejawy zdrowego rozsądku są natychmiast dodatkowo notowane. Pokłóconym „bossom” w Warszawie wyrasta nagle groźny konkurent, w postaci „księcia śląskiego” — Gierka. Za swe drętwiackie wypowiedzi przy każdej okazji publicznej jest on na ogół, zwłaszcza na Śląsku, nielubiany. Bezustanne „cmokierstwo” robiło z niego postać raczej drugorzędną. Ale w tej kryzysowej zimie zdobył się na energiczniejszą akcję i parę posunięć zgodnych ze zdrowym rozsądkiem. To wystarczyło, by mu zyskać serca „technokratów” śląskich. Nigdzie zaś prawdopodobnie nie ma tyle krytycyzmu, co w aparacie produkcyjnym (oczywiście przemysłowym). O nonsensach wołających

o pomstę do nieba mówi się już teraz bez ogródek. Krytykują inżynierowie, krytykują robotnicy! Rozprężenie jest zbyt wielkie, by mogły je zasłonić głędzenia Gomułki. Tutaj zaczął zyskiwać na uznaniu Gierek, który ze swej prowincjonalnej stolicy ma z jednej strony łatwą możliwość zrzucania wszystkiego na Warszawę, a z drugiej — rzeczywiście zrobił parę posunięć, odcinających go od niektórych akcji najbardziej nonsensownych.

Czy to tylko postać koniunkturalna? Nikt nie jest w stanie odpowiedzieć dzisiaj na to pytanie. Sukcesja po Gomułce nie jest jeszcze otwarta. Prócz tego ani jego nazwisko, ani gorliwe poruszanie się po linii — nic nie mówią społeczeństwu.

Spółeczeństwo? Czy odgrywa ono jeszcze jakąś rolę? Jedlicki w artykule „Chamy i Żydy” wykazał, że właściwie wszystko, nawet w październiku 1956, było z góry ukartowaną grą. Pod tym względem artykuł jego był pożyteczny, bo odkrył maszynę przedstawień politycznych w Polsce.

Mało logiczne jest więc wezwanie Jedlickiego — jego apel na końcu artykułu. To „że biorą się za łby” nie wystarcza. Do niczego. Ale Jedlicki — wbrew całemu swemu artykułowi — w ostatnim zdaniu wykazuje instykt: w tym mianowicie, że społeczeństwo się liczy! Będzie się liczyło coraz więcej.

A są już pierwsze przejawy fermentu opozycyjnego o charakterze czysto politycznym. Niedawno, w środowiskach studentów warszawskich, były rozrzucone ulotki przeciw rządowi i — co ciekawsze — przeciw „marionetkowemu sejmowi”. Doszło do tego, że rektor politechniki warszawskiej, J. Bukowski, musiał wygłaszać apele do studentów przez radiowęzeł. Jest to fakt drobny niewątpliwie, ale świadczący, że ludzie nie myślą tylko o walce o poprawę bytu. Jest to próba protestu politycznego — pierwsza od czasu głośnego zamknięcia „Po Prostu”.

Tymczasem kryzys w partii pogłębia się. M. in. wpływa na to narastający konflikt sowiecko-chiński. Robi się obecnie zebrania podstawowych organizacji partyjnych dla przygotowania partii do definitywnego rozłam w świecie komunistycznym. Z tych zebrań można się było dowiedzieć, że Pekin przystępuje do stworzenia własnej centrali Związków Zawodowych, mających objąć Azję, Afrykę oraz Amerykę Południową. Tak samo monituje się Międzynarodowy Związek Dziennikarzy, kontrolowany jedynie przez Chiny. Grupa „chińska” w PZPR jest słaba. Ale co będzie jeśli rozłam nastąpi — a co ważniejsze — jeśli na skutek rozgrywek wewnątrz partii rosyjskiej, które przybierają na sile, Chruszczow zniknie z widowni politycznej? A tego dziś przecież nie można wykluczyć. Kierownictwo PZPR postawiło wyłącznie i całkowicie na Chruszczowa i samo pozbauiło się możliwości manewru.

Starym aparatczykom nie uda się oderwać młodych kadr partyjnych od społeczeństwa. Nie uda im się przeciwstawić odcuciom społeczeństwa. Na neo-stalinizm jest już za późno.

Ciężka zima nie przejdzie bez śladu nawet jeżeli na papierze plany będą wykonywane!

Siedem grzechów i jedno rozgrzeszenie

*„I proszę, jak opiewać społeczne wypadki,
Zamiast mitologii są naocznego świadki...”*

Cytat z III części „Dziadów”, którym zaczynam te uwagi jest podwójną pożyczką. Z Mickiewicza i z książki Zbigniewa Załuskiego pt. „Siedem Polskich Grzechów Głównych”. Jeśli zakrawa na kpinę tym lepiej, gdyż jest w nim sporo szyderstwa. Innego niż szyderstwo, któremu Załuski wytoczył walkę, lecz jednak szyderstwa. Bo gdy „opadł już pył bojowej kurzawy i ucichł zgiełk bitewny” (tym razem pożyczka-parafraza z Szekspira) podniecony widz dojść musi do wniosku, że przyglądał się bitwie, w której nikt nie mógł odnieść zwycięstwa.

Bitwą była zacięta dyskusja prasowa, jaka toczyła się dokoła książki Załuskiego na łamach prasy krajowej. Zaczęła ją „Polityka” artykułem Kazimierza Koźniewskiego. Potępił on w czambuł tezy autora „Siedmiu Grzechów”. Ile w potępieniu było przekonania, a ile zadrażnionej ambicji, tak typowej w światku kawiarnianych intelektualistów, którzy po październiku uzurpowali sobie monopol „postępowej nowoczesności” i uwierzyli, iż naprawdę reprezentują twórczą swobodę myślenia w warunkach dzisiejszej rzeczywistości? Nie dociekajmy odpowiedzi. Wystarczy gdy stwierdzimy, że „druzgoczące” zarzuty Koźniewskiego i kilku innych dyskutantów, idących po tej samej co on linii rozumowania, zabrzmiały w dyskusji nad „Siedmioma Grzechami”, jak głos wołającego na puszczy. Po prostu zlekceważono je. Zlekceważyła je opinia, gdy jej pozwolono w słowach niezbyt nawet ogólnych wypowiedzieć, co naprawdę myśli o treści historii Polski. Co ciekawsze, opinię „odbrązowiaczy” historii polskiej zlekceważyła także partia, która dotychczas, przez lat bez mała dwadzieścia, do „odbrązowiania” jak najstaranniej zachęcała. Dowodzi to dwóch rzeczy. Po pierwsze: nastraszenia się własnego dzieła po stronie budowniczych nowej, komunistycznej rzeczywistości polskiej. Po wtóre: pogardliwego stosunku jaki żywi partia wobec klanu ludzi, którzy raczej we własnym, niż w bliźnich mniemaniu uchodzą za intelektualistów.

„Gomułka nie znosi i nie rozumie intelektualistów” — jest to ulubiony temat dowcipów, i nie tylko dowcipów, w kawiarnianych rozmowach w Polsce i za granicą. Że nie znosi to pewne, lecz czy ich nie rozumie? Sądzę, że rozumie. W tym przynajmniej sensie, że domyśla się ich całkowitego oderwania od rze-

czywistości, ich galaretowatego stosunku do przyszłości i ich zamiłowania do werbalizmu.

Dyskusja na łamach „Polityki” — a dołączyła do niej także reszta prasy nie wyłączając „Tygodnika Powszechnego” nie mogłaby przybrać tak wielkich rozmiarów, gdyby nie placet partii. Dzięki temu rozwinął się nawet dodatkowy spór między „Polityką” a „Nową Kulturą”. Jego charakter przypominał stosunki panujące w krajach, gdzie istnieje swoboda prasowa. Polegał na tym, że „Nowa Kultura” ogłosiła w pełnym tekście namiętną odpowiedź Załuskiego na atak Koźniewskiego w „Polityce”, tłumacząc, że umożliwia Załuskiemu obronę jego tez, które „Polityka” chciała podać w formie skróconej, a zatem jak gdyby poddanej redakcyjnej cenzurze. „Polityka” zarzuciła wówczas „Nowej Kulturze” podkradanie tematu, że świętym oburzeniem odrzuciła zarzuty jakoby chciała Załuskiemu utrudnić swobodę wypowiedzi i także wydrukowała jego odpowiedź w pełnym brzmieniu. Wreszcie ogromnym artykułem redakcyjnym z dnia 2 marca „Polityka” zamknęła na swych łamach dyskusję nad „Siedmioma Grzechami”, dokonując reasumpcji dyskusji. Przyznała trochę racji obu obozom dyskutantów, nawołując rzeczowo do umiaru jeśli nie w poglądach to przynajmniej we wnioskach. Dziennikarsko artykuł redakcyjny „Polityki” był doskonały. Ten sam komplement należy mu się w sensie politycznym, gdyż konkluzja sprowadzała się do stwierdzenia, że „odbrązowianie” historii jest niesłuszne, tezy towarzysza Załuskiego, choć gorące w argumentacji, są po marksistowsku prawidłowe a jego obrońcy nie powinni tracić z oczu głównego zadania, które stoi przed współczesną Polską. Tym zadaniem jest budowa przyszłości socjalistycznej a nie zasklepianie się w atakach lub w apoteozie historycznych nawyków uczuciowych. Lecz nawykem uczuciowym należy przyznać pełnię wartości twórczych, gdyż a-historycyzm jest niedopuszczalny w naukowym, czyli marksistowskim, podejściu do zagadnień teraźniejszości i przyszłości. Co istotniejsze — z dziejów Polski, zwłaszcza z ich wątku żołniersko-powstańczego, można i należy czerpać natchnienie do „radosnej twórczości” socjalistycznej. Towarzysz Załuski postępuje zatem słusznie, choć może popada tu i ówdzie w przesadę, gdy przywraca historii Polski należne jej miejsce w umyśle Polaków. Postępuje zaś arcysłusznie gdy doszukuje się logicznego, dziejowego związku między tym co było, a tym co jest. Innymi słowy genealogii postępowej, socjalistycznej Polski nie należy zaczynać od roku 1944. „Poszukiwanie rodowodu” — pod takim, bardzo trafnym, tytułem ukazała się analiza dyskusji nad „Siedmioma Grzechami” w jednym z pism emigracyjnych.

W jaki sposób można stworzyć przeświadczenie, że Polska dzisiejsza jest czymś więcej niż narzuconą rzeczywistością?

W koncepcji Żałuskiego droga prowadzi przez rewizjonizm historyczny *à rebours*: Nie powinno się traktować historii jak lamusa, w którym walają się antykwaryczne „pamiątki”. Nie należy przy budowie nowej rzeczywistości odżegnywać się od historii — należy ją wpruć w dzisiejszą rzeczywistość.

Koncepcja słuszną i nie jest rewelacyjnym odkryciem. W warunkach współczesnej Polski zabrzmiiała jednak jak hasło rewolucyjne. Stąd gniew i przerażenie wrogów książki Żałuskiego, którzy — jak Kazimierz Koźniewski — brali za dobrą monetę nauki, wtlaczane im w głowę przez urzędową wykładnię ideową i programową na przestrzeni ostatnich lat bez mała dwudziestu. W roku 1945 nakazano „przepisywać na nowo” historię Polski pod kątem oczyszczenia umysłów Polaków, zwłaszcza młodzieży, z czadu przywiązań, które były przeszkodą dla indoktrynacji komunistycznej i zamiast „radosnej twórczości” budziły tęsknoty do czegoś co nie wróci. „Przepisywaniu” narzucono ścisłe ramy i wzorce. Nie wystarczała rama interpretacji pod kątem „walki klas” i „prawidłowości dziejowej”. Potrzeba było jeszcze dodatkowej ramy ostrożności podyktowanej przez sowieckie wydanie rosyjskiego nacjonalizmu. Węć nie tylko krytyka szlachetczyzny, urządzeń społecznych, ustroju, wpływów Kościoła, uporczywego przyznawania się do „zachodniości” psychicznej i kulturowej, lecz także potępienie wszystkiego, co było sprzeczne z oficjalną doktryną historii Rosji.

Polacy mieli się zawstydić swej historii wyprzeć się jej i potępić ją. Rezultaty? Było ich wiele na różnych płaszczyznach życia. Większość, jeśli nie wszystkie, po kilkunastoletnim doświadczeniu społecznym, wywołała niepokój graniczący z przerażeniem. Nie w społeczeństwie, lecz w jego kierownictwie. Wśród historyków nastąpiła ucieczka ku bezpieczniejszym kryjówkom prac monograficznych, najchętniej w jak najdalszej od dnia dzisiejszego epoce. Wzbogaciło to bezprzecznie i poprawiło stan naszej historiografii, tradycyjnie kulejącej na odcinku badawczo-źródłowym. Lecz ten dorobek ani nie ucieszył ani nie dotarł do świadomości ogółu, od którego trudno wymagać, by swe myślenie historyczne ograniczał do lektury kilkuset odnośników, zdobiących dzieło o rybołówstwie lub bartnictwie w do-rzeczcu Prosną w wieku XI-tym... okraszone wstępem o błędnej metodologii „historiografii burżuazyjnej” w sprawie tegoż rybo-łówstwa lub bartnictwa. Inni dali się wpręgnąć w pisanie syntez pod dobraną redakcją ideologów i w krępującym towarzystwie niedouczonego felczerów historycznej chirurgii. Dzieła w rodzaju „Historia Polski PAN” na pewno nie zgrzeszyły apoteozą historii Polski, choć są apoteozą bezbrzeżnej nudy literackiej. Podręczniki szkolne, zadanie łatwiejsze, pisano też z tym założeniem. Dziecko nie odróżni bzdury od prawdy, lecz i ono ziewa nad wszystkim co jest nudne.

Lecz nie autorom syntez i rzemieślnikom podręcznikowym wypadło najważniejsze zadanie w programie odbierania Pola-

kom ich historycznej podstawy. Z największym zapałem i z nadzieją szybkiego skutku rzucili się do dzieła publicyści, dziennikarze i powieściopisarze. Do tego rdzenia uprzywilejowanych społecznie i materialnie intelektualistów doskoczyli chyżo reżyserzy filmowi, pisarze dramatyczni, krytycy i pokrewne im specjalności dziennikarsko-pedagogiczne. Historia polska stała się ulubionym przedmiotem ich ataków, polem popisu zdolności satyrycznych — tych na szczęście wśród Polaków nie brak — i okazją dania upustu przekorze. Przekory nie ganię, lecz ciekawi mnie jej powojenne polskie źródło? Wydaje się, że była dwukierunkowa. Uderzała z jednej strony w sceptyczno-niechętny stosunek społeczeństwa, które na *szyderstwo* odpowiadało *kultem bohaterstwa*, z drugiej zaś w „górną” rządzącą. Tak jakby chciano jej powiedzieć: „odbrązawiamy? Dobrze. Zobaczycie jak to zrobimy i co z tego wyniknie...”.

Oddajmy bowiem sprawiedliwość „szydercom”. Przynajmniej niektórym. Nie kierował nimi tylko nakaz idący z góry, lub nie tylko on. Świadczy o tym wyłącznie negatywny i przekorny charakter „szyderców”. Byli tylko krytykami — nie siląc się nigdy na *przekonywujące* przeciwstawianie wzoru pozytywnego negowanym mitom, uprzedzeniom, nawykom lub tęsknotom. Podkreślałem słowo „przekonywujące”, gdyż rzecz jasna ów mały ogarek zamiast świecy zapalali jak należy na ołtarzyku urzędowej propagandy. Wewnętrznie powodowało nimi co innego, coś co otrzymało nazwę „znieczulicy narodowej”, posłusznej ślepo hasłu „nie warto”.

Dotknęliśmy tu pierwszego ze skutków walki z własną historią i nie tylko z historią. Szyderstwo nie zatrzymało swego ostrza na Powstaniu Warszawskim, wyhasawszy się dowoli na poprzednich powstaniach, Somossierach i odsieczach wiedeńskich. Chichotało także z cicha nad Lenino i nad Wałem Pomorskim, by czym prędzej o nich zapomnieć, jako o czymś co nawet szyderstwa jest nie warte i uderzyć nożem negacji w zagadnienia jak najbardziej bieżące, aktualne i istotne. Ogarnęło dosłownie wszystko: szacunek dla pracy ludzkiej, obowiązek zwykłej codziennej uczciwości, zasady etyki zawodowej, moralności. Nie mówiąc już o sprawach ideologicznych.

„Tumiwisizm” nie ograniczył się do czynu żołnierskiego z przeszłości lecz stanął też u boku brakoroba w fabryce. Rzeczywistość otaczająca każdego Polaka, ta prawdziwa, codzienna rzeczywistość, wyrażająca się w zakłamanym dialektycznym i w wyżysku gospodarczym spotęgowanym przez głupotę biurokraczną, zadanie szydercom ułatwiło. Słowa „nie warto”, z wszystkimi konsekwencjami, zadomowiły się na dobre między fabryką i kawiarnią, przygłuszając morze programowego gadulstwa.

„Kochać nie warto, płakać nie warto,

Jedno co warto to upić się warto...”.

Naród chorował na szyderstwo. Może dlatego, że widział w nim obronę przed odczłowieczeniem.

Przeciwdziałanie skutkom szyderstwa uznano za konieczność. Na wielu odcinkach życia i myśli, wieloma sposobami i przy pomocy różnych ludzi. Najciekawszym — jak dotychczas — i najbogatszym w obserwowaną reakcję okazał się odcinek tak bardzo z pozoru daleki od praktycznego życia jakim jest pogląd na historię narodu. Bohaterem krucjaty przeciw znieczulicy, stał się ppłk. Ludowego Wojska Polskiego, redaktor miesięcznika „Żołnierz Polski”, Zbigniew Załuski. Zadanie które otrzymał, lub które sobie sam stworzył, w węższym zakresie objęło sprawy politycznie najniebezpieczniejsze: historię wojskowości rozpatrywaną z punktu wartości wysiłku zbrojnego. W krajach komunistycznych programowe wystąpienie przeciwko szyderstwu historycznemu nie jest nowością. W latach trzydziestych pisarzom sowieckim nakazano apoteozowanie walk z czasów „wojny interwencyjnej”. W drugiej wojnie światowej posunięto się dalej. „Wojna ojczyzniana” potrzebowała odgrzania nie tylko legendy Suworowa, lecz i Aleksandra Newskiego. Był więc pewien „model”, który na obecnym etapie polskim można było wyciągnąć z archiwum wzorów i użyć w kontrataku na „szyderców”. Lecz rola Załuskiego była trudniejsza niż jego sowieckich poprzedników. Nic nie sprowadzało się do prostych mianowników. Pochwała patriotyzmu polskiego, oddanie hołdu polskiemu „szaleństwu powstańczemu” wymagało ekwilibrystyki. Gdyż tworzywo historyczne polskie jest niewygodne. Walka o wolność, siła napędowa historii Polski w ostatnich dwustu latach, to w 50, 75 czy 85 procentach walka z Rosją. Z każdą Rosją.

Jak podołał Załuski tak trudnemu zadaniu? I czy w ogóle podołał. Z głosów kilkudziesięciu dyskutantów nad „Siedmioma Grzechami” odpowiedzi nie wyczytamy. Ostatecznie rozsądek, wbrew mniemaniu szyderców różnego pokroju, stał się cechą narodową polską w stopniu, który zadziwiłby naszych ojców. Tych, którym Załuski przywraca godność i których broni w swej książce. Możemy za to poszukać odpowiedzi w samej książce. Tej, nad którą toczyła się dyskusja, i w poprzedniej. A także w artykułach i wypowiedziach polemicznych Załuskiego, które były przygotowywaniem, nie tylko metodologicznym, do ogłoszenia jego też o „grzechach”.

Najważniejszą jest książka wydana nakładem MON-u w roku 1961 pt. „Przepustka do Historii”. Załuski próbuje w niej przeciwstawić się „znieczulicy narodowej” maszerując do celu „na skrót” Ostrożnie i zgrabnie wyklada zasługi Polski w drugiej wojnie światowej. Zwłaszcza zasługi Armii Ludowej. Komentarz polityczny i ideologiczny nie odbiega od schematu urzędowego. A więc konieczność oparcia się o Związek Radziecki, błędy polityki prozachodniej, przyszłość Polski w przyjaźni z Rosją, konieczność dziejowa budowy socjalizmu itd. itp. Najciekawsza wszakże i najistotniejsza jest pochwała czynu żołnierskiego. Załuski pisze o nim z pasją i z przekonaniem. Zdobywa się też na dużą odwagę w poruszaniu spraw, które margineso-

wymi nie są: takich jak przyczyna obsadzania stanowisk oficerskich (przeciętna 60%, w lotnictwie 92%) przez odkomenderowanych z Armii Czerwonej; kłopoty z rekrutacją do szeregów, tłumaczenie trudności przekonania żołnierza pochodzącego z kresów, iż jego wieś rodzinna nie znajdzie się w granicach Polski. Wiele w tym niedomówień, nie brak i fałszów. Niedomówień więcej. Oficerów nie było, bo wyszli z Andersem. Słowa „Katyń” nie ma. Lecz pisarz mniej uczciwy napisałby, że owszem, Katyń był lecz sprawcami byli Niemcy. Są zwroty humorystyczne nieomal, gdy mówi z powagą, iż lokalne władze radzieckie stawiały przeszkody rekrutacji wśród „Polonii radzieckiej”, gdyż był to element w pełni wyzyskiwany w produkcji przemysłowej na cele wojenne... Innym ciekawym wątkiem jest udowadnianie, że Armia Ludowa była dobrze uzbrojona kosztem dywizji sowieckich i że jej wyczyny bojowe nie ustępują technice dowodzenia i walki w kampanii włoskiej 2 Korpusu.

Nie zamierzam omawiać błędów statystycznych i porównawczych, których część, jak sądzę, jest skutkiem braku materiałów. Załuski mówi zresztą jako o rzeczy zupełnie oczywistej i samo przez się zrozumiałej, że źródła sowieckie są w dużej mierze niedostępne... dla historyka wojskowości sprzymierzonego z Sowietami państwa. Ważniejsze bowiem od błędów i przeinaczeń są dwa wnioski wypływające z „Przepustki do Historii”. Oba leżą u podstaw następnej książki Załuskiego tj. „Siedmiu Grzechów Głównych”. Dlatego napisał „Siedem Grzechów”, że prawidłowo ocenił niedostateczność skutku „Przepustki”.

Wniosek pierwszy: atrakcyjność uczuciowa czynu żołnierskiego dowodzonej przez Rosjan Armii Ludowej oraz nieprawdopodobnych wyczynów „Gwardii Ludowej” jest niewystarczająca zarówno by pokonać wpływy „szkoły zsyderców”, jak i by móc ją przeciwstawić temu stosunkowi uczuciowemu jaki Polacy odczuwają wobec Monte Cassino czy Armii Krajowej. Obóz w Siedlcach nad Oką i bitwa pod Lenino nie wystarczą jako początkowa granica tradycji historycznej. Wniosek drugi: rozprawę toczyć trzeba na dwa fronty. Trzeba obronić historię przed szydercami i trzeba ją oczyścić z otoczki bezkrytycznego kultu, jakim otaczają ją „bohaterszczyzy”.

Bo wpływowi „szyderców” przeciwstawiają się „bohaterszczyzy”. Jeśli dla „szyderców” wszystko było złe i godne pogardy, dla „bohaterszczyków” wszystko było piękne i bezkrytycznie doskonałe. I jedni i drudzy popełniają błąd, bo uczyli się „na krótkim kursie historii Polski w siedmiu pogrzebach”. A więc należy przywrócić faktom historycznym ich właściwą wymowę. Należy oczyścić je z bzdury i spojrzeć na nie oczami historyka a nie oczami satyryka lub oczami poety. Bo tylko fakt prawdziwy ma wartość wychowawczą. Tylko on może związać przeszłość z teraźniejszością w jeden harmonijny wątek po to, by ułatwić świadome dążenie w przyszłość. Gdy fakt miesza się z mitem, wówczas rozmodleni do mitu „bohaterszczyzy” dostar-

czają amunicji największym swoim wrogom tj. „szydercom”. Dlatego że na piedestał zasługi wynoszą brak rozsądku. Jednych cieszy, innych doprowadza do gniewu zdanie w rodzaju „wyginęli do nogi” lub „rzucili się z gołymi rękami na nieprzyjaciela”.

Albo „poszli z kosami na armaty”, „z lancami na czołgi” i „z dubeltówkami na karabiny”.

Ożywiony zaciętością historyka, uzbrojony w talent dobrego felietonisty, Załuski wytacza walkę „wersji polskiego skretynienia, która, powielona w satyrycznych opowiadaniach i powieściach, w tysiącach felietonów, a nawet w recenzjach teatralnych i filmowych stała się obiegową formułą obowiązującą zwłaszcza tzw. nowoczesnych”. Nie przebiera w słowach. W sensie polemicznym daje ogromny arsenał błyskotliwych określeń, przydatnych na każdą okazję, zwłaszcza na taką jak zdanie jednego z krajowych matadorów pisarskich, Wacława Górnickiego, który pisze: „...niejakiego Poniatowskiego, bawidamka i oczajdusze, który prawdopodobnie po pijanemu utopił się w Elsterze, wydając przy tym kabotyńskie okrzyki...”.

„Siedem grzechów głównych” to siedem wydarzeń historycznych, które zamieniły się w mity urągające prawdzie. Mity te to pożywka dla „szyderców” gdy śpiewają „Płakać nie warto, kochać nie warto... Lecz to także pożywka dla „emigrantów wewnętrznych”, dla bohaterzczyków co przez całe życie śpiewają, jak ów Polak z wiersza Janickiego: „Pominulo, utonulo, vse co veľke bylo; jino po stracenie slavé citi polské plemo” Mamy więc mit — grzech. Z „Kosami na harmaty” — to Racławice. Owszem, prawda, lecz nie było to ani szaleństwem ani nadmiernym bohaterstwem. Było doskonałym pomysłem taktycznym. „Z szablami na baterie” — to Somossierra. Ani wszyscy szwoleżerowie nie wyginęli ani nie szarżowali bez sensu. Przeciwnie. Rozstrzygnęli bitwę minimalnymi stratami. „Z dubeltówkami na karabiny” to rok 1863. „Dubeltówka”, sztucer dalekonośny, był przedmiotem pożądanym kawalerzystów rosyjskich, którzy uzbrajali się w powstańczą broń zdobywcą, wyrzucając bez żalu do rowów swoje karabiny. „Z lancami na szable” to bzdurna legenda wrzesniowa, rozdmuchana przez Wańkowicza i wielu jemu podobnych, pokutująca do dziś na Zachodzie jako symbol polskiej głupoty, upamiętniony w polskim filmie pt. „Lotna”. A tymczasem to Krojanty, zaskoczenie, które w zamieszanie i w panikę wprowadziło nacierające na Pomorze dywizje Guderiana, o czym pisze wyraźnie Guderian w swych pamiętnikach. Straty? Dowódca 18 pułku ułanów i kilkunastu żołnierzy. Lecz wcale nie w szarży „z lancami na czołgi”. W innym rozdziale piękny opis dowodzenia tylną strażą pod Lipskiem przez Poniatowskiego. Westerplatte gdzie nikt nikogo nie wybił do nogi.

„Grzech pirotechniczny” to „Reduta Ordona”. Zatrzymuje się nad nim nieco dłużej, gdyż w tym rozdziale właśnie Załuski przytacza motto z Mickiewicza, które zamieściłem na wstępie mych uwag, a które w innym miejscu obróciło swe ostrze prze-

ciwko książce Załuskiego. Mickiewicz wbrew słowom włożonym w usta „Literata” w „Dziadach” obszedł się bezceremonialnie z prawdą historyczną. „Reduta Ordona” czyli „Dzieło nr 54” między Wolą i Szczęśliwicami broniła się dzielnie w dniu 6.9.1831 r. choć twórca fortyfikacji warszawskich generał-inżynier Klemens Kołaczkowski był innego zdania, bo za mały procent załogi poległ. Niemniej dzielnie broniła się załoga o wiele ważniejszego, kluczowego „dzieła nr 56”, w którym dowodził i gdzie poległ stary generał Sowiński. Palmę bohaterstwa, czy tylko dobrego dowodzenia, powinien otrzymać ppor. Biegański w pomocniczej reducie nr 57, który w dwieście bagnatów opóźnił natarcie korpusu Pahlena, liczącego według źródeł rosyjskich 8600 bagnatów, po czym zdołał się jeszcze sformować w czworobok na dziedzińcu i bić się dalej już po utracie szaniców. Lecz na „Reducie Ordona” wyleciał w powietrze skład amunicyjny co spowodowało nie tylko srogi huk, lecz także znaczne straty wśród Rosjan. Kto go wysadził? Jeśli był nim kapitan artylerii Juliusz Ordon to uczynił to w sposób bardzo zręczny, gdyż bynajmniej nie poległ „po mickiewiczowsku”, lecz żył do roku 1887, kiedy to w imponującym wieku lat dziewięćdziesięciu popełnił samobójstwo. Przez 60 bez mała lat od chwili swej legendarnej śmierci żył i wojsował na Węgrzech w r. 1848, w Legione Zamoyckiego w czasie Wojny Krymskiej i w „Czerwonych Koszulach” Garibaldiiego. Uczył matematyki w Szkocji i siadywał w kawiarni we Florencji. I przez resztę życia dumał nad własną śmiercią uwiecznioną przez wieszczka ku ozdobie tysięcznych akademii patriotycznych. Dumał, lecz nie protestował. Może uważał ją za żart a może myślał, że legendy także są potrzebne. Nawet taka co powstała kosztem prawdy historycznej i kosztem jego nazwiska.

O dziwo, podobnego zdania jest wielu dyskutantów nad książką Załuskiego. I to nie spośród zapalonych „bohaterszczyków”, lecz wśród ludzi znanych na polu nauki i w dodatku ideowych i opatentowanych komunistów. Píše Jerzy Wiatr w numerze „Polityki” z 6 lutego: „...istnieją dwie historie. Jedna — obiektywna — mówi o tym, co się faktycznie zdarzyło. Druga jest splotem wyobrażeń ludzi o własnej historii”. Nic dodać ani ująć. Zagłoba jest postacią historyczną w tym sensie, że jego wyimaginowana postać w psychice polskiej ma miejsce stałe i jak najbardziej prawdziwe. Legenda jest siłą twórczą. Z jednym wszakże zastrzeżeniem. Nie wolno jej mieszać z prawdą, z faktem, nie może zastąpić faktu. Musi żyć własnym życiem. Można ją nazwać „faktem umownym”. Może tak rozumiał własne zdanie Jerzy Wiatr, znany socjolog i psycholog, interesujący się także psychologią wojska.

Ale czy tak rozumiał swe zadanie Załuski? Należy tu mieć poważne wątpliwości. Dlatego wspominałem o kpiarskim znaczeniu mickiewiczowskiego motta, które narzeka na obecność świadków przy współczesnych wypadkach, gdyż uniemożliwia

to posługiwanie się mitologią. I wspomniałem dalej, że w dyskusji nad Załuskim obserwowaliśmy bitwę, której nikt wygrać nie mógł.

Dlaczego? Tym razem odpowiedź jest łatwa. By ją nakreślić musimy cofnąć się pamięcią do „Przepustki do Historii”. W niej Załuski starał się zaszczerpić uczucie przywiązania do wspomnień Armii Ludowej i z tła historycznego Armii Ludowej stworzyć legitymację historyczną dla dzisiejszej rzeczywistości. Chciał by społeczeństwo przyznało się do psychicznej łączności z Armią Ludową i z Gwardią Ludową, przynajmniej w tym samym stopniu, w jakim przyznaje się do łączności z Armią Krajową. Apel pozostał bez odzewu. „Siedem Grzechów Głównych” rozszerzyło więc postawę rozumową i uczuciową problemu. Traktuje o nich siedem rozdziałów. Są wprowadzeniem do rozdziału ósmego, ostatniego, w ilości stron obejmującego połowę całości książki, a który jest powtórzeniem też z „Przepustki do Historii”. Lecz dyskutanci rzucili się z rozkoszą w odmęty rozważań nad Krojantami i Somossierą, zbywając głuchym milczeniem „braterstwo bojowe z armią radziecką” i wyczyny „Gwardii Ludowej”. Jest to tym dziwniejsze, że nie uchylili się, a sądzić należy iż większość nie uchylała się szczerze, od wyciągania wniosków z dyskusji: takich, które zaczepiają o teraźniejszość i prowadzą w wątku do rozważań nad modelem przyszłości. „Od grzechów do cnót” zatytułowała pobożnie swój artykuł-konkluzję „Polityka”. I stwierdziła, że „Spór o polskie grzechy przekształcił się w poważną dyskusję ideologiczną. Książka Zbigniewa Załuskiego „Siedem Polskich Grzechów Głównych” stała się odskocznią do dyskusji nad pedagogiką społeczną, nad modelem wychowawczym młodego pokolenia”. Ludwik Ziemiński, stający zresztą raczej po stronie Koźniewskiego, pisze w numerze „Polityki” z dnia 12 stycznia: „...żadnemu z autorów nie idzie o historię, ani o stosunek do przeszłości... Im obu idzie o model psychiczny Polaków, o model naszego narodu... na pytanie czy Polacy mogą być narodem kupców czy żołnierzy... Załuski odpowiada: żołnierzy. Koźniewski... kupców, z tym pewno zastrzeżeniem że w epoce socjalizmu określenie 'kupiec' należy zamienić na określenie 'ekonomista, planista'”.

Sens w tym, że Koźniewski nie ma wzorca dla swojego postulowanego narodu, a Załuski ma. Zacytujmy jeszcze raz Jerzego Wiatra: „...czynią z niej (z dyskusji) prawdziwą batalię ideologiczną. Bo też jest nią ona. Idzie w niej o historię, ale jeszcze bardziej o teraźniejszość i o przyszłość... zwłaszcza w kraju o tak historycznej, tak humanistycznej kulturze jak Polska... Tak było i tak chyba będzie”. 26 stycznia pisze Dariusz Fikus: „Wierzę, że książka Załuskiego powstała jako skutek głębokiej troski o oblicze moralne młodego pokolenia. Zrodził ją niepokój i świadomość beznadziejności wobec obserwowanych przejawów bezideowości, cynizmu i moralnego zubożenia”. 9 lutego Andrzej Horski, określający się jako student, a więc zapewne

człowiek młody, stwierdza: „Młodzież też Koźniewskiego nie uzna. Mamy prawo do naszej historii” i pyta „Czy na ukształtowanie się w pełni socjalistycznej świadomości niezbędnym środkiem jest przeredagowanie historii?”.

W mniemaniu i w praktyce komunistycznej „przeredagowywanie” historii jest nieodzowne, konieczne i zupełnie naturalne. Przeredagowywanie stało się przyczyną rozbuchania się „szyderstwa” przeciwko któremu zawezwano pomocy Załuskiego, by odrabiał co inni towarzysze napsocili. Zastosował jedyne lekarstwo na fałsz. Lekarstwem takim jest prawda. Pozwolono mu wyjąć je z partyjnej apteki. Lecz w małej i niewystarczającej dawce. Bo jak we wszystkim tak i w historii nie może być prawdy ułamkowej, lub wymieszanej z kłamstwem. Horski prosi, by zostawić historię w spokoju, nie tylko dlatego, że, jak pisze, słusznie „mamy do niej prawo” lecz i dlatego, że jak tłumaczy zupełnie błędnie, „to fakty już umarły”. Czytaj: nieszkodliwe dla was. Fakty nie umierają. I właśnie dlatego je się próbuje fałszować, lub dawkując prawdę niektóre z nich przemilczać. Na fałsz odpowiedzieli „szydercy” swą glorią znieczulicy i „tumiwizmu”, który jest w istocie niczym innym jak krzykiem rozpacz. Zauważył to w „Przeglądzie Kulturalnym” Andrzej Kijowski, pisząc: „Błędni ten, kto nie może przestać wierzyć”.

Jest ogromna różnica między szyderstwem-satyra i szyderstwem-rozpacz. Pierwsze nie jest chorobą wyłącznie polską, nie jest w ogóle chorobą. Podlega mu cały świat, zwłaszcza młodzież. Nie cofa się przed barierą świętości historycznej ani nawet prawdy historycznej. Może to drażnić, może gniewać, lecz nie powinno wywoływać paniki. Nie ma powodu snucia pesymistycznych wniosków na przyszłość, nie ma powodu do akcji zaradczej. Inaczej w wypadku szyderstwa, płynącego z rozpacz. Tu jest powód paniki i konieczność środków zaradczych.

Środkiem zaradczym na rozpacz jest tylko nadzieja. Tej nie da poprawna analiza bitwy pod Raclawicami. Ani bitwy pod Lenino. Ani żadnej innej bitwy.

Nie wiemy nawet czy prawda zastąpi nadzieję. Wiemy tylko, że jest środkiem zaradczym na głupotę — zarówno po stronie szyderców wszelkiego pokroju jak i bohaterzyczków. Prawdy dostarcza historia, choć nie ona tylko. Załuski nalał społeczeństwu mały kieliszek prawdy i już się nim upiło. Dowodem dyskusja, która choć zesła z łamów prasy, nie zesła z rozmów. Lecz następnego kieliszka nikt nie nalewa. Książki Załuskiego nie można kupić, trudno nawet pożyczyć ją w Polsce. Drugie wydanie, pierwszego było dziesięć tysięcy egzemplarzy, wydaje się oczywiście koniecznością. Nie ukazało się dotychczas. Dlaczego?

Nie potrzeba się głowić by znaleźć odpowiedź. Nie wypowiedziano jej głośno, choć nie brakło aluzji nawet w „Polityce”. Jeśli chcecie nas uleczyć ze „znieczulicy” historią, to dajcie nam całą historię. Dyskutujemy nad siedmioma rozdziałami książki, nie interesuje nas ósmy — ten o Gwardii Ludowej i o braterstwie

polsko-radzieckim. Lecz interesuje nas wszystko co się stało między rokiem 1863 i Westerplatte.

Grzechów głównych w polskim katechizmie narodowym może być siedem a może siedemset. Lecz rozgrzeszenie może dać tylko jedno: powiedzenie całej prawdy. Bolesnej czy przyjemnej to mniej ważne. Byle całej, i niczym i przez nikogo nie przeredagowywanej. Trudno przyzywać w pomoc „spółczesne świadki” gdy się pisze o Ordonie, po to, by posługiwać się „mitologią” pisząc o genezie Armii Ludowej.

Nie zanoszę się tymczasem na ukazanie się książki pod tytułem „Rozgrzeszenie”. Załuski pisze inną: „Finał 1945”. Chce w niej omówić „militarny, polityczny, ideowy i moralny sens działań Ludowego Wojska Polskiego w ostatnim roku wojny”. Tak zapowiada Wrocławski Tygodnik Katolicki drukujący urywki. Jak na książkę fachową cel nazbyt rozległy. Tyle naraz! Lecz jako podnieta do dyskusji w skali zbliżonej do „Siedmiu Grzechów” sądzę, że temat „Finału” nie wystarczy.

Paweł ZAREMBA

Humor krajowy

Zagadki:

Pytanie: Co to są demludy?

Odpowiedź: Narody należące do bloku sowieckiego.

Pytanie: Jaka jest stała cecha socjalizmu?

Odpowiedź: Zwalczanie przejściowych trudności.

Pytanie: Na czym polega wyższość systemu socjalistycznego nad innymi?

Odpowiedź: Na tym, że z powodzeniem zwalcza trudności nie istniejące w innych systemach.

Pytanie: Jakie są obecnie trzy drogi do socjalizmu?

Odpowiedź: Drogi węgiel, drogi gaz i droga elektryczność.

Pytanie: Jakie dzisiaj trzeba mieć kwalifikacje na dyplomatę?

Odpowiedź: Trzeba wiedzieć, że: Gomułka to nie jest ser; Lumumba to nie jest choroba; Castro to nie jest operacja, a Nasser to nie jest rosyjskie przekleństwo.

Pytanie: Dlaczego w Polsce jest tak mało klozetów?

Odpowiedź: Bo ministrowie z każdym g... lecą do KC, dyrektorowie departamentów robią w majtki ze strachu, inicjatywa prywatna ma wszystko w d..., a robotnicy z zaparciem budują socjalizm.

Pytanie: Dlaczego w Polsce nie ma mięsa?

Odpowiedź: Bo woły pracują, a barany nami rządzą.

Pytanie: Jaka jest jednostka inteligencji w Polsce.

Odpowiedź: 1 Loga

Pytanie: A wiele inteligencji ma przeciętny obywatel?

Odpowiedź: 1 Mega-Loge.

Pytanie: Jaka jest różnica pomiędzy słońcem a węglem ponieważ obydwa są źródłami ciepła?

Odpowiedź: Słońce znika na Zachodzie, a węgiel znika na Wschodzie.

Pytanie: Co to jest komunizm?

Odpowiedź: Komunizm jest to zwycięstwo idei nad zdrowym rozsądkiem.

Pytanie: Czy pies może dostać zawału serca?

Odpowiedź: Może, jeżeli mu się każe żyć w ludzkich warunkach.

O Cyrankiewiczu:

1) Jaka jest różnica między Cyrankiewiczem, a Jenisiejem?
— Taka, że Jenisiej ostatnio zmienił koryto.

2) Mówią w Warszawie, że Cyrankiewicz otrzymał order Gwiazdy Betleemskiej za... uporczywa trzymanie się żłobka.

3) Po ostatnim przemówieniu w sprawie podwyżek cen węgla i elektryczności, a także po umizgach do stalinistów — Cyrankiewicz postanowił zmienić nazwisko na *Tyrankiewicz*.

4) Mowa sejmowa Cyrankiewicza w sprawie podwyżek cen węgla zostanie wydana pt.: „Szkice węglem”.

*Odpowiedź radia Erywań*

Pytanie: Czy świnię mogą być łyse?

Odpowiedź: Nie odpowiadamy na polityczne pytania.

Powyższe opowiedziano Cyrankiewiczowi, który śmiejąc się serdecznie zawołał: „Ależ przygadali Chruszczowowi”.



Cyrankiewicz i Gomułka przyjechali do Paryża i spacerowali po Montmartre. W pewnej chwili przeszli koło dwóch panienek stojących na rogu bulwaru. Jedna z nich z najmiłym uśmiechem ukłoniła się obu panom.

— Zwariowałaś — mówi druga — gościom się kłaniasz?

— Mylisz się, to nie są goście — odpowiada pierwsza. — To właściciele największego domu publicznego w Wschodniej Europie.



Gomułka z Cyrankiewiczem wizytują instytucje użyteczności publicznej, żeby sprawdzić czy wszystko jest w porządku i czy sumy przeznaczone na odpowiednie cele są wystarczające i odpowiednio użytkowane. Najpierw odwiedzają żłobek:

— Jaka suma przyznawana jest dziennie przez państwo na utrzymanie dziecka — zapytuje Gomułka dyrektorki.

— 30 złotych — pada odpowiedź.

— Za dużo — zmniejszamy do 10 zł. dziennie.

Następnie zwiedzają przedszkole. Na wiadomość, że na każde dziecko przyznana jest kwota 35 zł. dziennie — Gomułka zmniejsza ją do 15. To samo dzieje się w szpitalu, gdzie dotacja z 40 zmniejszona zostaje do 20 złotych.

W końcu przychodzą do więzienia. Na identyczne pytanie dyrektor odpowiada, że na każdego więźnia otrzymuje dziennie 10 złotych.

— Za mało — stwierdza Gomułka, podwyższam do 60 złotych.

— Co cię napadło — pyta Cyrankiewicz — wszędzie obcinasz dotacje do minimum, a tu nagle taka szczodrość.

— A ty sobie może wyobrażasz — odpowiada Gomułka — że w razie jakiejś zmiany odeślą nas do żłobka, albo do przedszkola, co?

*Dowcip z Moskwy*

W Moskwie mówią, że Chruszczow narobił tyleż zamieszania w bloku komunistycznym co papież Jan XXIII w świecie katolickim.



Metropolita moskiewski zjawił się u papieża na dłuższą konferencję zmierzającą do pogodzenia dwóch Kościołów. Ale na wszystko to co proponował papież odpowiadał: „Nie”. Po kilku godzinach papież chcąc jednak doprowadzić do zgody powiedział: „Dobrze, zgodzę się na wszystko to co mówicie, ale pod jednym warunkiem, który jest nieodwołalny. A mianowicie, musicie przyznać, że to Pan Bóg stworzył świat”. Metropolita po chwili wahania odrzekł, że musi się naradzić i że definitywną odpowiedź może dać nazajutrz. Następnego dnia zjawił się u papieża i powiedział: „Zgadza się, ale musi to być zdefiniowane następująco — świat stworzył Pan Bóg na zasadzie dokumentacji sowieckiej”.

Zebrała Zofia HERTZ

Przesilenie

Wkrótce minie zaledwie piętnaście lat od chwili gdy Polacy zaczęli masowo osiedlać się w Australii jako emigranci polityczni, a już przeżywamy poważny kryzys społeczno-polityczny. Po latach skrzących się od wzniosłych wypowiedzi dowiadujemy się naraz, że nasze „emigracyjne organizacje społeczne mają znikomą ilość członków i działają wadliwie”, że „okłamujemy się jakimiś górnolotnymi hasłkami”, że „podchodzimy utopijnie do zagadnień dla nas istotnych i staraliśmy się wmawiać w siebie, że jesteśmy emigracją polityczną”, że „przechodzimy okres beznadziei”, że „kilkanaście lat pobytu w Australii nie potrafiło stworzyć żadnego programu ni wyłonić żadnej myśli politycznej”, że „głosimy czcze hasła antykomunistyczne i puste frazesy”, że „wykazujemy słomiany ogień i nie patrzymy trzeźwo na nasze życie i naszą przyszłość”, że „nasza dojrzałość społeczno-narodowa jest niedostateczna” i nawet, że „mamy tu w Australii fikcyjne polskie organizacje”.

Takie oskarżenia i zarzuty — to mocna tabaka. I nie są to słowa wypowiedziane prywatnie w chwilowym zaciętrzewieniu przy wódce i rozmowie o starych Polakach. Nie są to też wyjątki z listów do redakcji. To są cytaty z trzech artykułów wydrukowanych w ciągu tego samego tygodnia i napisanych przez trzech rozumnych i odpowiedzialnych ludzi. Podpisane są przez autorów: Jana Dunin-Karwickiego, Romana Gronowskiego i Jerzego Malcharka, czołowych przedstawicieli polskiej opinii publicznej w Australii. Cytaty te zostały wyjęte z kontekstu nie z myślą zniekształcenia osnowy tych artykułów. Gdyby nawet zacytować artykuły *verbatim et literatim*, wynik byłby ten sam.

Dla zrozumienia jak Polonia australijska zeszała z grzmiących hasła do takich wynurzeń warto pokrótce przypomnieć sobie kilka niezaprzeczalnych prawd o emigracji i rozpatrzyć pobieżnie pewne fakty, które zakończyły się przybyciem do Australii przebywającej tu obecnie grupy polskiej.

Nie trzeba aż zaglądać do encyklopedii aby stwierdzić, że emigrantem politycznym nazywamy człowieka, który dobrowol-

nie opuścił swój kraj ojczysty, gdy nie mógł pogodzić się z systemem rządzenia i wyjechał po to aby z zagranicznej bazy zwalczać ten system dostępnymi mu środkami i ewentualnie wrócić, gdy ta walka skończy się pomyślnie jeszcze za jego życia. Taka nierówna walka jednostki (lub małej grupy) przeciw zorganizowanemu systemowi nie jest możliwa bez pomocy, która nie jest oczywiście potrzebna w wypadku emigracji ograniczającej się do wygodnego czekania zagranicą na to co będzie dalej.

Aktywny emigrant polityczny otrzyma pomoc tylko w wypadku, gdy jego zamiary i cele są na rękę tym, którzy go wspomogą. A oni uczynią to w zależności od tego jak akcje emigranta notowane są na międzynarodowej giełdzie politycznej przez graczy po obu stronach szachownicy. Gdy emigrant jest zdrowy, biedny i entuzjastyczny można go nawet w odpowiedniej sytuacji wyszkolić, uzbroić i wykorzystać w czynnej walce. Gdy jest starszy, już trochę sklerotyczny, zleżały i już nie taki zapalony, to — nim pójdzie na szmela — może wciąż posiadać dla obu graczy wartość broni moralnej pod warunkiem, że będzie stale i subtelnie utrzymywany w pobożnym mniemaniu, że on jeszcze politycznie coś znaczy.

Polityczna emigracja nie bywa taka masowa. Jakoś trudno wyobrazić sobie, aby jakiekolwiek państwo nowoczesne pozwoliło na gromadne wywędrowanie swoich czynnych przeciwników w zamiarach wywrotowych. Pozostaje ucieczka, która rzadko bywa masowa o ile chodzi o ważnych przeciwników; ci są przeważnie dokładnie inwigilowani.

Jeżeli emigrantem politycznym jest człowiek, który chciał wyjechać — to jak określić człowieka, który „został wyemigrowany” mimo woli? Jak nazwać te stutysięczne masy ludzi, które po zakończeniu drugiej wojny światowej znalazły się nagle poza granicami swych krajów — z powodów politycznych. Do opuszczenia ojczyzny zmusiły ich wypadki od nich niezależne. Nie wrócili, gdy stwierdzili, że ich rodzinne strony znalazły się naraz za przesuniętymi granicami i tereny w ten sposób utracone zostały zastąpione wspaniałomyślnie ziemiami nazwanymi nie wiadomo dlaczego: odzyskanymi. Nie wrócili, bo nie wiedzieli co ich czeka we własnym kraju, bo bali się tamtejszego jutra. Obawy te nie były wyssane z palca i miały swoje bardzo realne podstawy.

Prawie żaden z nich nie myślał przed wojną o emigracji zarobkowej, ani politycznej. W czasie wojny marzyli o radosnym powrocie. I gdy majowo nastrojona Europa obchodziła święto zwycięstwa, ta masa rozczarowanych, zgorzkniałych, trochę pijanych nagle odzyskaną swobodą, oszołomionych nieszcześliwców, znalazła się w tragicznej sytuacji, dosłownie ogołoceni ze wszystkiego, po większej części na znieprawionej ziemi butnego wroga, który nawet po klęsce nie przestał być bezczelny... i którego zwycięzcy zaczęli fetować w bardzo krótkim czasie po jego pokonaniu, bo tak widocznie nakazywała polityczna

racja stanu. Taka była sytuacja na szachownicy, że ten pokonany wróg był potrzebny, a jego były ofiary stwierdziły nie bez uzasadnionej, bezsilnej wściekłości, że zeszyły do roli żenującej przeszkody i pobocznego produktu wojny, która się przecież o nich zaczęła. Stali się po prostu jednym z problemów, które trzeba było rozładować i z natchnienia narodów przemienili się w *pain in the neck*, w ból w karku i w niewygodny wyrzut sumienia.

Byli więc już wtedy raczej kiepskim materiałem na entuzjastyczną emigrację polityczną.

Oczywiście otrzeźwienie nastąpiło dopiero później. Pierwsza reakcja musiała być emocjonalna. Zaczęli szukać kogoś, który tu ponosił winę, kogo można było oskarżyć już choćby dla własnego samopoczucia — że ich zdradzili, że ich sprzedali, że im wbili nóż w plecy, że wszystko o nich bez nich. O tym, że takie „zdrady”, „przetargi” i „konszachty poza plecami” są normalnymi aktami w polityce od zarania ludzkości, emigrant, nawet ten inteligent, w pierwszym stadium nie chciał słyszeć. Faktem jest, że nie jeden w okresie tych czarnych lat poniewierki, poniżenia i wojny wierzył w sprawiedliwość dziejową. Siaki taki jeszcze i dziś — po tylu doświadczeniach — o niej czasem przebąkuje. I co tu z takimi począć.

Ocknęli się jednak. Nie na darmo przeszli twardą szkołę życiową i zdobyli gorzkie, ale pouczające doświadczenie. Lekarstwa rzadko bywają słodkie. Postanowili więc wyemigrować, gdyż ani na chwilę nie przyszło im na myśl, że mogą osiedlić się wśród wrogów. Pozostali na wrogiej ziemi tylko ci, którzy musieli, których nie przyjęto gdzie indziej, gdy znów jak używane ciężarówki na sprzedaż stanęli przed aparatami prześwietlającymi i przed urzędnikami zimno kalkulujących „dobroczynców”.

Pewna ilość tych bardzo zahartowanych i bardzo rozczarowanych politycznie emigrantów polskich osiedliła się w Australii, która sprowadziła ich dla swojej ekspansji populacyjnej i przemysłowej i która po cichu planowała więcej na dywidendy demograficzne z potomstwa nowoprzybyłych niż na tę pół-neuraszniczną masę, w której co drugi osobnik miał polityczny *chip on the shoulder*, bo wylądowali bez krewnych, bez pieniędzy, bez znajomości języka i z żalem do losu. Ale nareszcie wolni i — w ramach tutejszej racji stanu — uprawnieni do działalności politycznej, gdyby mieli na nią ochotę i czas.

O czasie początkowo nawet mowy być nie mogło.

Trzeba było walczyć o codzienny chleb, o własny dach nad głową, o wyrwanie się z obozów (wciać!) eufemistycznie nazwanych hostelami lub zgola hotelami, żeby było trudniej zgadnąć. O połączenie się z żoną i dziećmi odległymi o setki mil, o zdobyćie przynajmniej powierzchownej znajomości języka.

W pierwszych latach, w momentach zgorzknienia i depresji niejednego australijski Polak — jeżeli miał odwagę być szczery

sam z sobą — myślał o powrocie. Wiedział bowiem, gdzieś w głębi swej stroskanej i skomplikowanej świadomości, że przymus pozostania na obczyźnie w jego wypadku nie był taki stuprocentowo realny. Byli to przeważnie kawalerowie, których nic tu nie trzymało i którzy czuli się obco w Australii, tęsknili za siostrą, gwizdali na politykę, zrezygnowali z samochodu, przestali obwiniać ten marny los przez duże „L”, kupili bilet i pojechali do kraju.

Większość jednak nie myślała o powrocie i miała po temu swoje ważne powody. Więc zacisnęli zęby i zabrali się do zawziętego, mozolnego budowania nowej egzystencji. Jeżeli i oni marzyli początkowo o powrocie, to były to mgliste, sporadyczne, podświadome myśli o trzeciej wojnie światowej lub o innym specjalnie dla nich wyreżyserowanym cudzie dyplomatycznym i strategicznym. W ten cud jednak coraz mniej wierzyli. Ale w tych latach nie jeden życzył sobie, żeby jakiś polityczny piorun uderzył w jego nisko położoną dolinę nim on się w niej zadowoli.

Jasne jest, że na jakąś planowaną działalność polityczną w tym okresie po prostu nie było miejsca, bo twarda teraźniejszość pochłaniała człowieka prawie bez reszty. Byli jednak i wtedy tacy — zawsze się znajdą — co próbowali odgrodzić się od teraźniejszości i żeby zacytować za Jerzym Malcharkiem hodowali „sen o minionej chwale, o minionej dawno przeszłości, o potędze i karabelach, wieszczach, hetmanach, zdradzie i heroizmie”. I oni nie mogli się jednak całkowicie od teraźniejszości wyizolować. I w ich psychice zachodziły ciągłe, powolne, często niedostrzegalne, lecz też nieuniknione i nieodwracalne zmiany. Australijskie zmiany. W miarę upływu lat, postępu arteriosklerozy i urządzania się w nowym miejscu postoju, z lodówką, samochodem, książeczką bankową i dziećmi, które nieco więcej wiedzą o Magna Charta niż o Konfederacji Barskiej — większość naszych emigrantów zwolna przemieniała się w jako tako normalnych ludzi. To jest takich, którzy przestawali żyć samymi tylko wspomnieniami, potrafili zaśmiać się sami z siebie, spojrzeć na życie bez patosu, bez złudzeń, praktycznie i bez sentymentalnych westchnień, od których się jedynie firanki wzruszają.

Ta praktyczność nakazała im przyjmować obywatelstwo australijskie, choć pomimo tego aktu wraz z całą towarzyszącą mu administracyjną pompą pozostaną oni do śmierci tymi dawnymi rodakami i wielu z nich nim umrze uczyni wszystko, aby ich dzieci nie zapomniały języka ojczystego i żeby zachowały dumę narodową ojca. Czy im się to uda — to inna sprawa.

Powoli zdobywany względny komfort i dobrobyt, własny dom, dzieci w szkole, bywa że i żona australijska — to wszystko nie może pozostać bez wpływu na sposób myślenia i na światopogląd. Można sobie życzyć wojny, gdy człowiek aż płacze z wysiłku i troski — ale nie wtedy gdy się ma samochód w garażu i syna na uniwersytecie w Sydney.

Nie można też mieć takiej gorącej ochoty do narodowej działalności politycznej, gdy rozumiemy co się dokoła nas dzieje. Gdy widzimy jak nasi alianci zawierają traktaty przyjaźni i współpracy z naszymi wrogami. Jak czcigodna kiedyś ostoja naszego oporu w czasie wojny schodzi do roli zbiedniałej arystokratki, wciąż hodującej uparcie wspomnienia dawnych czasów, kiedy słońce nie zachodziło na jej pluszowym horyzoncie. Z tych obserwacji i sytuacji emigrant musi wyciągnąć pewne wnioski i po oczywistych konkluzjach byłby świętym, gdyby nie zaczął wątpić w pewne „murowane” dogmaty, zasady, układy, przyrzeczenia i gromkie hasła swoich przywódców. Może dlatego „emigracyjne organizacje społeczne mają znikomą ilość członków i działają wadliwie”.

Powstaje więc na pozór tylko paradoksalna sytuacja, że gdy emigrant ma nareszcie — po czternastu latach — czas na działalność polityczną, to im więcej zaczyna orientować się w „polityce”, tym mniejszą ma do niej ochotę. Im bardziej zapuszcza korzenie na obcej glebie, tym mniej jest emigrantem politycznym. Staje się sceptykiem. A od tego jest tylko krok do cynizmu.

Obiektywnie rzecz biorąc nie należałoby dziwić się cynizmowi politycznemu emigranta, szczególnie polskiego. Widział jak w przeciągu dni zawaliły się — jak domki ze znakowanych kart — i przestały funkcjonować tysiącletnie, wieczyste aparaty państwowe; jak w ciągu godzin padały „niezdobyte” twierdze, dosłownie i w przenośni. Jak złudne okazywały się uroczyste zapewnienia przyjaciół i wrogów. Jak cywilizowani, kulturalni ludzie potrafili zwierzęco reagować w pewnych sytuacjach. Dodajmy do tego różne sprawozdania, wynurzenia i wspomnienia o niektórych popełnionych przez nieskalane charaktery przedwojennych świństwach i karygodnych niedbalstwach, o jakich się dopiero teraz dowiadujemy. Ich publikacja wywołuje oczywiście sprostowania, poprawki, erraty, wyjaśnienia i dalsze niedyskrecje. Jest to ciekawa, acz niezawsze smaczna lektura i niewątpliwie takie publiczne pranie brudnej bielizny historycznej przyczynia się do uzdrowienia atmosfery emigracyjnej. Lecz powoduje też utratę resztek złudzeń i jest nowym zastrzykiem sceptycyzmu.

Ale z cynizmem jest widać jak z pewnymi częściami garderoby i z niektórymi funkcjami fizjologicznymi. Wszyscy wiedzą, że one istnieją i w jakim celu, jednak trzeba je trzymać w ukryciu i nie wypada o nich mówić w kulturalnym towarzystwie. Bo to nie ładnie.

Jakiegokolwiek by nie były tego przyczyny, faktem jest, że przeważająca część ludzi, którzy przybyli do Australii jako polscy emigranci polityczni przemienia się w emigrantów *par excellence* zarobkowych. Polityka przestaje ich wzruszać. Ich działalność narodowa ogranicza się coraz bardziej do werbalizmu, do aktów symbolicznych, do wysyłania paczek (propagandowych?)

do Polski i do tego co Anglicy nazywają *lip service*. Od czasu do czasu — raczej z przyzwyczajenia i nierzadko z nudów — dyskutuje się na tematy polityczne, niekiedy nawet namiętnie, uparcie, z polską werwą i często bardzo naiwnie i troszeczkę za głośno, ale już nie tak ogólnie, przeważnie z uśmiechem wyrozumienia. Wiek robi swoje — i ten własny, i ten historyczny.

Tej grupie przeciwstawia się — dosłownie — stosunkowo nieliczna, naprawdę aktywna, narodowo uświadomiona gromadka altruistycznych entuzjastów. Polacy z brytyjskim paszportem i z sarmackim sercem. Robią co mogą, aby podtrzymywać polskość wśród tutejszego społeczeństwa nie tylko kulturalnie, ale i politycznie. Prowadzą szkoły, organizują teatry amatorskie, koncerty, zebrania, zabawy i — rzecz prosta — akademie. Z poświęceniem własnego czasu i często pieniędzy rzucają się w niebezpieczny wir niewdzięcznej działalności społeczno-politycznej, walczą, jak napisał Stanisław Różycki, „z penetracją czynników, którym zależy na moralnym rozbrojeniu uchodźców politycznych”. Często uderzają głową w mur obojętności osób, które wolą telewizor od odczytu o powstaniu styczniowym. Bywa, że zamiast podziękowania dostaną kopniaka. Nie widać, by ci szczerzy zapaleńcy zyskiwali adherentów, żeby rozszerzali krąg swojej działalności. Na zebraniach wciąż te same, jeno nieco więcej zmarszczone twarze, w sprawozdaniach ciągle te same nazwiska. Atmosfera bocznego, zarosłego toru, której nie ożywią ani nie rozwieją entuzjastyczne opisy, wzniosłe apele, wysoce optymistyczne reportaże i inne dotychczasowe próby malowania bladej sytuacji na różowo. I nie można nawet bezapelacyjnie winić ludzi, ani tych starzejących się, którzy na zebrania przychodzą, ani tych młodych, którzy od nich stronią — bo już nie są emigrantami; są tutejsi.

Dlatego powinniśmy być wdzięczni Karwickiemu, Gronowskiemu i Malcharkowi za ich cywilną odwagę i za złapanie byka za rogi. Uderzyli na alarm, wysuwają projekty ratunku, wzywają nareszcie do otwartej dyskusji, do realnego — jak mówi Karwicki — ustosunkowania się do wielu, tak dla nas istotnych, drażliwych zagadnień, które często mamy tendencję uważać za „tabu”. Ich nawoływania kończą się — bo przecież tak wypada — wyrażeniem nadziei, że sytuacja jest jeszcze do uratowania. Nie jest pewne czy oni sami wierzą w poprawę, bo — jak mówi Malcharek — „być może, to co piszę, nie znajdzie pòklasku”.

Zobaczmy czy uda się poruszyć tych obojętnych. Jedno jest pewne: nie potrafimy ożywić tych spośród nas, dla których czas stanął o trzeciej nad ranem, pierwszego września 1939 r. Ale i w nich nikt nie ma prawa rzucać kamieniem. Nie jest wykluczone, że ich życie naprawdę się wtedy zatrzymało i że ich teraźniejszość to tylko złudna, mniej lub więcej wygodna wegetacja.

Adam NASIELSKI

W Australii, marzec 1963.

Kronika kulturalna

Dlaczego ?

(WSPOMNIENIE O JANIE HOLCMANIE)

Jak dzięki zwierzę przyszło Nieszczęście do
[człowieka]

I zatopilo weń fatalne oczy...

— Czeka. —

Czy człowiek zboczy?

Cyprian Norwid. FATUM.

Uderzyli obuchem w oczy i kazali pisać o zgonie Przyjaciela. Albo lepiej — zerwali mi dach mojego pokoju. Już zawsze będzie wiał wiatr.

Poznałem go w świetlicy Polskiego Czerwonego Krzyża w Tel-Awivie. Prosiłem, aby mi zagrał Adagio z Toccaty C-dur Bacha. Odpowiedział, że tego nie gra, ale może mi w domu wyszukać. Poszedłem, ul. Byron 5. Mieszkałem wtedy w hotelu, gdzie się zjawiał jak duch. Był niepozorny, chudy. Mówił śmiejąc się: „Muszę dwa razy wejść do pokoju, aby mnie zauważono”. Miał niezwykłą biografię.

Jan Holcman urodził się w 1922 roku, w Łodzi, w rodzinie muzyków. W domu dzięki zainteresowaniom i zajęciom ojca i matki, stykał się od najwcześniejszego dzieciństwa z muzyką. Z Warszawy przyjeżdżał Jego stryj, Ludwik Holcman, skrzypek orkiestry Filharmonii Warszawskiej — dzięki niemu Janek wcześniej poznał wiele utworów muzycznych. Jego brat (mieszka obecnie w Tel-Awivie) opowiada, że już jako 3-letni chłopiec Janek stale przesiadywał pod jednym z licznych w domu fortepianów. Wcześniej zaczął się uczyć grać i jako młody chłopiec otrzy-

mał drugie miejsce na konkursie młodych pianistów w Łodzi, i wtedy zawarł dożywotnią przyjaźń ze zdobywcą pierwszej nagrody.

Na początku wojny znalazł się w okupowanym Lwowie i tam znów uczęszczał do konserwatorium. A później nastąpiło coś niespodziewanego: wysyłają go do Moskwy, gdzie się uczy u Goldenweisera. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej ewakuują go do Taszkientu, gdzie głoduje. Tam udaje się do prywatnej willi marsz. Żukowa, aby wstawić się za swoim przyrodnim bratem. W końcu dostaje się do Polskiej Armii, gdzie opiekuje się nim przez dłuższy czas Józef Czapski. Znów gra — dla żołnierzy. Z Armią — przez Teheran — przybywa do Tel Avivu.

Tu zabiera się do pracy. Postanawia zdobyć Paryż, Amerykę. Zajmuje się nie tylko muzyką. Konstruuje aparaty radiowe wielkości pudełka do cygar, kupuje najczulsze błony fotograficzne, aby całkiem marnym aparatem robić abstrakcyjne zdjęcia, wywołujące uśmiech politowania albo zachwyt. W kieszeni ma zawsze dwa funty, by móc się wykreśćić od proszonego obiadu lub objawów litości. Miał swoje „chody”, zawsze tajemnicze. Miał jakieś specjalne znajomości — albo bardzo interesujące (np. Herbert Bruen), albo bardzo ładne kobiety. Nie spał już wtedy, a raczej było mu szkoda spać. Więc nowidryna. I tak 16 do 18 godzin czuwania. Czytał wtedy Prousta, Montherlanta, Huxleya (którego miał później poznać osobiście), Manna.

W 1947 roku, dzięki skombinowanym staraniom Rubinstein, Młynarskiego i pani Truman (Truman był wówczas Prezydentem), dotarł do Nowego Yorku. Pisywał do mnie często, niekiedy polemiczne listy, niekiedy nieprawdopodobnie długie (najdłuższy — 303 stronicie plus ilustracja dźwiękowa w postaci 50 płyt, plus rysunki, fotografie). Fotografia przedstawiająca jego samego z rewolwerem przystawionym do skroni (zapewne dziecinnada). Przypadkowo otworzony list pokazuje zdanie: „Żyję we mnie starzec”. Kiedy indziej skarży się: „Jeszcze mi lekarz nie pozwala grać — zbyt mało ważyć”.

New York bardzo polubił. Pisał: „Miasto może dla mnie stworzone”. To właśnie miasto dało mu największe osiągnięcia życiowe, choć dalekie jeszcze od pełnej miary jego możliwości. Stale piął się wzwyż rozwijając swą twórczość w wielu kierunkach: był, przez wielostronność swoich uzdolnień i zainteresowań, osobowością typu renesansowego. Peter Jacobi pisze o nim: „Holcman jest pianistą; jeśli nawet nie koncertuje, posiada poziom profesjonalny w najwyższym stopniu. Holcman jest nauczycielem... Holcman jest pisarzem; jego artykuły o pianizmie wypełniały wiele stron pism amerykańskich... Ma na ukończeniu

książkę o młodocianych przestępcach fortepianu... (1). Holcman jest kompozytorem; skomponował przeszło 100 ballad... Holcman jest wynalazcą... (2). Holcman jest myślicielem i twórcą planów i licznych muzycznych projektów..." (3).

To wyliczenie nie wyczerpuje jeszcze wszystkich prac i zainteresowań Holcmana. Poza stałą współpracą w dziale muzycznym w „The Saturday Review”, umieszczał jeszcze artykuły w wielu pismach: „The Julliard Review”, „Etude”, „High Fidelity”, „The Music Magazine”, „The Harper Magazine”, „Kultura”, „Wiadomości”. Prócz tego jego krytyczne omówienia płyt towarzyszyły wydaniom wielu znanych firm. Uderzają one zarówno nieomylną i bardzo subtelną oceną muzyczną utworów i ich wykonania, jak i błyskotliwością sformułowań językowych, które cechowały wszystko, co pisał — wyrażeniami giętkimi, trafnymi i ostrymi. Wydał w Ameryce jedną książkę (4); miał w opracowaniu dwie dalsze — jedną o nauczaniu gry na fortepianie (tę może zdążył ukończyć); drugą o pianistyce dwudziestego wieku. Ostatnio planował napisanie powieści.

Wiele czasu poświęcał studiom nad płytami. Badał różnice w wykonaniach poszczególnych pianistów, rozwijał specjalną metodę badań. Przykład nieprawdopodobnego wprost wysiłku, jaki wkładał w te studia, możemy znaleźć w jednym z jego artykułów, gdzie mówi m.in.: „W ciągu ostatnich 60 lat nagrano na całym świecie 180 utworów Chopina: około 2000 różnych nagrań na płytach 78-obrotowych i ponad 1500 innych... Zbadanie tych wszystkich wersji graniczyłoby z utopią... Zrobiłem wszystko co możliwe, by wysłuchać jak najwięcej z nich... Przesłuchałem... w ciągu ostatnich tygodni ogółem 2168 wersji... Z tego wybrałem tylko 288 w wykonaniu 73 pianistów... starych i nowych” (5).

Dla badania płyt, zgodnego z jego teoriami, skonstruował specjalny aparat — zdaniem inżynierów-elektroników niemożliwy do skonstruowania. Maszyna ta umożliwiała to, co nazywał „badaniem mikroskopijnym” płyt. Mianowicie, przez studiowanie, przy zwolnionym tempie, poszczególnych fraz utworu w różnych wykonaniach potrafił wykrywać usterki techniczne, od

(1) Wyrażenie Holcmana.

(2) Autor wymienia szereg wynalazków Holcmana, jak „wieczną” żarówkę elektryczną, automatyczny wyłącznik do telewizorów, samozapalający się papieros.

(3) „The Graphs and Staffs of Jan Holcman”, *The Music Magazine*, Febr. 1962, str. 10-12.

(4) Jan Holcman, *The Legacy of Chopin*, Philosophical Library, New York, 1954.

(5) Jan Holcman, „The Honor Roll of Recorded Chopin 1906-1960”, *The Saturday Review*, Febr. 27, 1960, str. 44.

których, jak powiadał, „żaden artysta nie jest wolny”. Mówił: „Badanie płyt może być tak fascynujące jak studiowanie mikrobów pod mikroskopem, nie dlatego, że można złapać błędy, ale dlatego, że można uchwycić piękno” (6). Miał nadzieję ustalić w ten sposób „naukowo obiektywne podstawy nauczania i krytyki muzycznej” (7).

Pożerały go różne dążenia. Największym był głód autentyzmu — w grze na fortepianie, w analizie tekstów i wykonaniach muzycznych, w ustalaniu zasad metodyki nauczania, w życiu osobistym, w określaniu własnego stosunku do ludzi i spraw. Pożerał go głód perfekcji we wszystkim, co robił, i to doprowadzało go do bezwzględności wobec siebie. Wyrobił sobie całkowitą niezależność sądów i na tym tle dochodziło często do starć osobistych z ludźmi, których nawet bardzo cenił czy lubił. Może jednak najbardziej uderzającą jego cechą była ogromna pracowitość: pracował 18-20 godzin na dobę.

Jego sposób życia był całkowicie odmienny niż innych ludzi: cygański na swój sposób. Dla wykonywania swoich licznych prac urządził sobie pokój, przypominający pracownię alchemika. Zgromadził w nim instrumenty muzyczne, maszyny i aparaty, potrzebne w jego badaniach, obok rozmaitych „gadżetów” i urządzeń służących do ozdoby i do zaspakajania jego rozmaitych potrzeb i upodobań — przedziwne lampki, urządzenia klimatyzacyjne, instrumenty akustyczne, aparaty fotograficzne itd. Pokój ten mieścił olbrzymią i bardzo starannie dobraną kolekcję płyt, nut, książek; dalej wielki zbiór fotografii, obrazy, i nawet mały bar, gdzie sporządzał cocktaile i napitki własnego pomysłu. Był to „zautomatyzowany” pokój, gdzie wszystko robiło się „samo” jak u czarnoksiężnika. W tym dziwnym pokoju, którego ściany były dźwiękochronne dzięki potrójnej izolacji z korka, płynęła jego dziwna egzystencja, wypełniona pracą, troską i projektami, których było za dużo, aby można je było zrealizować w jednym ludzkim życiu.

Dużą rolę w jego życiu odgrywali przyjaciele. W tych stosunkach był bardzo trudny, skomplikowany i wymagający — ale umiał też być bezgranicznie oddany. Należałoby tu zapewne wymienić nazwiska wielu osób, które pomogły mu w różnych okresach życia, jak zazwyczaj pomagają ludzie dobrzy, czy choćby rozumiejący, utalentowanym, samotnym i niebryt zdrowym chłopcom, zmagającym się z trudnościami i dążącym do wielkich osiągnięć. Niekiedy, przez zbytnią otwartość, nieza-

(6) *The Music Magazine*, op. cit.

(7) Fred Grunfeld, „The Piano and the Alchemist”, *The Saturday Review*, June 30, 1956.

leżność opinii i pewną szorstkość obejścia odsuwał tych ludzi od siebie. Ale do wielu wracał po pewnym czasie, a z innymi utrzymywał niezachwianą przyjaźń przez długie lata. Było w nim jakby źdźbło diabelstwa, wyrażającego się w potrzebie komplikowania życia sobie i innym, w stosunkach z kobietami, w pociągu do niezdrowych stron życia (narkotyki, ludzie-dziwacy), w szczególnym typie humoru; a obok tego jakby świętość nawiedzeń, dobroci dla ludzi, pasji dla sztuki we wszystkich jej przejawach.

Trzeba tu dodać kilka słów o jego stosunku do Polski: opuścił kraj jako dziecko, nie zdążył nawet skończyć polskiej szkoły, większą część życia spędził za granicą; ale zachował głębokie przywiązanie do polskiej kultury. Już w New Yorku spędzał całe dnie pierwszego okresu pobytu na czytaniu starych roczników „Wiadomości Literackich” i studiowaniu tłumaczeń Boya. Jeden z rozdziałów jego książki o Chopinie nosi tytuł: *Polish Music* (str. 92-95).

W 1963 roku pisał do mnie: „Poczucie zagrożenia minęło i pracuję jak dawniej. Książeczkę skończę latem. Jeśli zapanuje pogoda ducha i inne sprzyjające warunki, to następny rok poświęcę na pisanie powieści oraz powolny powrót do gry, prawdziwej gry fortepianowej...”. I potem: „Ważniejsze wyniki różnych moich prac (ostatnio *Harper Magazine* drukował prowokacyjny artykuł „Montaże”, który pisałem rok temu) obliczam na zimę 1964... Życzę Ci dobrych stosunków z życiem...”. Sam, widać, nie umiał jednak znaleźć „dobrych stosunków z życiem”. W dniu 13 kwietnia br. zmarł, nagle, tragicznie i niezrozumiale.

Tyle się po nim oczekiwało i w tak wielu dziedzinach. Ludzie, którzy z nim razem zaczęli i po nieudanych próbach musieli się pogodzić z własnymi niepowodzeniami lub przynajmniej ograniczyć zakres zamierzeń, oczekiwali, że on — za nich i za siebie — dokona czegoś więcej, zajdzie wyżej. Ta wiara w niego dawała im zadośćuczynienie za własne klęski. Uznając wyższość jego talentu, inteligencji i wielkiej żywotności liczyli, że on będzie tym, który zrealizuje dążenia ich pokolenia.

Wszystko, co jest powiedziane w tym wspomnieniu, jest przypadkowe i fragmentaryczne. Było w nim tyle — w miarę rozwoju coraz więcej — że można było obdzielić jego przymiotami, możliwościami i planami kilku ludzi.

Więc dlaczego?

Leo LIPSKI

Wystawy polskie w Londynie

Jak zwykle, tak i w tegorocznym sezonie wiosennym na wystawach w Londynie nie zabrakło Polaków. Tak się jednak złożyło, że tym razem artyści polscy, od lat przebywający na „zgniłym Zachodzie”, wystąpili ze sztuką o tradycjach malarstwa figuratywnego, a abstrakcja była reprezentowana przez malarkę, która przywozła swoje obrazy wprost z Warszawy.

Malarką tą jest *Helena Walicka*, która przerwane wojną studia ukończyła w warszawskiej A.S.P. w roku 1945, a malarzami z emigracji są *Piotr Mleczko*, który już po wojnie studiował sztukę w Wielkiej Brytanii, oraz senior malarstwa, *Zdzisław Ruszkowski*.



Wśród bogatej galerii charakterów malarskich polskich artystów plastyków w Wielkiej Brytanii *Zdzisław Ruszkowski* zajmuje jedną z czołowych pozycji.

Jego talent i rzetelne podejście do sztuki zapewniły mu uznanie nie tylko wśród rodaków. Sztuka Ruszkowskiego jest bardzo ceniona w kraju naszego osiedlenia i ten malarz uważany jest dzisiaj za jedną z ważniejszych postaci w świecie artystycznym Londynu.

Wizja malarska Ruszkowskiego wydaje się przedziwnym stopem formy Daumierowskiej i wrażliwości barwnej Bonnard. Gdzieś na pograniczu tych dwóch potężnych malarzy Francji wyrasta oryginalna i pełna swoistej poezji sztuka Ruszkowskiego. Ten polski malarz jest świadom swego stylu i raz wstąpiwszy na drogę malarstwa inspirowanego przez naturę, stale pogłębia swoje doznania, dając nam coraz to nowe bogactwo wzruszeń. Wyobrażenia malarskie tego artysty zawsze są poprzedzone percepcyjnym wizerunkiem doznań natury i ta sensualna postawa jest fundamentem jego twórczości.

Obecna wystawa *Zdzisława Ruszkowskiego*, urządzona w nowym lokalu Leicester Gallery, jest jego siódmą z kolei wystawą zbiorową na terenie Londynu. Jego pierwsza wystawa, akurat piętnaście lat temu, miała miejsce w galerii Rolland, Browse and Delbanco. Była wówczas dla nas naprawdę przeżyciem. W owych czasach niepewności i wyczekiwania na objawienie się czegoś, co mogłoby zaspokoić nasze tęsknoty po świeżo przeżytym kataklizmie wojennym, każda zdecydowana postawa malarska wydawała się nam pożądana, a sztuka Ruszkowskiego już wówczas posiadała pewną krzepę i zapowiedź czegoś nowego, chociaż nie

zrywała radykalnie z tradycją malarską, na której wyrosło pokolenie malarzy po pierwszej wojnie.

Od tamtej wystawy wiele się zmieniło: byliśmy świadkami niesamowitego wprost zjawiska jakim było raptowne rozprzestrzenienie się abstrakcji z wszystkimi następstwami jakie towarzyszyły temu fenomenowi, objawiającymi się w entuzjzmie i oburzeniach, w zwyczajach i zniżkach na giełdzie malarskiej i w spekulacjach teoretycznych.

Wydawało się, że w pewnym momencie malarstwo figuratywne zostanie wyparte. Najbardziej odważnym wizjonerem marzyła się nowa era w sztuce, która będzie czerpać natchnienie z nieznanych dotąd źródeł nagromadzonych w samej istocie ludzkiej.

Ruszkowski należał do tej grupy malarzy, którzy stali na stanowisku, że sztuka malarska nie może istnieć bez wrażeń zmysłowych i postanowił iść raz obraną drogą. Takie stanowisko można było obronić jedynie rzetelną pracą twórczą.

Co dwa lata urządzone wystawy malarstwa Ruszkowskiego, polemizowały z modnymi ruchami abstrakcyjnymi propagowanymi przez *marchand'ów* z West Endu. W takiej sytuacji malarz figuratywny, za jakiego uważamy Zdzisława Ruszkowskiego, musiał się zdobyć na najwyższy wysiłek, jeżeli nie chciał narazić się na drwinki zwolenników spontaniczności i wypadku. Taka rywalizacja prawdziwym talentem wychodzi zwykle na dobre. Malarstwo Ruszkowskiego wyszło wzbogacone z tych zawodów o stopień odprzedmiotowania formy na rzecz koloru, ale pozostał wierny swoim ideałom. Na omawianej wystawie możemy zaobserwować obrazy, które, aczkolwiek wychodzą od wizji natury, są zaledwie o krok od abstrakcji. To zdyskredytowanie przedmiotu jako aspektu rzeczywistości, wydobywa na powierzchnię elementy abstrakcyjne, właściwie istniejące zawsze w każdej dobrej sztuce.

Ten aspekt malarstwa Ruszkowskiego jest jego najnowszą zdobyczą, jaką obdarza nas hojnie na swojej ostatniej wystawie tej wiosny 1963.

Malarstwo Heleny Walickiej zasługiwało na lepszą galerię; nie dlatego zresztą aby Boyson Gallery była nieodpowiednim tłem dla zdecydowanie nowoczesnego oblicza jej obrazów; te abstrakty pokazane w towarzystwie antycznych mebli dość przypadkowego wnętrza, w atmosferze przesyconej zapachem świeżego pieczywa z przyległej piekarni, nie traciły niczego z siły oddziaływania.

Wyszukana malarskość dzieł Walickiej i świeżość jej wizji czuły się znakomicie w tym mieszczańskim saloniku, i ta okoliczność potęgowała jeszcze czar jej obrazów, namalowanych w dalekiej ojczyźnie. Dobra galeria mogłaby jednak zaintereso-

wać szerszą społeczność miłośników sztuki — na co ten wysiłek artystyczny w pełni zasługiwał.

Abstrakcyjne malarstwo Heleny Walickiej wywodzi się z poszukiwań estetycznych, które zapoczątkował Wols, a wzbogacili malarze jak Dubuffet i w pewnym sensie Jan Lebenstein. Skłonności artystki do wyboru form o typie organicznym są najsilniejszą więzią z koncepcją abstrakcji. Inne cechy, jak bezpośredni atak płaszczyzny obrazu, koloryt i niuanse techniczne są jak najbardziej indywidualnymi własnościami malarki. Zwłaszcza zmysłowa materia, z której zbudowane są kompozycje, wyróżnia jej prace w zestawieniu z innymi osiągnięciami w tej dziedzinie.

Kolorystyczna strona wystawy Walickiej jest jej najsilniejszą zaletą. Soczysta miękkość barwnej materii o melancholicznym wydźwięku działa tutaj jak dobry koncert muzyczny, słyszany przez ścianę — kiedy to pewne partie zachwycającej kompozycji słyszymy ze wzruszeniem, a inne uchodzą naszej uwadze. Przede wszystkim obrazy olejne posiadają wyrafinowaną grę barwną. O jej gwaszach można powiedzieć, że są wyrazem śmiałych eksperymentów, czasem być może przeszarżowanych, gdy zastosujemy do nich miarę londyńskiej wrażliwości. Z polskiego punktu widzenia są one wyrazem temperamentu i zamiłowania do intensywnych przeżyć.

Manifestacja artystyczna malarki z kraju wyraźnie zaprzecza twierdzeniu, jakoby abstrakcja była jedynie chwytem technicznym. Ten czysto retoryczny slogan da się również z powodzeniem zastosować do każdego kiepskiego malarstwa. Sztuka jest bowiem kombinacją ducha i materii. Artysta nie jest w stanie zakomponować piękna, jest on zaledwie zdolny stworzyć pewne warunki, w których piękno, czy to coś co potrafi nas zachwycić, może się zrodzić w czasie twórczej pracy.

Malarstwo Pawła Mleczki, którego 43 obrazy oglądaliśmy na wystawie w Galerii Grabowskiego w maju 1963, jest zjawiskiem co najmniej zastanawiającym.

Czym można wytłumaczyć, fakt, że malarz, którego studia przypadły na lat 1950-54, i to w Anglii, wykazuje w swojej twórczości kompletną obojętność na najbardziej vitalne zagadnienie w dzisiejszym malarstwie, a nawiązuje do tych tradycji w sztuce, które święciły triumfy w latach pomiędzy wojnami — kiedy entuzjazmowali się sztuką Chagalla, Grosza, Makowskiego, Klee i Modiglianego.

W obrazach Mleczki z łatwością odnajdujemy cechy formalne wspomnianych mistrzów, a nawet ich tematyka jest mu pokrewna, co nie jest tutaj sprawą ważną. Bliższa analiza obrazów Mleczki wskazuje, że mamy do czynienia z wielkim talentem ilustratorskim, wrażliwym na różne przejawy ludzkiej aktywności.

ści. Pragnie on zaprezentować się jako „dobry malarz”, znakomicie rysujący i posiadający duże zdolności kompozycyjne. To zadanie zostało osiągnięte. Mleczko postanowił przeciwstawić się fali sztuki abstrakcyjnej, w której jego wrodzone skłonności ilustratorskie nie znajdowały ujścia. Wynikałoby z tego, że magia sztuki abstrakcyjnej nie dotarła w gruncie rzeczy do tajników jego odczuć. Nie sądzę, żeby Mleczko był do tego stopnia naiwny, aby sądzić, że istota obrazu może zawierać się dzisiaj w historyjce, którą on przedstawia, a jednak właśnie ta strona jego malarstwa narzuca się widzowi w pierwszym rzędzie. Tak jest; Mleczko opowiada i to opowiada z przekonaniem: widzimy, że staje się mały wobec rzeczy błahych, czuły wobec rzeczy wzruszających, potworny wobec grozy spraw przerażających, stara się wejść w przyjazną zażyłość z wydarzeniami politycznymi i manifestacjami. Potrafi malować zarówno dla ludzi grubociosanych jak i delikatnych, dla melancholików i marzycieli, oraz dla ludzi o pełnych temperamentach. Słowem stara się zaspokoić wszystkie skłonności. W jego obrazach odnajdujemy tematy z życia ulicy Londynu, z obozów niemieckich z zacisznych i intymnych scen domowych; maluje siostry szpitalne i pary ślubne, mecze futbolowe i wiece polityczne, przy czym jego rzemiosło malarskie, jego umiejętności są pierwszorzędnej jakości.

Figura ludzka jest dla Mleczki głównym tematem, ale figura ta obrysowana dokładnie i nakreślona bez żadnych niedomówień, jest akurat tym, czym artysta chce aby była — nie pozostawia niczego domysłom i fantazji widza.

Obsesja Mleczki do opowiadania wskazuje z jednej strony na możliwości potencjału malarskiego, a z drugiej wykazuje niedostateczną jeszcze dojrzałość plastyczną artysty. Zrozumienie tajników sztuki malarskiej przychodził poprzez doświadczenia i doznania, a także z lekcji historii naszych poprzedników. Pewne problemy w malarstwie, istotne i ważne w przeszłości ze względu na istniejące okoliczności, niekoniecznie muszą być żywe dzisiaj, a balans pomiędzy wyrazem plastycznym, a literackim jest sprawą odczucia. Zasadnicza różnica pomiędzy literatem a plastykiem polega na tym, że pierwszy *opowiada* używając słowa jako narzędzia narracji, drugi zaś *pokazuje*, używając zamiast słowa znaku-symbolu, który zmierza przeżycia. Kto przechodząc od literatury do plastyki nie zmieni sposobu myślenia, ten opowiada dalej używając zamiast słowa obrazka, a to jest pożyteczne chyba tylko w wypadku, gdy mamy do czynienia z analfabetami, ale i wtedy mamy do dyspozycji inne potężne środki, jak radio, telewizję i film, które są w stanie spełnić zadanie o wiele dokładniej i gruntowniej.

Ten problem sztuki malarskiej zajmował umysły artystów nie od dzisiaj. Wyszukane i nieraz bardzo żmudne i skomplikowane chwytotechniczne, to znów próby dehumaniza-

cji sztuki przez wprowadzenie tematyki samodzielnego pejzażu i wreszcie martwej natury — były wynikiem reakcji i roli, jaką malarstwo spełniało w przeszłości i jaką spełnia we współczesności. Proces, jaki przeszła sztuka malarska od Giotta poprzez Massaccia i Rafaela, potem poprzez wiek XVII i XVIII i wreszcie poprzez impresjonizm i kubizm, jest zjawiskiem godnym prześledzenia. Taki wysiłek umysłowy może doprowadzić do bardzo cennego odkrycia, mianowicie może dać klucz do zagadki jaką jest jeszcze dla wielu malarzy abstrakcja.

Ale nie żądamy zbyt wiele i wróćmy do wystawy Mleczki. Otóż, zauważyłem na tej wystawie jeden obraz o wartościach malarskich tak oczywistych, o działaniu estetycznym tak głębokim, że gdybym widział tylko ten jeden obraz oddzielnie, miałbym zapewne zupełnie inne pojęcie o sztuce Mleczki. Obrazem, o którym mowa jest „Mass in B Minor”. Jest to kompozycja o przedziwnym nastroju, która została zrealizowana szczęśliwie i po malarsku. Temat aczkolwiek ważny, został tak potraktowany, że pozwala w pełni na działanie poezji kolorów i rytmów kompozycji, które z łatwością trafiają do naszej wrażliwości plastycznej. Ten obraz jest świadectwem dużej intuicji artystycznej i rzadkiej wrażliwości na kolor. Ta jedna praca stawia Mleczkę w kręgu plastyków, których wysiłek jest godny uwagi.

Zygmunt TURKIEWICZ

Komunikaty

Rozstrzygnięcie konkursu na sztukę jednoaktową, rozpisanego przez Związek Polaków w Belgii, nastąpiło w dniu 22 kwietnia 1963 r.

Sztuk nadesłano 12, z następujących krajów: Anglia, Argentyna, Belgia, Francja, Polska, Stany Zjednoczone i Szwajcaria.

1-szą nagrodę (3.000 fr.b.) za sztukę „Klawikord” otrzymał M. Świda z Argentyny.

2-gą nagrodę (2.000 fr.b.) za sztukę „Zawieja” — Maria Morozowicz-Szczepkowska z Polski.

3-cią nagrodę (1.000 fr.b.) za sztukę „Za naszą wolność i waszą” — Jadwiga Otwinowska z Anglii.

W skład Jury wchodził: Jerzy Drobnik, dr Jerzy Korab-Brzozowski, dr Edward Pomorski (przewodniczący), Jadwiga Pomorska i Rita Rościńska.

NOWA NAGRODA LITERACKA

P. Julian Godlewski dał do dyspozycji Kiermaszowi Książki Polskiej w Szwajcarii (Kazimierz F. Vincenz, Case Postale 145, Soleure 2, Szwajcaria) sumę 500 dol. z przeznaczeniem na Nagrodę Literacką dla uczczenia 90 urodzin swej matki.

Stosownie do życzenia ofiarodawcy Kiermasz Książki Polskiej ustalił dwie nagrody w równej wysokości, po 250 dol. każda, dla dwóch pisarzy emigracyjnych. Kiermasz Polski zwraca się do 150 pisarzy na terenie emigracji, z prośbą o zgłoszenie kandydatur wraz krótkim umotywowaniem. Odpowiedzi winny być nadesłane do dn. 25 czerwca br., Nagrody zostaną przyznane osobom, które uzyskają największą ilość głosów w tej oryginalnej ankiecie.

W jednym z najbliższych numerów „Kultury” omówimy istniejące na emigracji nagrody literackie — zarówno stałe jak i doraźne.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Książki

Psiakrew !

(Uwagi na marginesie opracowania Stanisława Strumph Wojtkiewicza pt. „Książka szła za emigrantem”, Wrocław, Ossolineum, 1963, str. 409).

Literatura emigracyjna przetrzymała już kilka prób pogrzebania jej żywcem. W latach wojennych sprzysięgał się przeciw niej brak czcionek i drukarni, skąpe i kapryśnie przydzielane (lub cofane) przydziały papieru. Po r. 1945 dobijało ją chaotyczne rozproszenie uchodźstwa i specyficzne trudności towarzyszące pierwszym etapom egzystencji w nowych warunkach. Los jej wisiał niejednokrotnie na włosku, co skwapliwie podchwytywali pesymiści swoi i obcy, krajowi — a także emigracyjni. Wbrew oczywistym trudnościom (— a może i wbrew kalkulacjom handlowym i zdrowemu rozsądkowi —) utrzymało się jednak i okrzepło kilka poważnych placówek wydawniczych i zaskakująco wysoka ilość czasopism mających poza sobą kilkanaście i więcej lat ciągłego istnienia. Tak przynajmniej wygląda to dziś w naszych oczach. Inaczej bowiem wydaje się autorowi osobliwej „książki o książce” — Stanisławowi Strumph Wojtkiewiczowi. „Książka szła za emigrantem” — powiada ów oficjalny ekspert naszej sytuacji, ale to już czas przeszły. Tyle może, że niedokonany, bo ktoś tam gdzieś może jeszcze i czyta i pisze, ale to już ostatki, niedopałki.

Oficjalne stanowisko władz rządowych w kraju w stosunku do literatury emigracyjnej zarysowało się wcześniej — i, powiedzmy sobie szczerze — niewielkim ulegało wahaniom: książka emigracyjna była i jest książką zakazaną, nielegalną, bez względu na to, czy okładki jej kryją tzw. „Iliadę Wieniewskiego” czy „Bez ostatniego rozdziału”.

Okres stalinowski zapisał się w historii książki polskiej aktem najhaniebniejszym: w Bibliotece Narodowej spalono w całości czy w znacznej części zbiór poloników emigracyjnych z okresu wojny i wczesnych lat powojennych. Przypuśćmy, że akty tego rodzaju należą do niepowrotnej przeszłości. Zapomnijmy, że niewinne próby kolportażu czy współpracy z wydawnictwami emigracyjnymi kończyły się w sądzie i areszcie. Cieszymy się, że książek się już dziś nie pali, tylko wrzuca dyskretnie do cenzorskich koszy. Wierzymy — optymistycznie — w doczekanie się dnia, w którym przesyłki niedoręczane adresatom zwracane będą nadawcy z wyraźnym powołaniem się na paragraf tajemniczej ustawy regulującej postępowanie celników i cenzorów. Będzie to niewątpliwie pewien krok naprzód.

Brzydko, że wyciągam takie sprawy. O książce emigracyjnej pisać należy tkliwie i z łezką. Tak właśnie jak robi to Strumph Wojtkiewicz. Nie z własnej zresztą inicjatywy. Są to łzy i wzruszenia wynikające z zamówienia społecznego. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż kraj interesuje się emigracją.

Złe powiedziałam. Nie „emigracją” — a „Polonią zagraniczną”. Od niejakiego czasu zarysowuje się coraz wyraźniej w kraju tendencja do unikania terminów „emigracja polityczna”, „emigracyjny” (nawet w kontekście negatywnym) w odniesieniu do powojennych skupisk, których większość stanowią Polacy, ex-żołnierze, ex-więźniowie sowieccy czy ofiary obozów koncentracyjnych. Towarzystwo łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” i współpracująca z nim blisko Komisja Polonii Zagranicznej Komitetu do Badań nad Kulturą Współczesną Polskiej Akademii Nauk stosuje obecnie taktykę mówienia o emigracji politycznej jako zjawisku zakończonym lub wchodzącym w ostatnie stadium. Niechętnie używany jest nawet termin „emigracja zarobkowa” — twarze praworządnych obywateli Polski Ludowej układają się natomiast w uśmiech jak do paszportowej fotografii, gdy na ustach pojawiają się słowa: „Polonia zagraniczna” lub straszliwy przymiotnik „polonijny”.

„Polonia zagraniczna staje się od pewnego czasu obiektem żywszego zainteresowania społeczeństwa w kraju”. Tymi właśnie słowami rozpoczyna swe wywody na temat „Stanu i potrzeb bibliografii Polonii zagranicznej” Władysław Chojnacki z Leszna w t. II „Problemów Polonii Zagranicznej”, rocznika wydawanego przez wspomnianą wyżej Komisję PAN.

Autor artykułu nie precyzuje bliżej, czym wyraża się owo „żywsze zainteresowanie społeczeństwa”, zwłaszcza w odniesieniu do będącej przedmiotem jego rozważań produkcji wydawniczej Polaków poza krajem — tej właśnie produkcji, której owoce są tak skwapliwie i bez dających się ująć w regułę wyjątków

konfiskowane przez wszechobecną a formalnie nieistniejącą cenzurę Polski Ludowej. „Żywsze zainteresowanie”, a przynajmniej legalne jego formy, opierać się przeto muszą na intuicji, telepatii — albo spisach bibliograficznych, figurujących w dwu ostatnich tomach „Rocznika Literackiego”. Czytelnik krajowy, syty wrażeń z lektury rozdziałów o przekładach z literatury bułgarskiej i chińskiej, znajdzie w tych ostatnich informacje o — powiedzmy — pamiętniku gen. Stanisława Kopańskiego albo książce ks. Łucjana Królikowskiego pt. „Skradzione dzieciństwo”. Mógł służyć w wojsku pod tym właśnie generałem albo zetknąć się w Sowietach z autorem „Skradzonego dzieciństwa”. Tytuły książek obudzą w nim — „żywsze zainteresowanie”. I co z tego? Przypuśćmy, że uda się do Biblioteki Narodowej i że posiada ona niespalony egzemplarz poszukiwanej książki w dziale druków „zastrzeżonych”. Starać się o specjalne pozwolenie? Jeździć na Hankiewiczą, by czytać książkę na miejscu? Może to i wykonalne w jakichś odosobnionych wypadkach, ale jakże dalekie od swobodnego dostępu do książek krajowych w takiej np. Bibliotece Polskiej w Londynie.

Aura kokieterii owiewająca krajowe wydawnictwa „polonijne”, kolorowe, glansowane i gratisowe, kieruje nas na inne szlaki interpretacji owego zagadkowego „żywszego zainteresowania”. Nie jest to zainteresowanie bezinteresowne — domaga się wyraźnego odwzajemnienia. Jak orzekł ktoś ze znajomych, parafrazując szlachetnie, ale jakże już niegdysiejsze wojenne posłanie krajowe: „miłość żąda ofiary”. Powrót na stałe nie jest warunkiem *sine qua non*; entuzjazm jest pożądany ale niekonieczny. Wystarczy postawa bierna, brak przejawów protestu. Wystarczy kupować kielbasę i wiśniówkę, spożywać popioły barszczu z torebek z nieczytelnym angielskim przepisem, wystarczy robić klękę na meczach bokserskich i mdleć z zachwyty na występach „Mazowsza” — a im bardziej masowo i bezkrytycznie, tym lepiej.

„Żywsze zainteresowanie”, o którym pisze Władysław Chojnacki, da się jednak niewątpliwie zaobserwować na odcinku prac bibliograficznych. Najwymowniejszym jego dowodem jest wznowienie po „odwilży” wydawnictwa będącego wyraźnym odpowiednikiem przedwojennego „Wykazu druków polskich lub Polski dotyczących wydanych poza granicami Rzeczypospolitej”. Obecny tytuł brzmi: „Polonica zagraniczne. Bibliografia” (wydawana w formie rocznika przez Instytut Bibliograficzny Biblioteki Narodowej. Przedmowa do t. I za rok 1956, wydanego w r. 1960, określa wydawnictwo jako „pierwszy roczny dodatek

do Przewodnika Bibliograficznego"; prenumeratorzy tego ostatniego nie otrzymują go jednak automatycznie. Dlaczego? — tom II za lata 1957-8, wydany w lutym 1963 r., odpowiada wyraźnie na to pytanie: nakład wydawnictwa ukazującego się „na prawach rękopisu” wynosi... dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy! „Żywsze zainteresowanie” jest więc i na tym odcinku trudne do zaspokojenia. Dla porównania przypomnę że powielane materiały do bibliografii emigracyjnej w opracowaniu śp. Janiny Zabielskiej ukazały się w nakładzie dwukrotnie wyższym.

Krajowa bibliografia „Poloników zagranicznych” jest jednak wydawnictwem opracowanym na ogół bardzo sumiennie. Przy gromadzeniu materiałów oparto się o szeroki zestaw bibliografii narodowych, „Index translationum” itp. a w najbardziej interesującym nas wypadku wyzyskano zarówno materiały zebrane przez Zabielską, jak i kwartalne suplementy ukryte w wykazie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie („Books in Polish”). Zasięg, bardzo szeroki, obejmuje m.in. polonica ogłaszane w najbardziej nawet egzotycznych językach „narodów Związku Radzieckiego” (np. nowele Konopnickiej w jęz. tadżyckim). T. I (1956) wylicza 1224 tytuły (włącznie z czasopismami), t. II/1957-1958 — 2359. Materiał podany jest w układzie działowym, odbiegającym od przyjętego w „Przewodniku Bibliograficznym”. Zamiast „Marksizmu-leninizmu”, otwierającego przeglądy wydawnictw w wielu publikacjach Bibl. Narodowej — tu, jak w układzie dziesiętnym Dewey’a, działem I-ym jest „Księgoznawstwo” itd. Lenin sąsiaduje z Lankorońską i Lednickim w dziale „Historia. Polityka”. W spisie czasopism odnajdujemy bez trudu „Kulturę”, „Wiadomości” i kilkadziesiąt innych czasopism klasycznie emigracyjnych, a więc np. „Syrenę”, „Wiadomości Związku Polskich Federalistów”, biuletyn Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego itp.; wśród książek i broszur figurują „Cmentarze” Hłaski, przemówienia gen. Sosnkowskiego itp. Zarzuty kierować więc można jedynie pod adresem tajemniczej ekskluzywności wydawnictwa przeznaczonego najwidoczniej dla wąskiego grona odbiorców pewnych i wtajemniczonych.

Znacznie łatwiej dostępne są zestawienia bibliograficzne poloników w „Roczniku Literackim”. Ale i tu nakład 2253 egz. wydaje się zastanawiająco niski. Przypomnę historię tego ciekawego i pożytecznego wydawnictwa. Jest ono dalszym ciągiem przedwojennego „Rocznika”, który ukazywał się w latach 1933-39 pod redakcją naprzód prof. Zygmunta Szwejkowskiego, a następnie prof. Zofii Szmydtowej. Wznowiono go już w r. 1956, wydając pierwszy powojenny tom (za rok 1955) nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Redaktorką była nadal prof.

Szmydtowa, w skład komitetu redakcyjnego wchodził nadto Paweł Hertz i Tadeusz Zabłudowski — od r. 1961 także prof. Henryk Markiewicz i prof. Kazimierz Wyka. „Rocznik” za rok 1957 (trzeci z kolei) ukazał się z wielkim opóźnieniem w końcu r. 1962, przy czym, wbrew pogłoskom o bliskim ukończeniu druku już w r. 1958, rękopis „oddano do składania” dopiero w lutym 1962. Czyżby plotka o rozrzuceniu składu kryła w sobie ziarno prawdy? I czyżby aż tak drastycznej likwidacji domagały się naukowe omówienia emigracyjnych wydawnictw z literatury pięknej?

Tak czy inaczej, wbrew uparcie krążącym pogłoskom o pełnym obrazie dorocznego planu literatury polskiej jednej i niepodzielnej przed obliczem Języka Ojczystego, ukazał się obraz okaleczony i niepełny. Diabli biorą, gdy wertuje się 200-stronicowe rozwlekłe i jałowe omówienia przekładów z literatury obcych, skoro wgardliwym milczeniem ogarnięty jest „Traktat poetycki” Miłosa, „Obóz Wszystkich Świętych” Tadeusza Nowakowskiego, Goetel, Zahorska, Sułkowski. Jakąż ciężką odpowiedzialność biorą na swe sumienia nietyłe zrezygnowani (zapewne) naukowcy wydawcy „Rocznika”, ile ich anonimowi mocodawcy. Gdybyż zdać sobie mogli sprawę, jak zasadniczo wpływa to na ogólną ocenę sytuacji u obcych a życzliwych Polsce!

„Żywsze zainteresowanie” polonikami zagranicznymi znajduje w „Roczniku” wyraz niezmiernie skromny — w sumiennym, ale z natury rzeczy zwięzłym wykazie pozycji bibliograficznych opracowywanym przez Janinę Keckównę. Jednym z nielicznych odstępstw od zasady 100%-go przemilczania jest omówienie emigracyjnego „Wyspiańskiego żywego” pióra prof. Henryka Markiewicza.

Fakt, że koła naukowe kraju interesują się piśmiennictwem emigracyjnym pod kątem rejestracji bibliograficznej znajduje potwierdzenie w stosunkowo częstych i na ogół pochlebnych omówieniach „Bibliography of books in Polish or relating to Poland published outside Poland since Sept. 1st, 1939”, I-II, w opracowaniu Janiny Zabielskiej. Recenzenci krajowi, nie zdający sobie sprawy z warunków opracowywania tej bibliografii, chcieliby otrzymać ją w formie drukowanej kumulacji za możliwie najdłuższy okres (1939-1962) z indeksami i wykazem czasopism. Byłoby to istotnie, — ale jakże niewiele osób na Emigracji zdaje sobie z tego sprawę — utrwaleniem i pogłębieniem ogromnego wkładu pracy, wykonywanej, podobnie jak i bliski powielenia t. III (1958-1962) na marginesie obowiązkowych całodziennych zajęć bibliotecznych. Warto utrwalić na wieczną rzecz

pamiętkę, że śp. Janina Zabielska pracowała nad bibliografią w czasie dyżurów w Czytelni Naukowej, łącząc te prace z całokształtem opieki nad czasopismami bieżącymi, a niżej podpisana przejęła po Zmarłej pracę, by kontynuować ją w imaginacyjnych „wolnych chwilach”. Władysław Chojnacki zarzuca Zabielskiej uprzywilejowanie emigracji „wrześniowej” i traktowanie „po macoszemu” wydawnictw drukowanych w Niemczech Zachodnich oraz druków wydanych przez dawne emigracje zarobkowe. Zarzut, ten, teoretycznie słuszny, a skierowany pod adresem Zmarłej przed rokiem Autorki „Bibliografii”, da się odeprzeć przypomnieniem omówionych wyżej warunków pracy. Brak rąk do pracy i środków na ich opłacenie zmuszał do ustalenia pewnej hierarchii zadań: rejestracja produkcji wydawniczej emigracji politycznej wydawała się zagadnieniem ważniejszym i bardziej palącym od powtarzania za drukowanymi bibliografiami niemieckimi polonistów ogłoszonych w Niemczech Zachodnich, których spisy ukazują się nie tylko w ogólnej bibliografii państwowej, ale i licznych czasopismach slawistycznych i wydawnictwach specjalnych. Druki dawnych emigracji zarobkowych nasuwają trudności nie do przezwyciężenia. Są one w przeważającej większości tzw. dokumentami życia społecznego, dotyczącymi działalności parafii, związków, kół sportowych itp., adresowanymi do członków małej społeczności ludzkiej. Śledzenie ich wymaga olbrzymiej sieci korespondentów i żywej współpracy czasopism. Biblioteka Polska w Londynie nie ma na to środków i możliwości. Sprawa przedstawia się stosunkowo najlepiej na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie rejestrację polonistów amerykańskich zajmuje się na odcinku naukowym „The Polish Review” — a na odcinku społecznym A. Wolanin w „Polish American Studies”. Dzięki dr. W. Turkowi mamy pełny obraz polonistów kanadyjskich.

Dzięki niezmordowanym wysiłkom Jana Kowalika zarysowywać się także zaczynają coraz wyraźniej kształty produkcji wydawniczej w zakresie czasopism. Z rozdziałów ogłoszonych w dodatku tygodniowym „Ostatnich Wiadomości” w latach 1957-1962 układa się niezmiernie wartościowy katalog rozumowany, przynoszący obok danych bibliograficznych celne charakterystyki poszczególnych czasopism. Kowalik odnotował ich ponad 1700. Jeśli z cyfrą tą zestawimy ponad 13.000 druków nieperiodycznych zarejestrowanych dotychczas w Bibliotece Polskiej w Londynie — w tym co najmniej trzy czwarte „czystych” polonistów emigracyjnych — problem opracowania ich w ostatecznym drukowanym kształcie ujawni się w całej złożoności i znaczeniu.

Innym ważnym podsumowaniem (także i bibliograficznym) wielostronnego dorobku piśmienniczego Emigracji będzie poś-

więcone mu dzieło zbiorowe pod red. dra Tymona Terleckiego (w druku).

Opracowanie Stanisława Strumphy Wojtkiewicza pt. „Książka szła za emigrantem” jest raziącą i w najwyższym stopniu lekkomyślną próbą pomniejszenia i ośmieszenia tej olbrzymiej produkcji piśmienniczej zahaczającej o wszystkie dziedziny wiedzy i sztuki. Jest to tym smutniejsze i bardziej niepokojące, że wydawnictwo firmowane jest przez Ossolineum i włączone do popularnonaukowej serii, w której ukazały się poprzednio wartościowe prace o Wyspiańskim — „artyście książki”, zastosowaniu mikrofilmów itd. Redaktorem tomu był nieśpieszny wydawca Norwida, Juliusz Wiktor Gomulicki — a myśleć zaczynam, że może i dobrze, że nieśpieszny, skoro w książce Strumphy Wojtkiewicza roisię od błędów, opuszczeń, przeinaczeń, uproszczeń, fałszywych interpretacji i wszelkich innych odmian tandety pisarskiej. Nie koniec na tym: w skład „Kolegium redakcyjnego” wchodziła poza Gomulickim prof. Alodia Kawecka-Gryczowa, specjalistka od starych druków, oderwana najwidoczniej 100% od rzeczywistości i niejaki p. Mateusz Siuchniński.

Pozornym celem książki jest ukazanie „dramatów i błyskawic natury społecznej” związanych z „książką tułacza”, która stawiała się „ludzkim łącznikiem, heroldem, protestem, programem i dokumentem, ...wyrażającym olbrzymi zaiste ładunek intencji i zamierzeń”. Motto książki, zaczerpnięte z listu Mickiewicza w sprawie datków na Bibliotekę Polską w Paryżu, głosi, iż księżnica polska na obczyźnie — „to także punkt strategiczny”. Strumph Wojtkiewicz podejmuje tę myśl w sensie bardzo od Mickiewiczowskiego dalekim, ale niewątpliwie także strategicznym. Książka jego jest pozycją z której sypią się na Emigrację zatrute strzały podstępnej propagandy.

Wiemy już od dawna, że Emigracja, której jesteśmy częścią, jest zła, czarna, zgniła i przewrotna. Były jednak i to stara się nam Strumph Wojtkiewicz zilustrować przykładami — emigracje dobre, szlachetne, postępowe i godne uwagi. Choć i tu należy wystrzegać się uogólnień: ks. Adam Czartoryski i olbrzymi odłam Wielkiej Emigracji nadaje się np. znakomicie do piekielnego kotła, w którym smażyć się winni po społu redaktorowie „Kultury” i „Wiadomości”. Intencją autora jest nadto wykazanie, iż podstępna zmowa milczenia ukrywała przed ogłupionymi rodakami postępowe oblicze Wielkiej Emigracji. Książkę owiewa duch bohaterskiego pionierstwa: wydawać się może, iż autor jest odkrywcą istnienia Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, Ludu Polskiego, gminy „Grudziąż” itd. Dr Czesław

Chowaniec, dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu, włosy sobie chyba z głowy wyrzywa, widząc jaki przewrotny użytek zrobił autor opracowania z udostępnionych mu gościnnie zbiorów! Robi wrażenie, iż Strumph Wojtkiewicz sprowadzał na chybił-trafił wylosowane przez papugę numery katalogu i olśniony odkryciami zapisywał je na pudełkach od papierosów, które posłużyły mu następnie do ułożenia błyskotliwej całości, w której Jan Czyński i niesławnej pamięci major Bartłomiej Beniowski pasowani zostali na herosów Wielkiej Emigracji.

Autor nie zadał sobie natomiast trudu przeczytania podstawowych opracowań okresu Wielkiej Emigracji, a więc np. odpowiednich rozdziałów pióra Adama Lewaka w Lamowskiej „Polsce, jej dziejach i kulturze”, prac Handelsmana, Kukiela i Widderszala o działalności Czartoryskiego, — i stąd właśnie prymitywne i uporczywe oskarżanie „uprzywilejowanych panów”, którzy „za granicą trwonią dochody zapracowane potem swoich niewolników”. Zapomina, że wśród subsydiowanych przez Czartoryskiego byli ludzie o szerokim wachlarzu przekonań do najczervenniejszych włącznie i że Biblioteka Polska na Wyspie św. Ludwika zawdzięcza niejedną kamień w swoich murach anonimowym darom Zygmunta Krasińskiego i jawnym ofiarom wielu utytułowanych „wrogów ludu” z ks. Adamem i Władysławem Zamoyskim na czele. Stwierdzając ten stan faktyczny, nie zapominam o przeocznym przez Strumph Wojtkiewicza niewesołym okresie wykluwania się ostatecznego kształtu Biblioteki i towarzyszącym mu tragikomicznym konfliktom o stajnie i apartamenty Zamoyskiego.

XIX-wieczny emigracyjny Londyn uczęstowany został smakowitą cytata, która zdaje się przypadła szczególnie do gustu autorowi opracowania („Uprzywilejowanym miejscem brudów publicznych i niesnasek domowych był i jest dla nas bez pochyby Londyn; tam to kwiat „parszywego ogona” Polski zgromadził się cały i buja najswobodniej”, str. 223). Wyjęta z „Trzeciego Maja”, godzi w „republikanów polskich” miłych zasadniczo Wojtkiewiczowi; wysyłane przez niego pociski strategiczne mają jednak zazwyczaj cele dwojakie. Niedbałość opracowania występuje na odcinku angielskim w sposób szczególnie jaskrawy — tak np. widać jasno, że autor nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów produkcji XIX-wiecznej londyńskiej Oficyny Poetów Aleksandra Rypińskiego, cytując jeden tylko jej druczek i nie wspominając o reszcie, choć był to materiał *par excellence* przystający do teoretycznych założeń książki.

Przypomnijmy jej tytuł: „Książka szła za emigrantem”. Bo najwidoczniej już nie idzie. Rzecz doprowadzona jest do r. 1961 i kończy się patetyczną jeremiadą o zaniku czytelnictwa na Emi-

gracji i postępującym wynarodowieniu diatwy polskiej w Anglii.

Niekonsekwencje opracowania rzucają się na każdym kroku w oczy. Z 408 stron pierwszych pięćdziesiąt poświęcone jest autobiograficznym wspomnieniom autora o spotkaniach z książką polską w przedwojennej Rosji — jest to zdecydowanie najlepszy rozdział z istotnie wzruszającym wspomnieniem o akcji bibliotecznej wśród żołnierzy Polaków, odslugujących z poboru długą służbę wojskową w dalekich garnizonach kaukaskich. Rozdziały dalsze przypominają najstarsze wydawnictwa, w pewnym sensie istotnie „emigracyjne”, a mianowicie druki rakowskie, których jednak, o ile mi wiadomo, nie palono i nie konfiskowano w szlacheckiej Rzeczypospolitej Polskiej. Za druki emigracyjne uważać także trudno dzieła wybitnych autorów polskich, a więc np. Kromera czy Herburta, drukowane zagranicą w czołowych oficynach Zachodu. Autor zaplątał się tu zupełnie, a prof. dr. Alodia Kawecka-Gryczowa nie pofatygowała się go oświecić. Promieniowanie kultury polskiej na Zachód i *vice versa* jest zjawiskiem ciekawym, ale nie pokrywającym się z założeniami opracowania o tytule „Książka szła za emigrantem”.

Rozdział „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?” jest przejściem od Niemcewicza i Kościuszki do czasów Wielkiej Emigracji; towarzyszy mu pochwała Biblioteki Polskiej w Paryżu, w której „w zgodnej ciszy pracują obok siebie jedni i drudzy, ci, co nie wrócili, i przybysze z kraju”. Tu właśnie autor dokonuje „rewizji poglądów groźniejszej od rewizji politycznej czy celnej”.

Ponad połowę książki wypełnia *vie romancée* Wielkiej Emigracji, opracowane wspomnianą już metodą wyłapywania błyskotliwych cytat. Delikatność uczuć nakazuje autorowi pomijanie drażliwego tematu szmuglu książek emigracyjnych do kraju — pominął tę sposobność zarówno przy obu Mickiewiczach, Adamie i Władysławie jak i zadziwiająco pobieżnym omówieniu wydawnictw Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich — była wśród nich bardzo warta przypomnienia broszura Liebknechta „Czy Europa ma skończyć?” (1894) — drukowanych w postaci małych broszurek, typowej „bibuły” politycznej. Autor zbywa te ostatnie w kilku wierszach na str. 336-7.

Po przesadnie pesymistycznej ocenie księgozbiorów międzywojennych przeznaczonych dla emigracji zarobkowej, dochodzimy do końcowych czterdziestu pięciu stron poświęconych omówieniu produkcji wydawniczej emigracji w latach wojennych i po r. 1945. Rewelacja goni tu rewelację: dowiadujemy się np., że obok emigracji na Zachód istniała także „emigracja wschodnia, zarówno żołnierska, jak i polityczna” (str. 390-1). Dla zaspokojenia potrzeb duchowych tej emigracji „radziecki

Inozdat" w oparciu o Związek Patriotów Polskich w ZSSR wydawał masowo literaturę piękną (— o niepiękną, której znacznie więcej się ukazało, autor dyskretnie nie wspomina. Pamięta o „Nowych Widnokręgach” i „Wolnej Polsce” — zapomniał o po prostu „Polsce” i początkach „Orla Białego” — wspomnianego zresztą przelotnie wcześniej, co — jak się zdaje — zostało lekkomyślnie przeoczone przez cenzora).

Autor wzrusza się faktem, iż wiele wydawnictw wojennych ukazywało się w formie powielanej. Szkoda, że nie zilustrował tego reprodukcją czytanek szkolnych dla dzieci polskich, które bliżej nieznanym autorowi sposobem znalazły się w Persji lub Afryce.

Trudno rozróżnić się w pomieszaniu dat i nazwisk. Tak np. dowiadujemy się ze str. 382, iż (w czasie wojny?) „pisarze dawniej znani, jak Słonimski, Lechoń, Wierzyński, Tuwim, Baliński, Kuncewiczowa, Wańkowicz i in. odzywali się niekiedy bardzo silnym głosem”. Obok nich „wybiły się nazwiska młodszych, jak prozaików Teodora Parnickiego, Romanowiczowej, Bohdanowiczowej, poetki Terleckiej”. Stek niedokładności. Romanowiczowa „wybiła się” dobrze po wojnie, Bohdanowiczowa znana jest bardziej jako poetka, niż autorka przedwojennej powieści, Parnicki nie potrzebował się „wybijać”, bo zrobił to przed 1939, wydając w kraju „Aecjusza”. Poetka Terlecka, osoba b. miła, znana jest małej garstce przyjaciół i bibliografom; zdaje się jednak, iż nazwisko Terlecki występuje na Emigracji i to dość często w odniesieniu do pisarza wspomnianego przez Strumph Wojtkiewicza li-tylko w związku ze „Stratami kultury polskiej”, których był współredaktorem. Nie „wybili się” natomiast w ocenie dziejopisa książki emigracyjnej tacy np. pisarze, jak Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Andrzej Bobkowski, Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz, Marian Pankowski, Jerzy Pietrkiewicz, Tadeusz Sułkowski, Jan Brzękowski, Andrzej Chciuk, Czesław Straszewicz, Józef Mackiewicz, Ferdynand Goetel, Herminia Naglerowa, Zygmunt Nowakowski, Wacław Grubiński, Stefania Zahorska — cytuję patrząc na półkę, daleka od wyczerpania listy najoczywistszych przeoczeń (*deliberate mistakes*). Wśród pisarzy „dawniej znanych” brak Józefa Wittlina, który odzywał się też „silnym głosem” w pięknych wierszach wojennych. Brak — Marii Pawlikowskiej, o której jako nieboszczce pisać w teorii wolno. (Choć nie jest to zasada bez wyjątków, jak wskazuje przykład Herminii Naglerowej, Stefanii Zahorskiej i Goetla, pominiętego nawet w sumiennej nekrologii Grzegorzcyka w „Znaku”, choć znalazło się w niej miejsce dla pisarzy pomniejszych; — pominięty tam został też Retinger). Autor nie może tłumaczyć się niewiedzą — do emigracyjnych książek

tych autorów dotrzeć mógł łatwo w czasie dłuższego pobytu w Paryżu. Mógł także zacerpnąć o nich dane z bibliografii Zabielskiej, której kartę tytułową reprodukuje.

Jedną z najzabawniejszych kart książki Strumph Wojtkiewicza poświęcona jest deliberacjom na temat sposobu sfinansowania wydania „Najnowszej historii politycznej Polski” Władysława Pobóg-Malinowskiego. „Zauważmy — powiada — że wydanie trzech grubych tomów musiało kosztować masę pieniędzy. Imprezy wydawnicze tego rodzaju nie powstają z drobnych składów. Jakież czynniki tajemnicze sypnęły Pobóg-Malinowskiemu grubym groszem. W jakimże celu? Otóż, apelując do subskrybentów o dopłatę w załączonej do t. III ulotce autor zdradza nam, że chciałby „przekazać do kraju możliwie wielką ilość egzemplarzy darmowych”. Nie zajmując się więc dłużej tą brzydką sprawą, wnioskować wypada, że „Najnowsza historia” napisana została i wydana głównie po to, żeby w opinii krajowej przywrócić mit sanacji”. Prosto i jasno. Ex-pułkownicy, wśród których roi się od milionerów, sypnęli funtami i dolarami na propagandę BBWR-u!

Sztuczne założenia, na których opiera się książka Strumph Wojtkiewicza nie pozwalają mu na pogodzenie się z faktem, iż publiczność emigracyjna kupuje i subskrybuje książki. Uszedł jego uwagi fakt, że wpływy z prenumeraty umożliwiają egzystencję zarówno „Kultury”, jak i „Wiadomości”, że drogą subskrypcji sfinansowano takie np. przedsięwzięcia wydawnicze, jak wydanie zarysu dziejów porobiorowych Kukiela czy kilka tomów książek „żywych” poświęconych Mickiewiczowi, Krasińskiemu, Norwidowi, Wyspiańskiemu i Conradowi. „Pobóg-Malinowski” (— tak określa się potocznie książkę Zmarłego) nie traci pozycji *bestsellera*, jest jedną z nielicznych książek emigracyjnych, które w handlu antykwarycznym osiągnęły cenę wyższą od oryginalnej. Zakupują go skwapliwie przyjezdni z kraju za żałośnie skromne „waluty”, rezygnując z najbardziej ponętnych zakupów u Woolworth'a czy Marksa i Spencera.

Przy omawianiu okresu wojennego autor odstępkuje od zasady przemilczania sprawy infiltracji książek emigracyjnych do kraju, gdyż wspomina o „sekretniej poczcie w postaci mikrofilmów” i bagażu skoczaków spadochronowych. Nie poświęcił jednak ani słowa udzieleniu czytelnikom informacji, jak docierać mają nawet do nielicznych wspomnianych przez niego wydawnictw.

„Niegdyś — powiada — mieliśmy w emigracjach silne nurty postępowe i rewolucyjne”. „Tendencje monarchistyczne, konserwatywne istniały i bruździły, lecz nie decydowały o stanowisku społecznym tamtejszych emigracji; tymczasem podczas tułaczki ostatniej, pomimo jej stosunkowo znacznego „oświece-

nia" górę wzięły ostatecznie elementy zachowawcze, klerykalne, szowinistyczne". Powiedziawszy to — przechodzi lekkim krokiem do omawiania wydawnictw świetlanych i niezapomnianych, którym nie zarzucić nie można: do „masowo drukowanych książeczek Wandy Wasilewskiej i Janiny Broniewskiej” z ZSSR. Po wiem, jak ów chłopak, który po wydostaniu się z Rosji, orzekł, iż woli „kapitalistyczekij gniot”.

Zarty na bok. Książka Strumph Wojtkiewicza jest dokumentem ciemnoty, swoistych form szowinizmu, zlej woli i nieporządnej roboty. Jest „książka najgorsza” wśród wydanych przez Ossolineum. Kompromituje Kolegium Redakcyjne, pograża i tak już niejedno mającego na swym sumieniu autora. Jest jednak czymś więcej: jaskrawym przykładem programowego okłamywania czytelników w kraju. No tak, powiedzą sobie, były poza krajem jakieś próby podejmowania produkcji wydawniczej, ale to wszystko już przeszłość. Książka Strumph Wojtkiewicza jest podsumowaniem tego, co było, tego, co dogorywa.

A tu, w jednej tylko Bibliotece Polskiej w Londynie, przechodzi rocznie przez ręce czytelników ponad 50.000 wypożyczonych tomów, z których większość stanowi lekturę kilku osób, krążąc z rąk do rąk wśród sąsiadów lub kolegów w fabryce. W ciągu ostatniego dziesięciolecia cyfra wypożyczeń przekroczyła pół miliona; drugie tyle dają obliczenia z angielskich bibliotek publicznych, w których znalazły się zestawy książek z Centrali Bibliotek Ruchomych. Trzeci tom „Bibliografii” Zabielskiej, uzupełniany obecnie, przyniesie dalsze trzy tysiące tytułów wydawnictw polskich i dotyczących Polski wydanych poza krajem.

Zdradzić nadto mogę tajemnicę, że dobiegają końca prace nad bibliografią obrazującą wkład uczonych polskich poza krajem do nauki światowej. Jest to wykaz prac w językach obcych ogłoszonych w różnych „Proceedings”, „Actach”, oficjalnych wydawnictwach najpoważniejszych instytucji naukowych wolnego świata: uczeni polscy wykazać się mogą ponad 4.000 tytułami prac, z których każda jest legitymacją wysokiego poziomu naukowego. Pracy tej patronuje Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie — materiałów dostarczyli sami zainteresowani, masowo odpowiadając na rozsyłany im przez Towarzystwo i współpracujący z nim Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku kwestionariusz (1).

A tu krokodylowe łzy padają na naszą trumę! Psiakrew!!!

Maria DANILEWICZOWA

(1) Ci, którzy tego dotąd nie uczynili nadsyłać mogą nadal dane (lub odbitki prac) do Biblioteki Polskiej w Londynie, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

Węgierska odwilż

Wśród garstki węgierskich komunistów, którzy z emigracji wrócili do kraju znajdował się József Lengyel, pisarz w starszym już wieku. Jego powrót na Węgry w r. 1955 nie spowodował żadnych szczególnych komentarzy prasowych. Nawet wznowienie jego książki pt. „Ulica Visegradi” przeszło niepostrzeżenie. „Ulica Visegradi” (1) wydana po raz pierwszy w Związku Sowieckim 34 lata wcześniej — przedmowę do niej napisał Bela Kun — stanowi zbiór luźno powiązanych ze sobą obrazków z okresu krótkotrwałej węgierskiej sowieckiej republiki, w której pracach Lengyel brał czynny udział jako dziennikarz i organizator partyjny.

W ubiegłym roku Lengyel rozpoczął publikowanie wstrząsających krótkich opowiadań, opartych na własnych przeżyciach w ZSSR. Doświadczenia te były wyjątkowo ponure i przynębiające. Po krótkim okresie pracy partyjnej w Moskwie Lengyel został w roku 1937 aresztowany przez NKWD. Następne 18 lat (z dwudziestodwumiesięczną przerwą) spędził w więzieniach, łagrach i na przymusowym osiedleniu na Syberii. Opowiadania mają charakter autobiograficzny. Wprowadzają one nową tematykę do węgierskiej literatury: świat stalinowskich więzień i obozów.

Znakomita większość polskich czytelników świat ten zna aż za dobrze. Na Węgrzech jest jednak inaczej: z wyjątkiem pewnej liczby jeńców wojennych, tylko komunistyczni emigranci — tacy jak Lengyel — znają te obozy od podszewki. W okresie poprzedzającym XX Zjazd Partii nie wolno im było ujawniać tego co widzieli. Obecnie ludzie ci zaczynają mówić swobodnie, bez strachu przed represjami. Ludzie ci, mówienie prawdy o przeszłości uważają za swój moralny obowiązek. Lengyel stale podkreśla, że jest komunistą. Jego bezkompromisowa postawa i absolutna szczerość powodują, że jego twórczość jest zarazem fascynująca i wzruszająca.

Na początku Lengyel ogłosił opowiadanie o losie starego naukowca w czasie czystki (fragment opublikowało krakowskie „Życie Literackie”, 7 kwietnia 1963). Profesor Adrian, człowiek o gwałtownym charakterze, został aresztowany i torturowany — żądano aby przyznał się do zbrodni przeciwko państwu. Nie chce on podpisać fałszywego zeznania, mimo iż wielu jego towarzyszy więziennych, zdając sobie sprawę, że czystka jest

(1) W jednym z domów na ulicy Visegradi w Budapeszcie powstała węgierska partia komunistyczna.

całkowicie irracjonalna i nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością, podpisał zeznania, aby uchronić swoją skórę. Profesor jest zbyt uczciwy by zgodzić się na tego rodzaju kłamstwa, na obciążanie innych fałszywymi zeznaniami — fakt, który go z góry skazuje na śmierć. Pewnego dnia znika — nikt nie wie jak i w jakich okolicznościach umiera. Opowiadanie kończy się tym, że autor dowiaduje się o rehabilitacji profesora po XX Zjeździe Partii.

Następną, bardzo interesującą pracą Lengyela jest nowela „Od początku do końca”, która daje prawie kompletny obraz przejść Lengyela od chwili jego aresztowania aż do uwolnienia. Opowiadanie jest zadeptykowane komunistycznemu ruchowi poprzez fikcyjną postać György Nekeresdi (Jerzy Nie-szukaj), „który wiedział, że rewolucja raz jeszcze wygra walkę o ludzką godność”.

Autor zaczyna od swego dzieciństwa i od powodów, jakie skłoniły go w młodości do obrania drogi rewolucyjnej: „Mój chleb mi nie smakuje tak długo, dopóki są ludzie, którzy nie mają chleba dosyć”. Jego lata emigracji (Wiedeń, Berlin, Moskwa) zostały pominięte; następnie spotykamy go w więzieniu w czasie czystki. Dwieście siedemdziesiąt osób stłoczonych w celi, mieszczącej zaledwie dwadzieścia siedem żelaznych łóżek.

„Przez dwa tygodnie znajdowałem się w takim miejscu, gdzie chleb, rano świeży, w południe był pokryty pleśnią, wytwarzaną z ludzkich oddechów i gorąca, w tym hermetycznym pomieszczeniu, w którym zimna woda parowała, a gorąca nie wydzielala pary. Wiele rzeczy działo się na opak — powodowało to u niektórych ataki serca, inni wariowali”.

Życie w obozach jest odmalowane z drobiazgowym realizmem. Najpierw Lengyel kopie a raczej wykuwa groby w zamrzniętej ziemi, ciężka to praca, ale otrzymuje w zamian królewskie wynagrodzenie — 700 gramów chleba dziennie. Pewnej nocy więźniowie zostają obudzeni i otrzymują rozkaz zebrania drzewa do kuchni. Na zewnątrz jest 45 stopni mrozu — rękawiczki i buty nie chronią przed zimnem. Autor zachorował. Wie, że będzie musiał przejść na rację wyżywienia dla chorych — tylko 400 gramów złego, mokrego chleba — wie, że nie będzie mógł przeżyć. Ku jego zdziwieniu ratuje się dzięki dobrej woli kucharza, który wyznacza go do uprzywilejowanej grupy w obozie — do obieraczy kartofli.

Centralnym zagadnieniem więźniów jest głód. Nigdy nie ma dosyć jedzenia, a ponadto nawet te niewielkie racje, które otrzymują, są często wyrwane więźniom przez kryminalistów. Najbardziej więc wstrząsające strony opowiadania poświęcone są walce więźniów z wszechobecnym głodem — jedzą wszystko to, co mogą zdobyć: wodę z rozmoczonym chlebem, makuchy, obierzyny z kartofli i najgorsze ze wszystkiego — trawę. Wiosną więźniowie zrywają pęki trawy i gotują ją w słonej wodzie.

Lengyel woli pusty i boleśnie skurczony żołądek od chwilowej przyjemności tych namiastek jedzenia. Wyjaśnia: „Przeglądałem się miłemu, inteligentnemu, pięknie zbudowanemu historykowi sztuki o nerwowych palcach, który zwariował i zmarł po kilku miesiącach — w okresie zrywania i jedzenia trawy”.

Pod koniec 1946 roku, w wiele miesięcy po wygaśnięciu wyroku, Lengyel zostaje uwolniony. Usiłuje dostać się z powrotem do właściwej Rosji, gdzie ma znajomego Węgry, mieszkającego w miasteczku Aleksandrow. Na stacji kolejowej trafia na przerażającą sytuację: wszystkie przechodzące pociągi są pełne, bilety się nie sprzedaje, a poczekalnia zapchana jest zrozpaczonymi, wynędzniałymi ludźmi, z których niektórzy wróciliby raczej do obozu, z którego zostali zwolnieni, tak dotkliwie było oczekiwanie w nieskończoność w dotkliwym zimnie.

W końcu nadchodzi „Wesoły 508” — pociąg dla zwolnionych kryminalistów — i szczęście uśmiecha się do Lengyela. Dostaje miejsce pomiędzy chuliganami. Pełna przygód podróż, która trwa trzy tygodnie i w końcu pociąg dojeżdża do Aleksandrowa. Lengyel znajduje jakieś zajęcie, ale po paru miesiącach jest jeszcze raz zesłany na Syberię — tym razem jako „wolny człowiek” z pełnymi prawami sowieckiego obywatela (!), z wyjątkiem jednego: nie wolno mu zmieniać miejsca pobytu. Latami pracuje jako palacz, potem jako pastuch, wreszcie jako gajowy. Zarabiał na codzienny chleb, ale stracił — może na zawsze — spokój ducha.

Ze względu na podobieństwo tematyki, Lengyel jest często porównywany z Sołżenicynem; porównanie to już raz stało się argumentem przeciwko pisarzowi. Krytyk gazety „Magyar Nemzet” zaatakował bowiem nowelę „Od początku do końca”: „Zamiarem (pisarza) było lustro odbijające całą prawdę, ale pisarz tylko osiągnął odbicie krzywego zwierciadła, w którym można zobaczyć jedynie część prawdy”. Ta oportunistyczna frazeologia została napiętnowana przez starego komunistycznego intelektualistę, który broniąc szczerości Lengyela — oświadczył: „Nie wystarczy obalenie kultu jednostki; istnieje potrzeba głębszego i szerszego wytłumaczenia warunków w których się zrodził i mógł trwać” (2).

Ostatnie zdanie charakteryzuje atmosferę destalinizacji na Węgrzech. od XXII Zjazdu Partii węgierskie życie kulturalne zmierzało powoli w kierunku uzyskania większej samodzielności, pisarze korzystali z większej swobody w ujawnianiu zbrodni i wypaczeń przeszłości. Ostatnie prace Lengyela, a szczególnie „Od początku do końca” nie mogłyby się ukazać w żadnym innym kraju Europy Wschodniej — może z wyjątkiem Polski. (Chociaż obozy stalinowskie są tam obecnie jednym z kilku tematów tabu, których pisarze starają się unikać).

Prace Lengyela są ważne nie tylko z politycznego punktu widzenia. Tych kilka jego opowiadań stanowi już trwałą pozycję w węgierskiej literaturze.

György GÖMÖRI

"Kostro l'exquis"

Guillaume Apollinaire doczekał się polskiej biografii (1). Prosił się o to od dawna. Z wielu powodów. I dlatego, że w poezji, w całym ruchu artystycznym początku tego stulecia zajmuje ważne miejsce, jedno z miejsc kluczowych. I dlatego, że jest postacią wyjątkowo bogatą, malowniczą, pełną kontrastów i wdzięku, aż napraszającą się pod pióro. I wreszcie — *last but not least* — dlatego, że naprawdę nazywał się: Wilhelm, pięciorga imion, Kostrowicki a jego pseudonim pisarski powstał z francuskiej wersji pierwszego: Guillaume (Wilhelm) i ostatniego imienia: Apollinaire (Apolinary). W jakiejś mierze uważał się za Polaka, łączył patriotyzm francuski, fanatyczną miłość francuszczyzny i wszystkiego co francuskie, z poczuciem polskiej domieszki w swojej krwi.

Julia Hartwig traktuje temat polskości swego bohatera z umiarem, bez szowinizmu, lecz także bez fałszywego wstydu. Wierna przeświadczeniu, że w osobowości tak wielopłaszczyznowej, migotliwej, iryzującej, nie należy pominąć niczego — nie pomija również tego odcienia. Sam Apollinaire nie szczędzi zachęty. W jego pismach, listach, odezwaniach się jest mnóstwo napomknąć, butad, wyznań dotyczących sprawy pochodzenia. Przewijają się przez nie strzępy wiedzy o Polsce przejęte od matki. Wśród wielkiej plejady jego przyjaciół są artyści pochodzący z Polski: Zak, Kisling, Markus; w stosunkach z nimi Apollinaire posługiwał się jakąś szczątkową, zabytkową polszczyzną, choć Markusowi wymyślił arcyfrancuski pseudonim „Marcoussis”. Tragikomiczne zamieszanie w kradzież „Monny Lizy” z Luwru w r. 1911 dało jednemu z pism okazję do ogłoszenia takiego sensacyjnego tytułu: „Polak Kostrowicki na czele wielkiej międzynarodowej szajki złodziei dzieł sztuki”. Podczas pierwszej wojny, służąc ochotniczo w wojsku francuskim, pisał do jednej ze swoich miłosnych korespondentek: „Cieszę się do głębi, że jestem żołnierzem; trzeba nam teraz wszystkiej energii, zwłaszcza energii polskiej. Moja Polska to kraj, który najbardziej ucierpiał od wojny. Gdyby moje poświęcenie mogło go uratować, chętnie bym

(1) Julia Hartwig: „Apollinaire”. Warszawa 1962. PIW. Str. 452.

się posłużył moim wielkim kanonierskim batem. Jesteśmy najszlachetniejszą i najbardziej nieszczęśliwą, ale i najdzielniejszą rasą świata. Nie trzeba kłamać swojej krwi”. Innej korespondentce w taki sposób objaśniał herb rodzinny: „Waz wymawia się jak wonsz co znaczy Wąż”. Większą wagę ma takie wyznanie: „Trzech jest dziś Polaków znanych w literaturze, a żaden z nich nie pisał po polsku: Conrad w Anglii (ma talent), Przybyszewski w Niemczech i ja we Francji”.

Nie należy tego brać zbyt dosłownie i zbyt solennie. Licząc procentowo, Apollinaire może być uznany za ćwierć-Polaka. Jego dziad, emigrant polistopadowy, był ożeniony z Włoszką i po konfiskacie dóbr pod Nowogródkiem schronił się w ojczyźnie żony. Jego ojciec, zresztą nielegalny, był także Włochem, wyższym wojskowym z arystokratycznej rodziny o pięknie brzmiącym nazwisku Flugi d'Aspermont (pani Hartwig przyjmuje tę wersję najprawdopodobniejszą, niedawno ustaloną przez Marcela Adéma — przeciw całemu fantastycznemu korowodowi pretendentów do tego ojcostwa, wśród których jest kardynał, książę Monaco, „Orlątko”, a nawet własny dziad Apollinaire'a). Dzieciństwo upłynęło mu na pograniczu włosko-francuskim. Krótkie życie, któremu nie było dane dobić do czterdziestki, bujnie i szumnie przeżył w Paryżu. Matka, pani Angelika Kostrowicka, była poddaną cara, jej syn niedługo przed śmiercią uzyskał gorąco upragnione obywatelstwo francuskie.

Polskość stanowiła dla Apollinaire'a jeszcze jedno *curiosum* w kolekcji egzotycznych przedmiotów, którymi się otaczał, rzadkich książek, które namiętnie zbierał. Była jeszcze jedną uroczą kokieterią, intrygującą mistyfikacją z bogatego i ciągle wzbogacanego repertuaru. Ale właśnie biografia Julii Hartwig dzięki swojej wszechstronności, dzięki wczuciu się w psychikę i jej wyraz poetycki ujawnia w nich głębinowe, powrotne, przeciągłe dźwięczne kontrastowe tonu. Ten żywiołowy południowiec, namiętny sensualista był melancholikiem. Słowo „tęsknota” (czy nawet „tęschnota”) przystaje do niego równie ściśle jak do innego, francusko-polskiego, mieszańca — Chopina. Wydobycie tej tonacji, jej związanie z podłożem psychicznym czy psychofizycznym jest jedną ze zdobyczy polskiej biografii Apollinaire'a.

Ale nie jest to tylko biografia człowieka i pisarza. Jest to również rysopis środowiska i obraz epoki. Pani Hartwig stale wpisuje swego bohatera w szeroki kontekst historyczny, pokazuje go w tłumie, w tle, w głębi perspektywicznej. Nieraz posuwa się w tym tak daleko, że traci go z oczu. Ciężba przywołanych postaci jest tak wielka, barwność pokazanych środowisk zwłaszcza malarskich i malarsko-poetyckich („Bateau-Lavoir” na Montmartrze, kwatera bojowa młodego Picassa, i „La Ruche” na Montparnassie) tak przykuwa wzrok, że nawet okaz o korpulencji cielskiej i duchowej, o woli skupiania na sobie uwagi i zdolności podobania się, o hojności uczuciowej i intelektualnej Apollinaire'a gubi się od czasu do czasu. Część winy za to ponosi autorka. Po-

rusza się po Paryżu pierwszych dwóch dziesiątków wieku, po jego bulwarach, w jego knajpach i pracowniach i salonach, w jego ustroju myślowym i obyczaju, podziałach i napięciach, dążeniach i zdobyczach ze swobodą całkowitego zadomowienia, wie dużo i często chce powiedzieć zbyt dużo. Stąd nadmiar szczegółów dotyczących np. Alfreda Jarry, „genialnego szubaka”, „genialnego opryszka literatury”, którego życie jest jedną wielką, fascynującą anegdotą, niepozbawioną głębszych znaczeń. Jeśli dywagacje o absynce z kroplami czerwonego atramentu można usprawiedliwić udziałem twórcy „Króla Ubu” w kształtowaniu osobowości Apollinaire’a, dwa wtręty o Reverdy’u są wprowadzone już całkiem mechanicznie („niech mu będzie złożony hołd za jego pionierstwo bodaj na marginesie słów o Apollinaire’ze”).

Te pokusy i niebezpieczeństwa zmniejsza druga metoda, którą można by nazwać metodą luster. Biografka konfrontuje swego bohatera z coraz to inną indywidualnością i dynamiką twórczą, pokazuje go w zderzeniach i związkach z nimi, w kontrastach i podobieństwach. Przez książkę przewijają się dziesiątki epizodów Apollinaire — Moréas (kapitałnie odmalowany), Apollinaire — Jacob, Apollinaire — Delaunay, Apollinaire — Léger itd. a przede wszystkim Apollinaire — Picasso. Ten ostatni epizod sumuje formuła: „Wieloletnia przyjaźń, tak owocna we wspólne wpływy, tak pożyteczna dla obu, tak twórcza, a poza tym tak szczerą i niefrasobliwą”.

Dzięki metodzie luster wychodzi w całej pełni na jaw wielopłaszczyznowość Apollinaire’a. Był to rzeczywiście i w stopniu bodaj wyjątkowym *l’homme à facettes*, człowiek o niezwyklej darze porozumiewania się i rozumienia, wsłuchiwanie się w innych i zdobywanie posłuchu dla siebie.

Takie portrety dwudzielne, dwójportrety, portrety grupowe są jakby z ducha przedstawianej epoki; malowali je i Picasso i Rousseau, „celnik” i największa, najbardziej nieszczęśliwa miłość Apollinaire’a, Marie Laurencin. W autorce jego biografii zdradzają one niespospolitą wiedzę literacką, wrażliwość plastyczną, wyobraźnię, talent chwywania cech charakterystycznych, odwzorowywania, sugestywnego wywoływania ludzi. Oto dwie próbki dotyczącego samego Apollinaire’a: „Wielka głowa, profil Cezara, drobne, pełne usta i olbrzymie oczy, ciemne jak śliwki, słodkie i przenikliwie liryczne”. „Pobladała twarz, długa jak jajo, z czarnymi przecinkami brwi, ciężkimi powiekami, drobnymi ustami i długim nosem, twarz jakby trochę zdegenerowana genialnego chłopca”.

Psychologiczna dociekliwość, kobieca intuicja pani Hartwig triumfuje w przedstawieniu uczuciowego życia Apollinaire’a. Jej stosunek do tych spraw jest bardzo francuski, po ludzku zaciękawiony tym co ludzkie, pozbawiony pruderii i jednocześnie wzorowo delikatny. Cztery historie — nieszczęśliwa miłość do angielskiej pastorówny-guwnantki, która uciekła przed tym uczuciem aż na drugi, amerykański brzeg Atlantyku; jeden z najbar-

ziej dramatycznych, najgłośniejszych romansów epoki, związek z Marie Laurencin; dwa epizody wojenne: przelotna, ale burzliwa, poetycko płodna pasja do pięknej, kapryśnej arystokratki i korespondencyjne narzeczeństwo z młodziutką nauczycielką nawiązane na dystansie dzielącym okopy z Szampanii od Oranu — każda z tych historii jest oświetlona inaczej, uchwycona w swojej odrębności i niezwykłości (stosunkowo błado rysuje się w tej galerii żona poety, „Piękna Rudowłosa”, która wypełnia okres ostatnich dwóch lat życia, między „gwiazdą krwi u czoła”, raną od odłamka a śmiercią w Paryżu święcącym koniec wojny i zwycięstwo). Autorka oczywiście zna całą dokumentację dotyczącą tej dziedziny, jak zna całą, dziś już bogatą „literaturę przedmiotu”, lecz jej ujęcie ludzi i przebiegów duchowych jest oryginalne, w wielu szczegółach wykracza poza to co napisano w języku francuskim.

Książka pani Hartwig jest książką biograficzną. Twórczość stanowi tu część życia, część człowieka, część losu. Służy do wyjaśnienia życia, człowieka i losu, nie jest wartością autonomiczną. Ale mimo to profil pisarski Apollinaire’a, jego odrębność jako twórcy, jego pozycja historyczna rysują się dosyć wyraźnie. Tkwił on głęboko w tradycji literackiej i mimo złożenia podpisu pod manifestem futurystycznym nigdy od niej nie odszedł. Zaczął pod znakiem symbolizmu od liryki na wskroś i przejmując osobiste. Później pierwszy czy jeden z pierwszych uśłował poetycko uchwycić współczesność z jej wynalazkami, jej odrębnym tętnem i tempem. Pod działaniem bodźców idących do współczesnej sztuki malarskiej podjął odnowę środków poetyckich. Wiersz „Okna” przez jednoczesne ukazanie rozmaitych planów rzeczywistości może być uznany za odpowiednik kubizmu w poezji. Niektóre eksperymenty Apollinaire’a jak „Calligrammes”, wiersze w kształcie rysunków, ideogramy liryczne, zapłodniły raczej film i plakat, niż poezję. Ale „Strefa” stała się poematem pokolenia, liryka wojenna i miłosna zabrzmiała niebywałymi akcentami, a szyderczo-groteskowa proza „Poety zamordowanego” poddała literaturze ton na całe lata. Po śmierci Apollinaire’a dadaści i surrealiści uważali go za swego patrona, utrzymywali, że gdyby żył, byłby z nimi (istotnie użył on pierwszy słowa „surrealizm” ale w innym znaczeniu). Prekursorską obecność tego tradycjonalisty-nowatora można dostrzec w niejednym zainteresowaniu i dążeniu literatury dzisiejszej.

Najslabszą stroną książki pani Hartwig stanowi kompozycja. Spina ją klamra: wstęp i zamknięcie, złożone kursywą, relacjonujące bezpośrednie zetknięcie z dwoma świadkami życia Apollinaire’a. To co mieści się pośrodku, a więc właściwy trzon książki, narósł w sposób chaotyczny; stoje przecinając się w nim, mieszają i wzajemnie zamazują. Można autorce darować, że na początku jakby się wahała w wyborze formy między powieścią i opowieścią biograficzną, między *vie romancée*, a rzeczową relacją historyczną. Gorsze jest to, że nie zdobyła się na jasną decyzję co do

układu. Zaczyna od początków paryskich Apollinaire'a po to by się cofnąć do jego śródziemnomorskiego dzieciństwa i takim zygzakowatym torem prowadzi go do końca. Najgorsze w tym są kołowania, nawroty do tej samej sprawy, te same informacje wracające w rozmaitych miejscach, a nawet te same cytaty.

Stosunek Apollinaire'a do kubizmu był niewątpliwie drugą ośrodkową sprawą jego życia. Zapisał się on jako poeta, inicjator nowej poezji i jako Jan Chrzciciel, prostowacz ścieżek, teoretyk, obrońca, propagator sztuki kubistycznej. Pierwszy zbiór poezji „Alcools” i książka „Peintres cubistes” noszą tę samą datę wydania: rok 1913 i mimo że o kubizmie napisano od tego czasu całą bibliotekę, książka Apollinaire'a pozostała jego „biblią”, zachowała świeżość do dzisiaj. Ale tę sprawę pani Hartwig oświeśla kilku, bez mała dziesięciu nawrotami. W rozmaitych rozdziałach powtarza to samo, niekiedy popada w sprzeczność z tym co powiedziała poprzednio. W sumie jeden z głównych motywów życia nie zabrzmiał w książce pełnym tonem, zmienił się w brzęczący refren, którego kolejny nawrót nie wzbogaca zawartej w nim treści.

Mimo tych braków „Apollinaire” Julii Hartwig jest niebyłym jakim dokonaniem pisarskim. Pociąga bogactwem szczęśliwej inwencji stylistycznej. Imponuje tym co stanowi główny sens biografistyki — wywołaniem żywego człowieka. Tradycjonalista, miłośnik dawności i jeden z największych wywrotowców w sztuce, fantazjusz, nieznużony żartowniś i liryk obnażający się do rdzenia duszy, redaktor „Przewodnika Rentiera”, autor dość nieprzystojnych powieści i znawca markiza de Sade (na długo przed jego dzisiejszą sławą), niestrudzony *causeur*, mistrz rozmowy i żywiołowy epistolograf, smakosz i żarłok, łazik i szperacz przesiadujący długie godziny w paryskiej Bibliothèque Nationale, długie godziny trawiący nad skrzynkami nadsekwanskich bukinistów, cygan, przyjaciel malarskiej bohemy i mieszczuch dbający o ład w swoim mieszkaniu, „oddany przyjaciółom ze skórą i kośćmi, we wszystkim pełny, wesół aż do stanu euforii i nieszczęśliwy aż do odrętwienia”, „wspaniałomyślny i drobniagowy zarazem, dusza bogata i ułonna, najbardziej godna miłości” — jawi się Apollinaire w tysiącu kontrastów, tysiącu mgnięć i błysnień. Jego polskiej biografce udało się pokazać osobowość mieniającą się niezliczonymi barwami jak opal i pod tą urzekającą migotliwością odsłonić ciemne, tragiczne dno duszy i losu. Dzięki zżyciu się z obraną postacią i współczesną jej epoką udało się wywołać niepowtarzalny, niczego nieprzypominający urok, który niewolił ludzi, który każe i dziś raz po raz powtarzać przezwisko nadane Apollinaire'owi przez przygodnych towarzyszy życia koszarowego w Nîmes: „Kostro l'exquis” — wyborny, wyśmienity, zachwycający Kostrowicki.

Tymon TERLECKI

Nadeślane nowości wydawnicze

- PARNICKI (Teodor). *Tylko Beatrix*. Powieść historyczna. Str. 412. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1962, cena zł. 45).
- BRANDSTAETTER (Roman). *Dzień gniewu*. Dramat. Str. 133 i 3 nłb. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1962, cena zł. 20).
- ZAJĄC (Józef L.). *Przestrzeń w obrazach*. Str. 103-130. (Odbitka z pisma „Estetyka”. Warszawa, 1962, R. 3).
- Św. Tomasz z Akwinu. *Suma Teologiczna*. T. 22. Umiarkowanie. (2-2, qu. 141-170). Str. 381 i 3 nłb. Przełożył i objaśnieniami zaopatrzył ks. Stanisław Belch. (Wyd. „Katolicki Ośr. Wyd. Veritas”, Londyn, luty, 1963).
- DZIECIOŁ (Witold). *Imperium i państwa narodowe około r. 1000*. Str. 313 i 1 nłb. (Wyd. „Katolicki Ośr. Wyd. Veritas”, Londyn, luty 1963, cena 20 sh.).
- BROCK (Peter). *Geneza ludu polskiego w Anglii*. Materiały źródłowe. Str. 320. (Skład Główny B. Świdorski, Londyn, 1962).
- Niepodległość*. Czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski. Tom siódmy (po wznowieniu). Str. 299 i 1 nłb. (Wydaje Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej Historii Polski, Londyn-New York, 1962).
- Październik 1956*. Str. 90 i 6 nłb. (Wyd. Instytut Badania Zagadnień Krajowych, Londyn, 1963).
- POMORSKA (Edwige). *Nous les avons tant attendus! Pièce en trois actes et quatre tableaux*. Pp. 186 i 6 nłb. (Ed. du Scorpion coll. „Feux de la Rampe”. Paryż, 1963).
- BALDWIN (James). *Fire next Time*. Str. 120 i 8 nłb. (Wyd. The Dial Press, New York, 1963, cena dol. 3,50).
- MANDEL (Arnold). *La voie du hassidisme*. Str. 276 i 12 nłb. (Wyd. Calmann-Lévy, Paryż, 1963, cena F 12,90).
- TERTZ (Abram). *Fantastic Stories*. Str. 214. (Wyd. Pantheon Books a Division of Random House, New York, 1963, cena dol. 3,95).
- STEHLE (Hansjakob). *Nachbar Polen*. Str. 416. (Wyd. S. Fischer Verlag, Frankfurt/M., 1963).
- RUDNYC'KYJ (J.B.). *An Etymological Dictionary of the Ukrainian Language: Part 1* — str. 96 (r. 1962); *Part 2* — str. 97-192 (r. 1963). (Wyd. Ukrainian Free Academy of Sciences, UVAN, Inc., Winnipeg, Canada).
- WULF (Joseph). *Die Bildenden Künste im Dritten Reich*. Eine Dokumentation. Str. 413 i 5 nłb. (Wyd. Sigbert Mohn Verlag, Gütersloh, 1963).
- WULF (Joseph). *Aus dem Lexicon der Mörder „Sonderbehandlung” und verwandte Worte in nationalsozialistischen Dokumenten*. Str. 110 i 2 nłb. (Wyd. Sigbert Mohn Verlag, Gütersloh, 1963).
- Tautos Praeitis. *The Past of Nation*. Istorijos ir gretimųjų sričių neperiodinis žurnalas. Lithuanian Historical Magazine. Tomas I. Knyga 4. Str. 501-659. (Wydawca C. Grincevicius, Chicago, Ill. 1962).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Threat and Opportunity in the Communist Schism*. Str. 513-525. (Odbitka z „Foreign Affairs”, April 1963).
- LEWYTYZKYJ (Borys). „Die Schwepunkte der sowjetischen Arbeitsreservenpolitik”. Str. 109-122. (Odbitka z „Oesterreichische Ost-Hefte”, 2/1963, Wiedeń).

Pranumerujeie

ZESZYTY HISTORYCZNE

OD IŁOŚCI PRENUMERAT ZALEŻY CZY BĘDĄ
MOĞŁY UKAZYWAĆ SIĘ CO KWARTAŁ

Przypominamy że prenumeratorzy „Kultury” korzy-
stają z 50% zniżki placąc za abonament roczny (dwa
Zeszyty) cenę jednego zeszytu, która wynosi
15 F. (22 sh.; dol. 3,00)

IV ZESZYT HISTORYCZNY
ukaze się w sierpniu

Listy do Redakcji

Londyn, 12 kwietnia 1963 r.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Niech Pan wybaczy, że dopiero teraz — z racji wyjazdu na kontynent — odpowiadam na trzy listy zamieszczone w nrze marcowym „Kultury”, a dotyczące moich „Notatek z Czasów Wojny” (listopad, 1962). P. Paweł Starzeński ma rację: min. Beckowi towarzyszyli w podróży do Londynu Józef Potocki, Doman Rogoyski i Paweł Starzeński a nie, jak podalem, Łubieński i Bodeński. Mój zapis był niedokładny. Natomiast nie pomyliłem się co do osoby Zbyszewskiego: Wacława posłano do wojska na tle „przewinienia”, o którym wspominam w moich notatkach, natomiast Karol był — o ile wiem — w Brygadzie Podhalańskiej, brał udział w walkach wokół Narviku, a potem znalazł się w oddziałach w Szkocji.

Co do listu p. Włodzimierza Popławskiego, to istotnie jego atak na pisarzy polskich w kraju pojawił się w londyńskim „Dzienniku Polskim” w r. 1945, a nie w r. 1947. Z resztą jego wywodów nie zamierzam polemizować, albowiem do polemiki trzeba przede wszystkim zachowania prawideł sztuki polemicznej i pewnego poziomu. Tych zalet p. Popławski dalej nie zdradza.

Co do listu p. Krzysztofa Bauer-Czarnomskiego, który stara się bronić opinii politycznych swojego śp. ojca, to przytaczałem dosłownie Jego wypowiedzi, które były typowe dla ludzi osiadłych od lat w Anglii, a nieznających Niemiec hitlerowskich z autopsji. P. Czarnomski jr. zarzuca mi, że moje „Notatki” nic nowego nie wnoszą do naszej wiedzy o okresie, którego dotyczą. Otóż ogłosiłem je dlatego tylko, że wielokrotnie moi znajomi, którym opowiadałem rozmaite incydenty z czasów wojny zapytywali mnie, dlaczego nie ogłoszę swoich wspomnień? Widocznie uważali, że wnoszą one coś nowego — chociaż na pewno bardzo niewiele — do tych tragicznych dziejów. P. Czarnomski jr. może sprawdzić w krótkim przedśłowiu do moich notatek jak skromnie oceniam ich rolę. Poza tym myli się, gdy pod koniec swojego listu głosi, że notatki te są publicystyką i że brakuje im do publicystyki pewnych danych, m.in. skromności. Otóż p. Czarnomski jr. nie rozróżnia gatunków: moje notatki nie są publicystyką, ale prozą pamiętnikarską nie roszczącą sobie żadnych pretensji do literatury (są one poza tym tylko fragmentami większej całości). Jeżeli chodzi o publicystykę, to uprawiam ją chyba od r. 1934 kiedy znalazłem się na stałe zagranicą i p. Czarnomski jr. może się z nią zapoznać przez rzut oka na przedwojenne i wojenne — jak i powojenne — „Wiadomości”, liczne dzienniki czasopisma polskie i brytyjskie. O wartości moich sądów i ocen wypowiadała się wcale szeroko krytyka angielska kilka razy w czasie wojny od chwili gdy w r. 1946 pojawiła się moja książka angielska „After Hitler” pod pseudonimem Axel Heyst. Ocena tej książki wtedy była doskonała, a „Times Literary Supplement” umieścił ją wśród trzech najwybitniejszych książek politycznych roku. Podobny sąd wyrażono o „Wanted — A New Vision” z r. 1941 i „There Shall Be No Victory” z r. 1947, która stanowiła mój angielski pamiętnik lat wojennych. Krytyka angielska uznawała

nieraz trafność moich przewidywań politycznych nazywając np. trzecią moją pracę polityczną *a prophetic book*.

Nie chciałem bynajmniej wykazywać nieomyślności moich sądów w niewątpliwie „wyselekcjonowanych” notatkach (musiałem je ograniczyć do minimum, ażeby je w ogóle ogłosić). W notatkach moich uznałem lojalnie trafność przewidywań takich ludzi jak ambasador Raczyński, jak Antoni Słonimski, jak Jan Erdman, jak Wacław Zbyszewski. P. Czarnomski jr. powiada, że szkoda, iż tych przewidywań nie ogłosiłem wcześniej. I ja żałuję. Ale p. Czarnomski jr. nie pamięta bodaj, — albowiem był na to za młody — w jakich warunkach pracowała publicystyka polska na emigracji w Londynie. Liczne moje artykuły przeznaczone dla „Wiadomości Polskich” oraz innych pism były cenzurowane przez prof. Stanisława Strońskiego, który tępił namiętnie wszelki pesymizm w odniesieniu do naszych losów i do układu międzynarodowego; kilka artykułów moich, w których wyrażałem możliwie dyskretnie krytykę polityki angielskiej i polskiej zostało tak okrojonych, że musiałem je wycofać. Ale mimo tego w okresie lipcowego kryzysu z r. 1941 „Wiadomości Polskie” potrafiły przemycić pewne zdania i sądy, w tym i moje, które nie były chyba całkowicie nie trafne jeżeli chodzi o prorocstwo co do dalszych kolei wojny i naszych granic.

Na pewno należało występować ostrzej; ale jak i gdzie? Chyba metodą Stanisława Mackiewicza, który istotnie dał piękny przykład publicystycznej odwagi wydając własnym sumptem broszurę bijącą na alarm. Ale w jak niekorzystnych dla wszelkiej swobody myśli i zdania warunkach żyliśmy na to dowodem jest fakt, że gdy w r. 1946 napisałem szkic pt. „Nie będzie wojny”, nie mógł się on pojawić nigdzie w prasie emigracyjnej w Londynie; obiecano mi go wydrukować w miesięczniku „Horyzonty” w Szwajcarii, nie ogłoszono (pismo upadło), a dopiero po latach „Kultura” wydrukowała te moje uwagi z r. 1946. Oto ilustracja tego jak trudno jest być w naszych warunkach prorokiem na czas! Środowisko nasze, bojące się prawdy i niezależnej myśli, tłumi wszelkimi sposobami wyrażanie się swobodnej opinii, aby rozmaici nasi władcy i politycy mogli potem pytać: „któż mógł przewidzieć?”. Otóż chodzi o to, że w każdym pokoleniu są ludzie, którzy przewidują wcale dokładnie wypadki; ale w każdym pokoleniu są czynniki, które te wypowiedzi tłumią i dbają o to, by nie pojawiły się na czas, tłumacząc to względami patriotyzmu, racją stanu *and what not*. Niechże prorocy mają przynajmniej to zadowolenie, że po latach ogłaszają swoje uwagi i notatki.

P. Czarnomski jr. uważa, że moje stanowisko zajęte po wybuchu Powstania Warszawskiego było niemal niepatriotyczne. Nie wiem co ma znaczyć jego uwaga o „obowiązkach polskiego dziennikarza”: jest to sztańca, która nie ma żadnego znaczenia. Uważałem jako człowiek myślący, że do powstania nie należało dopuścić, a jeżeli już do niego doszło, to należało je pohamować; czyż istotnie było to niemożliwością? Przecież nasi sojusznicy, Anglia i Francja, zwrócili się do Hitlera z żądaniem zatrzymania akcji wojskowej przeciw Polsce zanim wypowiedzieli mu wojnę. W r. 1944 pozwoliłem sobie na łamach londyńskiego tygodnika „Tribune” zamieścić artykuł, w którym pisałem, że dla Polski byłoby rzeczą wskazaną, gdyby pod koniec wojny takie np. Prusy wschodnie były obsadzone wojskami sojuszników zachodnich. Artykuł ten miał na celu wykazanie — oczywiście nie ludziłem się, ażeby mógł on wywrzeć najmniejszy chociażby wpływ na myślenie sojuszników — że nie wszyscy Polacy są szowinistami, którzy nie chcą słyszeć o jakimś międzynarodowym rozwiązaniu dla swych granic. Na to odpowiedział mi bardzo ostro p. Bauer-Czarnomski sr. stwierdzając, że „nie mam żadnego mandatu”, ażeby przemawiać imieniem społeczeństwa polskiego, że całe Prusy wschodnie należą się Polsce i winny być obsadzone przez wojska polskie. Oto ta sama tania sztańca pa-

triotyczna, którą podejmuje p. Czarnomski jr. Nie dyskutuje się meritum sprawy, a zatem celowości Powstania Warszawskiego, tylko zamyka dyskusję frazesem o „obowiązkach polskiego dziennikarza”.

Takim samym frazesem jest twierdzenie p. Czarnomskiego jr. o tym, że wobec ludzi u władzy, którzy mają do podjęcia trudne decyzje należy okazać zrozumienie i wyrozumienie, że należy ich usprawiedliwić. Nie jestem tego zdania. Należy do pokolenia, które straciło wszelki bodaj szacunek dla władzy; widzieliśmy bowiem jej nieludzkie nadużycia w jednych krajach, jej tępą głupotę, jej okrucieństwo (w Niemczech, Rosji, Włoszech), a nawet w krajach niedyktatorskich — jak Polska przedwojenna będąca amalgamatem soldateski i biurokracji oglądaliśmy wiele złośliwej głupoty tej władzy. W państwach demokratycznych okres przedwojenny dostarczył zbyt licznych przykładów urzędowej tępoty, braku wizji, braku wszelkiej zdolności przewidywania. Moje skromne notatki są gwałtowną reakcją mojego pokolenia na tę „urzędową głupotę”, której emigracyjny Londyn nam nie poskapił.

P. Czarnomski jr. zarzuca mi „niesłychaną subiektywność” w odniesieniu do zagadnień ogólnych; owszem, notatki tego typu muszą przynosić to właśnie — ostre reakcje subiektywne na wydarzenia ogólne. Inaczej się pisze takie rzeczy aniżeli spokojne oceny publicystyczne. Wiem o tym dobrze i dowiodłem tego w toku mej długiej pracy publicystycznej. Pocięchą w tym wszystkim jest dla mnie to, że listy, które otrzymałem po ogłoszeniu fragmentów moich wojennych zeszytów zachęcały mnie do ogłoszenia całości, że podkreślały, iż moje notatki dają „nareszcie szczere oświecenie rzeczy zbyt długo przemilczanych”.

Wybaczy Pan Redaktor rozmiary mego listu; ale niesposób jest rozprawiać się lakonicznie ze sztańcami.

Zbigniew GRABOWSKI

Paryż, 16 maja 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W marcowym numerze miesięcznika pt.: „Polska w Europie”, będącego oficjalnym organem Związku Polskich Federalistów we Francji, ukazał się napastniczy artykuł przeciwko mnie, w którym przy okazji został zaczepiony Ambasador R.P., Kajetan Morawski, oraz kierowane przez Pana pismo.

Nikt, oczywiście, kto zna mnie osobiście, lub ze słyszenia, nie potraktował tej niedorzecznej napaści poważnie, nie potrzebuję się więc bronić. Poza tym, z zasady nie polemizuję z napaściami o charakterze osobistym, a już tym bardziej, gdy dokonywa ich dawny znajomy, od którego, zakładając, że jest człowiekiem przyzwoitym, miałoby się prawo oczekiwać pewnego minimum lojalności, zamiast nieodpowiedzialnego rozpuszczania niedorzecznych plotek i insynuacji. Z uwagi jednak na to, że wspomniany wyżej miesięcznik jest organem stowarzyszenia, którego byłem członkiem, podobnie zresztą jak mój napastnik, uważałem za konieczne wysnuć z tej sytuacji właściwy wniosek i w tym celu wysłałem dnia 1 kwietnia rb. do Zarządu Związku Polskich Federalistów we Francji — z prośbą o ogłoszenie w najbliższym numerze „Polski w Europie” — oświadczenie o treści następującej:

„Uważając za sprzeczne z dobrymi obyczajami ogłoszenie w organie głównym Związku Polskich Federalistów („Polska w Europie”, nr 3/81)

niepoczytalnej i bezpodstawnej napaści jednego członka Związku, na drugiego, zgłaszam moje ustąpienie ze Związku Polskich Federalistów".

Ponieważ zarząd Polskiego Związku Federalistów we Francji, potwierdzając pisemnie przyjęcie do wiadomości mojej dymisji, odmówił jednocześnie ogłoszenia mego listu, podając, jako powód, że nie ma zwyczaju podawania w swoim organie komunikatów o wstępowaniu, lub występowaniu członków (jak gdyby w tym wypadku chodziło o zwykłe wystąpienie), postanowiłem stosownie do zwyczajów, zwrócić się do Pana z prośbą o umieszczenia mego oświadczenia na łamach „Kultury”.

Niech mi będzie wolno skorzystać z tej okazji, żeby podziękować wszystkim, którzy z powodu tej napaści wyrazili mi, ustnie, lub pisemnie, wyrazy sympatii dla mnie, a jak najostrzejszego potępienia dla akcji, która przez podrywanie zaufania do znanych osobistości lub wydawnictw sieje zamęt na emigracji, oddając w ten sposób, na pewno niezamierzone, ale cenne usługi międzynarodowemu komunizmowi. Deklaracje w tym duchu złożyli mi nawet niektórzy osobiści przyjaciele lekkomyślnego napastnika, m.in., telefonicznie, jeden z dwóch panów, podpisanych później na liście, odmawiającym ogłoszenia mego oświadczenia.

Serdeczny uścisk dłoni przesyłam.

Aleksander KAWALKOWSKI

New York, 12 maja 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Umieszczony w nrze 1/183-2/184 „Kultury” artykuł prof. Stanisława Kościalkowskiego „W rocznicę Styczniową” jest zaopatrzony w przypis: „Artykuł ten opracował śp. prof. Kościalkowski w 1944 r. dla pisma „Polak w Iranie”. Był on jednak skonfiskowany przez cenzurę sowiecką”.

Przypis ten muszę uzupełnić. W styczniu 1945 r. śp. Profesor wręczył mi wspomniany artykuł celem umieszczenia go w redagowanym przeze mnie „Biuletynie Zespołu Pracy nad odbudową Polski”. Został on zamieszczony w nrze 2 (7) tego Biuletynu z datą „Teheran, 22 stycznia 1945 r.”. Nie nosił podpisu Profesora (za Jego wiedzą i zgodą), a to z uwagi na to, że Biuletyn hylem zmuszony wydawać anonimowo, można powiedzieć — „podziemnie” ze względu na ówczesne warunki w Teheranie: wspomnianą już cenzurę sowiecką i wrogie nastawienie do Zespołu i jego Biuletynu ówczesnego Pośła RP Karola Badera, zwalczającego wszelkie przejawy niezależnej myśli polskiej, nie mieszczącej się w ramach światopoglądu rządzącej, wówczas w polskim Londynie grupy „czterech historycznych stronnictw”. Zresztą ferwor p. Badera, z jakim nas zwalczał, był zrozumiały — był on w przede dniu przejścia do służby w reżymowym MSZ, w którym się znalazł jeszcze w tymże 1945 roku.

Nie chciałbym jednak listu kończyć smutnej pamięci Baderem.

Pozwoli więc Pan Redaktor, że powrócę do świetlanej postaci Profesora, zwłaszcza, że umieszczenie Jego artykułu w Biuletynie anonimowo mogłoby u kogoś stworzyć wrażenie, że Profesor obawiał się ewentualnych konsekwencji, jakieby mogły za to grozić. O nie! Ten skromny, cichy, na pozór nieśmiały człowiek potrafił być odważnym.

Los zrzucił, że w 1941 r. siedziałem razem z Profesorem w łagrze na dalekim Północnym Uralu. Chcę tu przytoczyć pewien fakt, świadczący właśnie o tej odwadze Profesora.

Pragnąc nas, swoich współlagierników, podtrzymać na duchu i nie dopuścić do jakże łatwego w tych warunkach zezwierzecenia, zorganizował Profesor codzienne wykłady. Wieczorami, po skończonej pracy, zbieraliśmy się w tajemnicy przed władzami lagiernymi w jednej z izb i przez godzinę, dwie zapominaliśmy o ponurej rzeczywistości. Miał wykłady sam Profesor, opowiadali — co kto wiedział — inni. Nawiasem mówiąc, urządzaliśmy tam, pod Gwiazdą Polarną, obchód Sienkiewiczowski w 25 rocznicę zgonu pisarza, innego dnia wieczór wspomnień o Ferdynandzie Ruszczyku, jeszcze innego obchód polsko-litewski ku czci Czurlonisa itp.

Tak trwało około miesiąca. Aż pewnego dnia w czasie wykładu do izby wszedł naczelnik lagru. Struchleliśmy. Trzeba pamiętać, że było to po „amnestii” i aczkolwiek władze sowieckie nie śpieszyły z jej zastosowaniem do nas, wiedzieliśmy, że ci, co przetrzymają i nie umrą w międzyczasie (śmiertelność była zastraszająca), prędzej czy później wyjdą na wolność. Udział w nielegalnym zebraniu, jakim było słuchanie wykładu, mógł spowodować wdrożenie postępowania o nowe przestępstwo, popełnione już po ogłoszeniu amnestii, a wówczas — koniec wszelkim mrzonkom o wolności. Zrozumiała więc była nasza konsternacja. Milczeliśmy. Przerwał milczenie naczelnik, pytając: *Kto tu zaczynaszcyk?* W tym momencie Profesor szybko wyszedł na środek izby i mocnym głosem powiedział: „Ja! Chciałem, by ludzie po pracy trochę podciągnęli się umysłowo i dlatego zorganizowałem wykłady”.

Na szczęście naczelnik okazał się ludzki (nie mogę tego powiedzieć o jego poprzedniku i następcy — draniach spod ciemnej gwiazdy). Żadnej sprawy nie wdrożył, a nawet zgodził się na kontynuowanie wykładów pod warunkiem uprzedniego zawiadamiania go o tematach, (co robiliśmy przyznam się, niezbyt uczciwie, bo nie tylko o „życiu ryb w głębinach oceanów” i o „wyprawach na biegun Północny” na wykładach naszych mówiliśmy). W momencie jednak pytania nikt nie wiedział, jaka będzie reakcja naczelnika i wystąpienie Profesora było przejawem prawdziwego w tych warunkach bohaterstwa.

Niechże tych kilka słów będzie wyrazem hołdu, jaki składam Temu, którego tak trafnie nasz współlagiernik Michał Kruszyński nazwał kiedyś w „Wiadomościach” ŚWIATŁEM W OTCHŁANI.

Wyrazy głębokiego szacunku łączę.

Bohdan KAWECKI

New York, 25 marca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając marcowy numer *Kultury* chciałoby się zawołać (czy zapłakać) za profesorem Edwardem Lipińskim: *Ekonomia! Ekonomia!* O ile większość ludzi nie próbuje pisać na temat energii atomowej czy lotów międzyplanetarnych bez znajomości przedmiotu, o tyle ta sama większość uważa siebie za autorytet w sprawach ekonomicznych, pomimo iż niewiele się na nich zna. W myśl tej zasady autorzy trzech różnych artykułów we wspomnianym numerze, piszący na tematy „ekonomiczne” popełniają błędy, które należy sprostować.

1) J. Mieroszewski („Dramat Europy”) pisze co następuje: „W Polsce Ludowej liczba gospodarstw indywidualnych wzrosła o 55 tysięcy i

przekroczyła znacznie cyfrę 3,600.000 gospodarstw. Wzrost o 55 tysięcy jest niezmiernie wagi wskaźnikiem potencjalnych możliwości ewolucyjnych polskiego modelu. Może przyjąć moment, że ów fenomen nabierze wprost kardynalnego znaczenia politycznego. Pomijając na chwilę kwestię liczb cytowanych przez autora, cały ten paragraf jest dla mnie zupełnie niezrozumiały i może służyć za przykład dziennikarskiego *loose writing*. Przede wszystkim nie rozumiem co p. Mieroszewski miał na myśli pisząc o „niezmiernie wagi wskaźniku potencjalnych możliwości ewolucyjnych polskiego modelu?”. Pomijając fakt, że każda możliwość jest potencjalna czy autor ma tu na myśli całą gospodarkę polską czy tylko rolnictwo? Czy uważa on, że wzrost liczby gospodarstw jest zjawiskiem pozytywnym czy negatywnym i dlaczego? Co rozumie przez stwierdzenie, że wzrost liczby gospodarstw (w jakim okresie?) o półtora procent nabierze kiedyś „wręcz kardynalnego znaczenia politycznego?”. Czy chciał wykazać, że „model polski” nie jest czymś stałym i że ulega zmianom, chociażby na skutek wzrostu liczby gospodarstw? Chyba pisząc powyższe zdania p. Mieroszewski miał coś na myśli, jakieś wnioski czy konkluzje. Nie są one chyba sekretem i mógłby się on nimi podzielić z zainteresowanymi czytelnikami, bez posługiwania się ogólnikami, które nic nie mówią.

Wracając do liczb cytowanych przez autora to nie wiem skąd czerpał swoje informacje. *Rocznik Statystyczny* 1961, ss. 190-191 zawiera dokładne dane o liczbie gospodarstw w Polsce. Otóż według spisu powszechnego z grudnia 1960 liczba gospodarstw indywidualnych wynosiła 3,584 tysięcy i wzrosła o 415 tysięcy gospodarstw w okresie od końca 1950 (skąd ta liczba 55 tysięcy?). Na pierwszy rzut oka wzrost ten oznaczałby tendencję w kierunku rozdrabniania gospodarstw (czyżby to miał na myśli autor pisząc o „potencjalnych możliwościach ewolucyjnych?”). Gdy się jednak spojrzy bliżej na dane statystyczne to łatwo zauważyć, że o ile liczba gospodarstw od 0,1 do 5 hektarów zwiększyła się o 450 tysięcy, to liczba gospodarstw powyżej 5 hektarów spadła w tym samym czasie o 35 tysięcy. Szczegółowe badania przeprowadzone w Polsce wykazały, że aczkolwiek rozdrabnianie gospodarstw istnieje nadal, szczególnie w niektórych dzielnicach, to znaczna większość nowo-utworzonych gospodarstw należy do tzw. chłopów-robotników. To samo w sobie jest bardzo ciekawym zjawiskiem. Czy to miał na myśli p. Mieroszewski pisząc o ewolucji polskiego modelu? Osobiście w to wątpię i w dalszym ciągu nie wiem o co mu w cytowanym paragrafie chodziło?

2) A. Kawalkowski („Potwierdzona alternatywa”) pisze między innymi, że „innymi słowy, Europa finansuje amerykańskie inwestycje kapitałowe na swoim własnym terenie, co już wkracza w dziedzinę absurdu”. Dlaczego? Jeżeli autor rzeczywiście uważa istniejącą sytuację za absurdalną, to chyba ma na myśli jakąś inną alternatywę, którą gotów jest przyjąć. Czy p. Kawalkowski uważa, że Europa powinna zaprzestać spłacania pożyczek amerykańskich? Chyba nie; biorąc pod uwagę obecną sytuację gospodarczą Europy Zachodniej, spłaty te nie są ciężarem. Może autor uważa, że Stany Zjednoczone nie powinny inwestować w Europie? Chyba też nie. W przeciwieństwie do inwestycji w krajach gospodarczo zacofanych inwestycje amerykańskie w Europie Zachodniej dotyczą przede wszystkim dóbr konsumpcyjnych i trwałego użytku, co przyczynia się do podniesienia stopy życiowej znacznej większości ludności. Może wobec tego autor uważa, że Stany Zjednoczone w ogóle nie powinny inwestować poza swym własnym krajem czy też, jeżeli już inwestują w Europie to powinny to robić w mniejszym zakresie niż dotychczas. O co w ogóle p. Kawalkowskiemu tutaj chodzi? Wydaje mi się, że bezkrytyczne przytaczanie angielskich publicystów nie przyczynia się w najmniejszym stopniu do wyjaśnienia bądź co bądź skomplikowanej sytuacji. Wręcz przeciwnie. Zacytowane powyżej zdanie utrud-

nia tylko zrozumienie pewnych istniejących trudności a przede wszystkim pachnie tanią „anty-amerykańskością”, którą tak często znaleźć można w popularnej prasie europejskiej.

3) Anonimowy autor listu z Warszawy pt. „Zastępcze plenium” jest wzorowym adeptem szkoły „długiej mowy”. Krytykuje on Gomułkę za to, iż ten ostatni przypisuje część trudności gospodarczych Polski spadkowi cen towarów eksportowanych przez Polskę na zachód. Autor listu stwierdza również, że „podobne obliczenia robią tylko ekonomiści w Południowej Afryce” i gniewa się na Gomułkę, ponieważ Polska inwestuje w kopalnie węgla „kosztem obniżania stopy życiowej całej ludności”. Zdaje sobie sprawę, że domorosły ekspert od spraw gospodarczych miał jak najlepsze chęci, ale tym razem solidnie się zagalopował. Przede wszystkim obliczenia strat spowodowanych spadkiem cen towarów będących przedmiotem handlu międzynarodowego robione są na całym świecie. Dowcipy autora na temat Afryki Południowej są zupełnie chybione. Jeśli jest w tym zainteresowany (w co wątpię) to niech sobie przejrzy chociażby wydawnictwa ONZ dotyczące tzw. *terms of trade* krajów eksportujących surowce i artykuły żywnościowe. Przekona się wtedy, że jego atak na Gomułkę chybia celu. Co więcej, autor zadaje retoryczne pytanie „kto każe Gomułce inwestować w kopalnie węgla” i jednocześnie znajduje winowajcę w postaci „innych krajów socjalistycznych”, potrzebujących węgla. Nie wspomina o tym, że tym innym krajem socjalistycznym jest Polska. Można łatwo wykazać, że zapotrzebowanie węgla dla celów produkcyjnych rośnie szybciej aniżeli produkcja i prędzej czy później eksport węgla zostałby ograniczony, niezależnie od ruchu cen na rynku światowym. Czy autor widzi jakieś możliwości zastąpienia węgla, który jest głównym źródłem energii, jakimś innym środkiem? Ropę naftową trzeba importować, prawie wszystkie elektrownie oparte są na węglu, a eksploatacja gazu jest dopiero w stadium rozwoju. Czy wobec tego Polska powinna przestać rozbudowywać przemysł węglowy? Na koniec warto zaznaczyć, że jak się jest krajem stosunkowo biednym to każda inwestycja odbija się na konsumpcji, czyli na stopie życiowej. Najlepiej nie inwestować w ogóle; wtedy cały dochód narodowy można skonsumować. Mam nadzieję, że nawet autor listu z Warszawy nie zgodziłby się z takim stanem rzeczy.

Łączę wyrazy poważania.

Andrzej KORBONSKI

Johannesburg, maj 1963 r.

Drogi Redaktorze!

Artykuł p. Stefana Komornickiego w kwietniowym numerze „Kultury” pt. „Kongres w Durbanie” ujmuje zagadnienia Południowej Afryki, Rodezji, a nawet reszty kontynentu w sposób, który czytelnikowi europejskiemu musi się wydawać najzupełniej niezrozumiały. Na tych kilku stronach p. Komornicki zaprzecza własnym twierdzeniom zapewniając czytelnika, że wśród Czarnych rząd Verwoerda „zaszczepił mocny nacjonalizm”, by w chwilę potem skonstatować, że właściwie w Afryce nie ma narodów, a tylko „grupy szczepów murzyńskich”. Co gorsza sam za ideał swojej partii uważa stworzenie z Afryki Południowej jednego NARODU składającego się — tak należy się domyślać — z Anglików, holenderskich Burów, Zulusów, Xhosów i kilkudziesięciu innych szczepów murzyńskich. Używając wesołego powiedzonka angielskiego, znanego zapewne autorowi, gotów jestem zjeść mój kapelusz (*I eat my hat*), jeśli

czytelnik w Europie cokolwiek z tego zrozumie, jeśli ta ofiara drukowanego słowa uwierzy w kulinarno-polityczne zdolności p. Komornickiego przyrządzenia Narodu z tak urozmaiconych ingredientów.

Problemu Afryki Południowej nie można ani mieszać, ani uogólniać z zagadnieniami reszty Czarnego Lądu (na południe od Sahary). W całej Afryce jesteśmy świadkami dekolonizacji i emancypacji, podczas gdy w Płd. Afryce autochtoniczny element biały dekolonizować się nie może dla prostej przyczyny, że kolonią już od bardzo dawna nie jest.

Nasz problem murzyński jest funkcją losu Czarnego w reszcie kontynentu. Ilościowo Murzyni w Afryce Płd. reprezentują przecież zaledwie 5% czarnej ludności kontynentu.

Zgadza się z autorem, gdy mówi, że w Afryce nie istnieją narody, (w ogóle trudno przewidzieć czy kiedykolwiek powstaną), ale protestuje, gdy twierdzi, że Verwoerd zaszczerpił tu nacjonalizm murzyński. Zaszczerpił on coś całkiem odmiennego, co nosi nazwę rasizmu. Przecież powinno być jasne dla autora, że etymologia słowa „nacjonalizm” wskazuje na to, że przedmiotem jego musi być „NARÓD”. Na usprawiedliwienie autora trzeba przyznać, że cała prasa krajowa, a także, niestety zagraniczna, młóci bez końca ten nacjonalizm murzyński, afrykański i jaki tam jeszcze używając tego nonsensownego określenia jako eufemizmu w miejsce brzydko brzmiącego rasizmu.

Autor zdaje się wywodzić swoje rozumowanie z zupełnie błędnego założenia, że „niskie instynkty nieoświeconej masy białych” w tym kraju wynikają z jakiegoś specjalnie niefortunnego składu narodowościowego tego elementu. Przeciwnie, jestem przekonany, że jakkolwiek inny naród w podobnej sytuacji zachowałby się identycznie. Sądząc po polskim elemencie, który z liberalnego zamienia się w tutejszym klimacie na skrajnie reakcyjny i to już po kilku latach pobytu, wolno sądzić, że proces ten jest niezależny od pochodzenia elementu napływowego.

Jakiż więc jest ten klimat polityczny, w którym Biali zamieniają się na reakcjonistów przez świat cały potępianych? Dlaczego partia polityczna autora, wbrew jego zbyt liczny „ja przewiduję”, nie ma żadnej realnej szansy? Ponieważ autor na te tematy nie ma nic do powiedzenia, pragnę go w tym wyreczyć.

Tragedią Afryki Południowej jest to, że poza garstką idealistów NIKT w kolaborację międzyrasową nie wierzy. To znaczy, w kolaborację Białą-Czarną w momencie, gdy dyspozycja władzy przejdzie w ręce murzyńskie. Nie wierzą także w możliwość takiej współpracy publicyści europejscy godni tej nazwy, ani uczeni obznajomieni z Afryką. „Nieoświecone masy białych” w Afryce Płd. nie są więc w swoich wierzeniach odosobnione.

Dlaczego? Bo historia wyprzedziła już dawno okres kiedy taka kolaboracja była teoretycznie możliwa do osiągnięcia. Trzeba było — panowie Anglicy, Holendrzy i Francuzi-Hugenoci — zaczynać temu 300 lat, trzeba było zamiast rozdziału socjalnego (w osobnych dzielnicach), towarzyskiego (w klubach), religijnego (w kościołach) i seksualnego (w łóżku) stosować wymieszanie na każdym szczeblu. Conquistadorzy hiszpańscy wymordowali połowę Inkasów, a z drugą (zapewne przystojniejszą) poženili się w ten lub inny sposób. W rezultacie stworzyli społeczność wielokolorową, co prawda społecznie zacofaną, ale za to wolną (stosunkowo) od rasowej truciizny.

Ale tam, gdzie świadomość rasowa zasilana wspomnieniem wiekowych krzywd wyostrowa jest do refleksu instynktu, za późno jest na to, by garstka idealistów odwróciła bieg historii. Czyż autor powołać się może choćby na jeden precedens w historii, gdzie by większość obcorasowa, zapóźniona kulturalnie zgodziła się współpracować z mniejszością nie odarłą jej z wszystkich przywilejów?

By uwierzyć w podobny nonsens trzeba by wpierw postulować, że wszystkie doświadczenia historii funta klaków nie są warte, i że rasa czarna nie z ludzi a z aniołów się składa.

Innymi słowy, 3 miliony Białych w Afryce Płd. mają wybór pomiędzy anihilacją (lub wycofaniem się do obozów D.P. w Europie) a psychiką CYTADELI, która to psychika postuluje totalistyczny system rządów. Do takiego właśnie systemu rządów totalitarnych nieuchronnie w tym kraju się staczamy. Tak jak nie można Murzynów za to potępiać, że nie są aniołami, tak i olbrzymią większość Białych w Afryce Płd. trudno winić za to, że z dwóch tych alternatyw wybrali drugą. Nie można od społeczeństwa wymagać, by składało się z samych bohaterów. Zamiast rzucać kamieniem na Białych w tym kraju, Europa powinna im współczuć, mieć dla nich uczucie litości, jako do *morituri*. Fakt, że opinia europejska jest przeciwko nim wynika z zupełnego niezrozumienia dylematu przed, którym stoi tu Biały. Za liberalizm w Europie nie płaci się fizyczną zagładą. Gdyby naszemu Bura wychować poza Afryką Południową, byłby takim samym socjalistą, laburzystą, czy radykałem, jakim jest dziś jego oponent i krytyk w Europie.

Niemniej przeto, wybór alternatywy Cytadeli (czyli politycznie, przeciąganie nieuchronnego wyroku historii) pociąga za sobą głęboko niemoralne skutki. Lawina coraz bardziej drastycznie niesprawiedliwych praw, uchwalanych przez Białych, jest przyjmowana coraz potulniej przez białą społeczność. Musi ona sobie dorabiać irracjonalne argumenty dla przełknięcia takiej legislatury. W wyniku ciśnienia wywieranego przez instynkt samozachowawczy na podświadomość Białych, dochodzą oni do granic totalnego znieczulenia na terror polityczny i krzywdę społeczną, której ofiarą jest Czarny.

To jest tragedia południowego cypla kontynentu, i na tę Nemezis jesteśmy tu skazani. Utopiści z obozu p. Komornickiego mogą na tle tej tragedii dostarczyć tylko tego niewinnego uśmiechu, którego nawet najbardziej beznadziejna sytuacja nie powinna być pozbawiona.

Na temat przyszłości, autor również — niech mi to słowo wybaczy — majaczy. Prawda jest inna. W cytadelach nie ma buntów, ani zmian kierownictwa politycznego. Są natomiast tylko poddania, są kapitulacje na skutek przecięcia dopływu wody i żywności przez nieprzyjaciela. Taki będzie koniec Afryki Południowej, zapewne po latach natężającej się fali sabotażowej, po latach pogłębiającej się ruiny ekonomicznej. Gdy obronie zabraknie prochu w ładownicach.

Łączę serdeczny uścisk dłoni.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

Paryż, 6 maja, 1963

Szanowny Panie Redaktorze!

Jak najgoręcej pragnę podziękować Panu Redaktorowi i „Kulturze” za umieszczenie pięknego wspomnienia p. Al. Kawalkowskiego o śp. mężu moim, Władysławie Pobóg-Malinowskim, i za tak skuteczne wezwanie do czytelników „Kultury” o przyjęcie mi z pomocą. Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję staropolskim „Bóg Zapłać”, również wszystkim rodakom rozsianym po całym świecie, którzy tak licznie i hojnie odpowiedzieli na apel Pana Redaktora.

Jednocześnie chcę zapewnić wszystkich, którym drogą jest pamięć śp. męża mego, że będę się starała w miarę mych sił, oraz bardzo skromnych środków i możliwości, aby prace, które śp. mąż mój pozostawił zostały opublikowane. Uważam to za mój święty obowiązek.

A najtrwalszym i najwspanialszym uczczeniem pamięci zmarłego będzie, gdy jego „Najnowsza Historia” znajdzie się w każdym polskim domu jak i w licznie rozrzuconych domach polskich we wszystkich zakątkach świata.

Dziękując raz jeszcze z całego serca Panu Redaktorowi, „Kulturze” i wszystkim ofiarodawcom, łączę wyrazy szczerzego szacunku.

Maria POBÓG-MALINOWSKA

Toronto, dnia 14 maja 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nasz polski Ośrodek Katolicki KASZUBY, Ont. decyzją pewnych czynników kościelnych został skazany na likwidację.

Tamtejsi Kaszubi, wygnani 100 lat temu z Pomorza przez Bismarcka, przybyli do Kanady i osiedlili się w Barry's Bay, Combermere, Round Lake; w założonym przez nich osiedlu WILNO, Ont. słyszy się mowę polską. Przez owych 100 lat zachowali swój język, tradycje i wiarę katolicką. Ludzie ci, łagodnego charakteru, uczciwi, zorganizowali sobie własne życie, może trochę biedne, ale na pewno pogodne i szczęśliwe.

Przed dziesięciu laty „odkrył” ich ksiądz Rafał Grzondziel, polski franciszkanin znany jako Father Ignatius, mój kapelan z Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie i we Włoszech. Założył Ośrodek Katolicki i przy pomocy ludzi dobrej woli zbudował malowniczy kościółek położony na niewielkim półwyspie jeziora wśród lasu sosnowego. Powstał urząd pocztowy KASZUBY, Ontario, który na cały świat wysyła listy pieczętowane polską nazwą, oraz ciekawym nadrukiem na korespondencji stwierdza i głosi że: „nigdy Kaszuby nie przyjdą do zguby”.

Osiem lat temu polscy harcerze pobudowali w pobliżu swój ośrodek złożony z kolonii męskiej i żeńskiej. Ubiegłego lata przez ich tamtejszych jedenastu obozów przewinęło się około 1000 młodzieży polskiej. W roku 1960 odbył się tam zlot 50-lecia harcerstwa polskiego w Kanadzie.

Nad brzegami tamtejszych jezior Polacy z Toronto, Hamilton, Ottawy, Montrealu, a nawet i ze Stanów Zjednoczonych zbudowali sobie przeszło 150 domków letniskowych. Gmina Radcliffe przestała być uboga. W ostatnich 10 latach jej tzw. „assessment” wzrósł z \$60,000 do \$450,000! Stała się ważnym ośrodkiem turystycznym w rejonie rzeki Madawaska. Gospodarczo stanęła na nogi właśnie dzięki naszym polskim osiągnięciom i temu nikt nie zaprzeczy.

Ale tego rodzaju działalność nie podobała się ludziom, których drażniła nasza polskość i nasz entuzjazm. Postanowili zabić i zniszczyć renesans polskości na tej ziemi.

Pozbawiono nas polskich nabożeństw, polskiej ewangelii i kazań, polskiej spowiedzi, modlitwy i polskiej pieśni religijnej, — zabierając nam nawet i polskiego księdza.

To już nie jest sprawa lokalna. To jest sprawa całej Polonii Kanadyjskiej. Albo wszyscy staniemy solidarnie w obronie naszych słusznych praw gwarantowanych nam demokratycznym systemem tego kraju, albo sta-

niemy się bierną masą, której słabość zachęci i rozzuchwali ludzi złej woli do dalszych antypolskich posunięć.

Kongres Polonii Kanadyjskiej i Zarząd Główny Stowarzyszenia Polskich Kombatantów ujął tę sprawę w swe ręce. Poszły prośby o pomoc i interwencję do Watykanu i Ojca Świętego. Obronimy nasz Ośrodek Katolicki na KASZUBACH, Ont., — bo cała Polonia Kanadyjska wykaże i udowodni że jednak „nigdy Kaszuby nie przyjdą do zguby”.

Łączę wyrazy poważania.

Henryk WILK, inż. arch.
69 Overland Drive, Don Mills
Ontario, Canada

Kingston (Jamaica), 15 kwietnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuły p. Kawalkowskiego czytam zawsze z dużym zainteresowaniem, zwłaszcza od kiedy stara się, jak się wydaje z dużym powodzeniem, objaśnić i interpretować nieco zawile plany gen. de Gaulle.

Wydaje mi się jednak, że w ostatnim z tych artykułów w nr. 3/185 znajdują się pewne sprzeczności, które na pewno nie obciążają konta p. Kawalkowskiego, lecz są raczej wyrazem niejasności samej doktryny gen. de Gaulle. Jeżeli bowiem przyjmujemy, że istotnie siła atomowa francuska ma odgrywać rolę „zapalnika” to czy nie jest rolą „niemoralną” w myśl doktryny że obrona powinna używać środków dostatecznych dla odparcia napaści ale współmiernych. Jeśli ktoś rzuci się na mnie z kijem nie powinienem używać karabinu maszynowego.

Czy zatem nie lepiej byłoby zużyć te ogromne środki wydawane na francuską siłę uderzeniową na szybsze i skuteczniejsze powiększenie francuskich sił konwencjonalnych? Trzeba wziąć pod uwagę, że wydatki na rakiety będą coraz większe, i nie wiadomo czy wysiłki te będą skuteczne; zaś samoloty Mirage IV wydaje się że już w chwili wejścia do służby będą przestarzałe. Jeśli zatem jednym z argumentów p. Kawalkowskiego (lub gen. de Gaulle) jest, że Stany Zjednoczone nie mogą pozostać obojętne na opanowanie potencjału europejskiego przez Sowietów, to czy nie lepiej dla odparcia najazdu sowieckiego na Europę rzucić siły konwencjonalne NATO, wsparte przez amerykańską siłę atomową jeśli tego będzie potrzeba.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

K. ZDZIARSKI

Kopenhaga, 8 kwietnia 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Postanowiłem po wielu latach prenumerowania „Kultury”, prenumeraty tej więcej nie odnawiać. Przyczyną tej decyzji jest stanowisko „Kultury” „wobec zagadnienia walki o niepodległość Polski”.

Moim zdaniem, „Kultura” niedostatecznie podkreśla brutalny fakt okupacji Polski przez wojska sowieckie. Wydaje się nawet, że sprawę tę chętnie przemilcza lub przedstawia jako coś analogicznego do sytuacji

istniejącej w ramach paktu atlantyckiego. Sądzę, że sprawa niepodległości Polski powinna być wyraźnie postawiona i że nie nadaje się do mniej lub bardziej mętnych rozważań filozoficznych.

Liczne, doskonałe artykuły ukazujące się w „Kulturze” nie mogą zasłonić tego zasadniczego dla mnie braku.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów mego bardzo wysokiego szacunku.

Tadeusz ZALESKI

Panie Redaktorze!

Asnieres, dn. 3 maja 1963 r.

Proszę wstrzymać dalsze przysyłanie mi „Kultury”. Pieniądze możecie sobie zatrzymać.

Znudziły mi się ciągle narzekania na Polskę dzisiejszą.

Przepraszam jedynie „Londyńczyka”.

Z poważaniem.

C. KUSNIEREK

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e trimestre 1963.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Perkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£A.2.0.0.	£A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Czasy, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Post. 6335, Sao Paulo, J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaxa-Debiecka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowski, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/ Queb., Tel.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tel.: HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., To- ronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tel.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikieluk, 8 München 45, Gablon- zerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tel.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarow Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremova Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hatheway Av., Cleve- land 7, Ohio, Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czeskiem lub przekazem pocztowym	500 liras	2.800 liras	5.000 liras

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM LXXXVII

MAREK HŁASKO

OPOWIADANIA

Ulegając stałym prośbom naszych Czytelników wydajemy zbiór najlepszych — dawnych i nowych — nowel autora „Cmentarzy”. Nowele te nigdy dotąd nie ukazały się w wydaniu książkowym. W skład zbioru wchodzi głośny „Ormy dzień tygodnia”, tłumaczony na wiele języków i sfilmowany.

Str. 192

Cena egz. 12 F. (18 sh.; dol. 2,50)



TOM LXXXVIII

POLACY W ZSSR

(1939-1942)

ANTOLOGIA

W opracowaniu i ze wstępem Marii Czapskiej

Na książkę składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanymi, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie.

„Nie po to, żeby jątrzyć został wydana niniejsza antologia — pisze we wstępie Maria Czapska — ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie.

Nie wolno nam zapominać więzień i łagrów sowieckich, zagłady Żydów, niemieckich obozów śmierci, mordu katyńskiego i innych, nieodkrytych, mordów kulą w kark, a także gorzkiej prawdy degradacji człowieka — kata i ofiary”.

Str. 360

Cena egz. 16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)